

Woźniak Katarzyna

Hydra pamiątek

Anna nie podejrzewała się o umiejętność podejmowania, jak to mówią, nieracjonalnych decyzji. Szczególnie teraz, kiedy ułożyła swoje życie jak katalog biblioteczny. Osoby na co dzień przebywające w obecności Anny również nie spodziewałyby się po niej tak nieodpowiedzialnego podejścia do rzeczywistości. Przecież powszechnie wiadomo, że najbardziej pożądanymi cechami we współczesnym świecie są: bezpieczeństwo, stałość i przewidywalność. Jeżeli posiadasz zdolności organizacyjne, umiejętność automotywacji, postępujesz konsekwentnie i nic nie może cię zaskoczyć, oznacza to, że osiągnąłeś pełnię szczęścia i można definiować cię jako człowieka sukcesu. Szanuj to i postaraj się utrzymać ów stan jak najdłużej.

Pierwszym krokiem prowadzącym do takiego stanu jest podjęcie studiów na praktycznym kierunku. Idealnie nadaje się do tego marketing, zarządzanie, ekonomia czy bankowość. Kto zaczyna dorosłość od liczenia pieniędzy, najpewniej nie odczuje ich braku na dalszych etapach życia.

Podczas studiów dobrze jest angażować się w życie akademickie. Aktywność samorządowa, utrzymywanie naukowych – i nie tylko – kontaktów z profesorami, poza obligatoryjnymi zajęciami, może nam zagwarantować istotne wsparcie w momencie podejmowania pierwszej pracy w wyuczonym zawodzie.

Drugim niezbędnym do wykonania krokiem, prowadzącym do bezpiecznego i szczęśliwego życia, jest podjęcie owej pierwszej pracy w wybranym, praktycznym zawodzie. Przekonująca rekomendacja szanowanego profesora być może sprawi, że rozpoczniemy karierę od zajęcia bardziej ambitnego niż parzenie kawy zaprawionym w bojach biznesmenom. Takie zadanie powinniśmy wykonywać z pełną wdzięcznością i zaangażowaniem. Zaangażowaniem fizycznym, umysłowym, czasowym, a nawet duchowym.

U przyszłych ludzi sukcesu niezmiernie ceniona jest niezachwiana odwaga i pewność siebie. Po co tracić czas i energię na wspinanie się szczebel po szczeblu po drabinie kariery? Po co utożsamiać się z szarym tłumem początkujących bankiero-ekonomów, kiedy można skorzystać z windy szybkiego wzlotu? Cel – im wyższy, tym lepszy. Dlatego całkiem na miejscu będzie spotkanie z prezesem firmy na popołudniowej kawie, która przy odrobinie tak zwanej dobrej chemii i wspólnych zainteresowaniach ewoluje w piwo, drinka, a wreszcie czystą. Po takiej niewinnej i szczerzej integracji awans wydaje się nieuchronny.

Piastowanie stanowiska asystenta prezesa Banku Narodowego to nie lada wyzwanie. To nie lada poświęcenie. Miliony ciężko pracujących ludzi obdarza zaufaniem asystenta prezesa Banku Narodowego. Jeżeli więc decydujemy się dbać o pieniądze ciężko pracujących tysięcy klientów, to nasza praca powinna być milion razy cięższa. Tym bardziej że o wiele łatwiej przychodzi zarabianie pieniędzy niż ich oszczędzanie. Takie zadanie to pomnożenie ciężaru pracy o sto procent. Jeżeli zatem nasz przeciętny klient pracuje osiem godzin dziennie, z fizycznym zaangażowaniem na poziomie pięćdziesięciu procent jego możliwości, umysłowym – dwudziestu procent, duchowym – osiemdziesięciu procent, to przy obsłudze tysiąca klientów banku, musimy poświęcić sto sześćdziesiąt tysięcy procent potencjału zaangażowania duchowego, czterdzieści tysięcy procent potencjału umysłowego i sto tysięcy procent potencjału fizycznego, co w sumie wynosi szesnaście tysięcy godzin pracy dziennie. Aby wyrobić tę normę w ośmiogodzinnym trybie pracy, powinniśmy zwiększyć intensywność i tempo pracy o dwa tysiące procent w stosunku do intensywności i tempa przeciętnie pracującego osobnika.

Kiedy Anna spotykała się z klientami sam na sam, żaden z nich nie potrafił jej zaprzeczyć ani odmówić podpisania umowy z bankiem. Anna hipnotyzowała: „Proszę chwilę pomyśleć o dzieciach. Jeżeli raz na jakiś czas zrezygnuje pan z paczki papierosów czy wyjazdu za granicę i przekaże te pieniądze na nasze konto, za kilka lat, gdy pański syn dorośnie, będzie mógł pan spełnić swój rodzicielski obowiązek i pomóc młodemu człowiekowi wejść w życie z kapitałem. Czy rodzice panu pomogli? Nie? Więc wie pan, jak trudno jest zaczynać od zera. Da pan swojemu dziecku nie tylko pieniądze, ale także poczucie bezpieczeństwa, troski i miłości rodzicielskiej”.

I podpisywali umowy.

Tak właśnie wyglądało dotychczasowe życie Anny. Dobrze zaplanowana droga wiodąca na szczyt kariery, bez miejsca na niespodzianki i kompromisy. Bezbłędny schemat postępowania, reagowania, wszystko przewidziane, pewne, a co najważniejsze – właściwe. Wybrała najlepsze z możliwych opcji i odniosła pożądany przez miliony sukces. Czowała więc ogromną satysfakcję i szczęście. W każdym razie powinna je czuć.

Nic dziwnego więc, że w świecie, nade wszystko miłującym bezpieczeństwo i wygodę, zachowanie Anny nie spotkało się z aprobatą i zrozumieniem...

Poranek był słoneczny – całkiem niepasujący do samopoczucia Anny. Tego dnia, jak zazwyczaj ostatnio, pierwszą myślą, która przyszła jej do głowy, było: „Po co wstawać?”. Trzeba iść do pracy oczywiście. Jedyny powód, który motywuje miliony ludzi do wstania o szóstej rano. Jaka szkoda, że nie potrafimy tego robić dla siebie, po prostu, bez przymusu, z radości życia.

Anna wstała dziesięć minut przed szóstą. Dłuższe leżenie ze wzrokiem wbitym w sufit sprowokowałyby pojawienie się głębokich przemyśleń, próbę rozwiązania problemu złego humoru. Lepiej do tego nie dopuszczać, gdyż nie wiadomo, do czego takie myślenia mogłoby doprowadzić. Należy więc wstać od razu – teraz! Bez sekundy zastanowienia!

Nie zjadła śniadania – jedzenie grozi otyłością. Ubrała przygotowany wczoraj wieczorem kostium i wyszła na ulice Warszawy. Kawa – zakupiona po drodze w sprawdzonej kawiarni – mocna, gęsta, o odpowiednim stopniu goryczy. Z kawą lepiej nie eksperymentować. Jeśli udało nam się znaleźć kawę idealnie współgrającą z naszym organizmem (jednocześnie smaczną i pobudzającą), szukanie nowości jest niepotrzebną stratą czasu i energii. Wszyscy znali Annę w tej kawiarni, choć właściwiej byłoby rzec: wszyscy rozpoznawali Annę w tej kawiarni. Powiedziano więc szybkie „dzień dobry”, wrzucone pomiędzy powitania z innymi gośćmi lokalu, i podano kawę – tę samą co zwykle – w papierowym kubku, czarną, z dwiema łyżeczkami cukru. Tak uzbrojona w kubkowy zestaw energii, Anna ruszyła w życie.

Na najbliższym skrzyżowaniu zatrzymał ją pisk opon i kobiecy krzyk. Odgłos pękającego szkła, spotkanie czaszki z asfaltem i długie wycie klaksonu brzmiały jak fragment filmowej ścieżki dźwiękowej. W głowie Anny – milion myśli, a chwilę później – pustka. Kobieta o blond włosach leżała na ziemi, nieruchoma, nieprzytomna. Stojący obok Anny wysoki mężczyzna w długim płaszczu już dzwonił po karetkę. Krew spływała strumieniem wzdłuż rynsztoku.

„Takie kruche życie” – pomyślała Anna i poczuła, jak martwa jest jej dusza, a życie – puste. Wolnym krokiem podążyła w kierunku biura. Buczenie syreny nadjeżdżającej karetki jeszcze długo dźwięczało w jej uszach, a widok krwawej rzeki nie zniknął z siatkówki oka.

A gdyby w kawiarni było mniej ludzi? Anna dostałaby kawę szybciej. Wcześniej wyszłaby na ulicę. Przecież to w nią mógł uderzyć ten samochód i od pięciu minut mogłaby już nie żyć! Co czułaby, leżąc? O czym by myślała, próbując wziąć jeszcze jeden oddech? Czy byłaby gotowa odejść? Pracownica banku. Asystentka prezesa. Pracująca dwa tysiące procent szybciej i wydajniej niż przeciętny obywatel. Czy wypełniła już swoją misję? Czy osiągnęła wszystko, na co było ją stać? Czy jest na dobrej drodze? Czy obrała właściwy cel? Właściwy dla niej? Kiedy w ogóle ten cel się narodził? Nie pamiętała. W jakich okolicznościach? Nie miała pojęcia. Wszystkie te pytania kłębiły się w jej głowie, dokładnie tak jakby życie wypływało z jej wnętrza strugą krwi. Poczowała pustkę. Nie miała niczego, co bałaby się stracić. Nie było nikogo, kogo bałaby się opuścić. Niczego nie pragnęła. Czego bowiem mogłaby chcieć, posiadając już wszystko, o czym marzą inni? Jednocześnie nie posiadała nic. Jak to jest pracować z pasją i satysfakcją? Nie wiedziała. Jak naprawdę smakuje poranna kawa? Nie wiedziała. Co znaczy: żyć? Nie wiedziała. Wszystko, czego doświadczała, nie było przez nią doświadczane. Smaki, spotkania, emocje – płytkie, efemeryczne, puste, jak sen lub kiepski film, na którym przysypiała w kinie. Patrzyła, lecz nie widziała, słyszała, lecz nie słuchała, oddychała, nie mając powietrza w płucach, żyła, nie przeżywając prawdziwie ani minuty. Jałowość egzystencji, rutyna, mechaniczność pozbawiona świadomości wypełniały każdy dzień Anny. Nikt nie mógł jej zaskoczyć i ona nie zaskakiwała nikogo. Bezpieczeństwo okazało się najniebezpieczniejszą cechą życia – morderczą! Zawieszona między „niczym” a „niczym”, Anna zrozumiała, że już od dawna jest martwa.

Ludzie przechodzący przez park nie zwracali na nią uwagi, wpatrzeni w wąską przestrzeń przed sobą. Ciemne garnitury. Niebieskie koszule. Zestaw wzbudzający zaufanie. Siedząca na ławce Anna chwilowo wybiła się z potoku jednakich fląder, znalazła się po drugiej stronie lustra. Żaden z obserwowanych przez nią ludzi nie wiedział, że kilka minut temu, kilka ulic stąd reanimowano młodą kobietę, blondynkę o jasnej cerze, tak jak oni spieszącą do pracy, rozmawiającą przez telefon trzymany w lewej dłoni, pijącą kawę z papierowego kubka trzymanego w prawej dłoni. Nikt z nich nie wiedział, że kilka minut temu, kilka przecznic stąd jedno z nich walczyło o życie.

Anna czuła ogromne napięcie – gdzieś pod sercem, powyżej żołądka. Miała ochotę zerwać się z ławki, podbiec do któregoś z „garniturów”, złapać go za ramiona i krzyknąć mu w twarz: „Obudź się!”. Wszyscy spali – snem ciągłym, nieprzerwanym, bogatym jedynie w doświadczenia sensualne. Żyli w Huxsley’owskim czuciofilmie – realistycznym, lecz nierealnym. Ich puste, pozbawione emocji twarze przeraziły Annę. Otaczały ją fantomy, opakowania na dusze.

Dotychczas niczym się od nich nie różniła. Funkcjonowała w roli trybu maszyny społecznej. Samodzielnie nie istniała. Czy wyskoczenie jednego trybiku z owej maszyny może zakłócić pracę całego systemu? Czy ktokolwiek zauważyłby zniknięcie Anny? Jeśli tak – jak by na to zareagował? Z pewnością prezes banku nie byłby zachwycony nieoczekiwaną zmianą codziennej rutyny. W końcu zobowiązał się do dbania o oszczędności tysięcy uczciwych obywateli, którzy zasłużyli na pewność i poczucie bezpieczeństwa. Nagłe zniknięcie pierwszej

asystentki, organizującej każde spotkanie, posiadającej kontakty do ważnych dla funkcjonowania banku osób, stałoby się przyczyną załamania płynności akcji, przyczyną kryzysu! Z drugiej zaś strony prezes zawsze powtarzał, że nie ma ludzi niezastąpionych. Natura nie znosi pustki, więc nieobecność Anny szybko zostałaby wypełniona obecnością kogoś innego. Czy zatem warto poświęcać życie dla pracy, którą może wykonać każdy? Co teraz świadczy o wyjątkowości i wartości tej kobiety gotowej na pełne zaangażowanie i zwiększenie tempa pracy o dwa tysiące procent? Tak naprawdę, Anno, świat tego nie zauważa, nie docenia. Nie jest to rola przeznaczona wyłącznie dla ciebie. Nie jest to tylko twoje życie ani tylko twoja rzeczywistość. Nie jesteś jedyną asystentką prezesa banku. Kim, czym więc jesteś? Co stanowi o Annowości Anny?

Poczuła się obco. Była integralną częścią świata tętniącego wokół niej, a jednocześnie stała obok niego – poza nim. „Mam trzydzieści jeden lat, a świat nie wie, kim jestem. Sama nie wiem, kim jestem. Nie mogę być jednak tą czy tamtą, bo jestem Anną, z moim niepowtarzalnym doświadczeniem”.

Kiedy te myśli pospiesznie przemykały przez jej głowę, do jej uszu dotarł lapidarny komunikat: „Pociąg z peronu trzeciego odjeżdża za piętnaście minut”. To był jej pociąg. Jej jedyna szansa na powrót do życia, na odnalezienie swojego prawdziwego świata i „ja” funkcjonującego w tym świecie. Wstała i ruszyła w stronę peronu trzeciego tak pewnie, jakby planowała tę podróż od miesięcy. Jej umysł był już czysty, a serce pełne. Gdzieś tam – nie wiedziała jeszcze gdzie – na docelowej stacji czekała na nią nowa Anna: niepowtarzalna, taka, której nie da się zastąpić żadną inną osobą.

Każdy krok przybliżał ją do nowego życia. Jakie ono będzie? Nieważne. Najistotniejsze wydawało się to, że będzie zaskakujące i szczerze.

Zza filarów wyłaniały się perony, wokół tłum ludzi spieszył w różne strony. Każdy z podróżnych trzymał w jednej dłoni walizkę, a w drugiej bilet. Niektórzy mieli mniejsze bagaże – ci pewnie wyjeżdżali na krótko, żeby przez tydzień lub dwa odpocząć od rutyny, którą *de facto* lubili bądź przynajmniej szanowali. Naładują baterie, zlikwidują deficyt energetyczny i wrócą do domów, codziennego rytmu pracy i obowiązków.

Z rzadka trafiały się również większe walizki. Mieściły cały dorobek, całe życie. Ci podróżni nie wrócą. Zaczną od początku. Poznają nowych przyjaciół, nowe miejsca, zajęcia, potrawy, o których istnieniu dotąd nawet nie mieli pojęcia.

Peron trzeci. Równomierne stukanie obcasów przybliżało Annę do pociągu. Gdzie pojedzie? Ile czasu zajmie podróż? Gdzie zamieszka, gdy dotrze na miejsce? Z czego będzie żyła? Z oszczędności? A co potem? Będzie musiała znaleźć pracę. Przecież zna się tylko na finansach. Czym różni się praca w banku tam, od pracy w banku tu? Czy będzie za kimś tęsknić? Jak można zostawić tak nagle przyjaciół, którzy choć niezbyt bliscy, pomagali radzić sobie z samotnością? Jak można porzucić dom, miejsca znane tak dobrze, że utraciwszy wzrok, bez problemu trafiłaby z domu do pracy, z pracy do ulubionej restauracji, z restauracji do sklepu oferującego wszystko, czego potrzebowała do szczęścia? Jak można porzucić stabilizację finansową i społeczną, poczucie bezpieczeństwa i ładu na rzecz niepewnego jutra?

Anna stała na środku peronu. Rozległ się ostatni gwizdek wzywający do odjazdu.

– Wsiada pani? – zapytał konduktor, wychylając się z pociągu. Anna pokręciła przecząco głową, zrobiła krok do tyłu. Pociąg odjechał.

„To było głupie! O czym ja w ogóle myślałam?!” – karciła samą siebie. Pora wziąć głęboki oddech i wrócić do pracy.

– Anna, szef chce cię wiedzieć!

Mogła spodziewać się takiego powitania. Wykonując odpowiedzialną pracę, musisz być odpowiedzialny. Spóźnienie jednej ważnej osoby zakłóca działanie całego systemu! Góra wniosków do podpisania i oddalenia rośnie, podobnie jak rośnie kolejka patentów. Cóż za dezorganizacja!

– Trzy i pół godziny spóźnienia? Czy stało się coś poważnego?

– Nie. Po prostu zasnęłam.

I co z tym zrobić? Mimo że taki wybryk kosztował ich utratę dobrej opinii u paru klientów, to w końcu jedynie zaspanie. Przyczyną nie było lekceważenie pracy czy zmiana priorytetów. O nie, nie. Faktycznie – Anna pracowała intensywnie, za kilka osób. A przecież jest człowiekiem, nie maszyną. Zasłużyła na odpoczynek i drugą szansę. Jej szef też był człowiekiem i miał sumienie.

– Należy ci się trochę odpoczynku. Jutro zaczyna się tygodniowa konferencja bankowości w Mediolanie. Zamierzaliśmy wysłać tam kogoś innego, ale... Ty powinnaś jechać. Między spotkaniami pospacerujesz, pozwiedzasz. Byłaś kiedyś w Mediolanie? Nie? No widzisz, to się dobrze składa. Tutaj masz bilet na pociąg, oczywiście przedział klasy biznes, i program konferencji. Wróć teraz do domu, odeśpij, spakuj małą walizkę i w drogę!

Rzeczywiście, taki wyjazd dobrze jej zrobi. Spa, masaże, drinki z pałeczką, bogaci bankowcy. I to na koszt firmy! A mogłaby to wszystko stracić! Na luksus trzeba sobie zapracować. Tak jak Anna. Wyjedzie, odpocznie i wróci ze spokojnym umysłem.

Spakowała małą walizkę – taką dla podróżujących na tydzień lub dwa. Tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Ubrania, bielizna, kosmetyki (niby małe, a zajmują najwięcej miejsca). Zapomniała tylko szczoteczki do zębów, ale to nic, kupi nową na miejscu. Walizka pierwszej potrzeby. Niewielka, ale mieszcząca wszystko, co pozwoli wieść przyzwoite życie na nowym terenie. Zamknięta w miejscu A, zostanie otworzona dopiero w miejscu B. Na razie czekała na podróż, stojąc przy drzwiach wyjściowych. Tuż obok szafki z ręcznikami i albumami. Ręczniki – czyste, białe, puszyste, jakby nigdy nieużywane. Albumy – prawie puste. Zawierały kilka zdjęć: święta u rodziców, dzień zakończenia studiów, konferencje bankowe, wieczory integracyjne z kolegami z pracy. Znacznie więcej zdjęć dokumentowało czas sprzed studiów.

Dzieciństwo – tak bogate w wydarzenia, które warto uwiecznić. Z biegiem lat takich

momentów jest coraz mniej. Zwłaszcza gdy każdy kolejny dzień przypomina poprzednie. Te same miejsca, ci sami ludzie, te same myśli – dzień po dniu. Umysł sam fotografuje wszystko na trwałej karcie pamięci. Zdjęcia wykute w skale – nie wywołują refleksji, bo znamy je doskonale. Każdy szczegół na pamięć. Wyuczone są również nasze reakcje na rzeczywistość. Rozpoznajesz pana X i reagujesz na niego negatywnie – jak zawsze. Dlaczego? Już nie kojarzysz. Emocje zapamiętujemy najłatwiej. Ich powody nie są już takie ważne. „Pamiętam, jak mnie kiedyś kochałeś!”, „Pamiętam, jak przez ciebie cierpiałam!”. Tak – emocje rzeźbimy w spiżu. Przywiązujemy się do nich, bo określają nasze człowieczeństwo, naszą tożsamość. Emocjonalny stosunek do ludzi i przedmiotów określa nas względem rzeczywistości, tworzy nam w niej miejsce...

Anna nie posiadała zbyt wielkiego bagażu emocji. Nie przywiązywała się do rzeczy, bo nie miała na to czasu. Podobnie z ludźmi – jej sympatie i antypatie pozostawały na płytkim poziomie. Tak było lepiej i wygodniej. Kiedyś polubiła Alicję, nową pracownicę banku, która zwolniła się ze stanowiska po trzech miesiącach. Anna nie miała kiedy pielęgnować przyjaźni poza pracą, więc jej powierzchowny sentyment szybko wrócił do poziomu obojętności.

O relacjach z mężczyznami tym bardziej nie było mowy. Ten typ związku działa rozpraszająco, utrudnia skupienie, uzależnia uczuciowo. Dlatego Anna nauczyła się ignorować emocjonalną sferę duszy. Miała na to niezawodny sposób: „w razie zauważenia wzrostu zaangażowania weź nadgodziny i zajmij się liczeniem pieniędzy”. Zaprzątnięcie umysłu obowiązkami zawsze działało. I tak trzydziestojednoletnia Anna żyła w świecie pozbawionym wszelkich fotografii.

Jednak niech czytelnik nie myśli, że bohaterka tej opowieści to maszyna całkiem pozbawiona delikatności i czysto ludzkich potrzeb. Otóż Anna bardzo ceniła sobie drobne przyjemności: gorącą, pachnącą kąpiel z dodatkiem olejków eterycznych, lampkę czerwonego wina, migotliwe światło świec. Być może właśnie dzięki takiemu odprężeniu tej nocy spała jak niemowlę. Natomiast jej podświadomość, nakarmiona intensywnie zdarzeniami dnia, pracowała bardzo kreatywnie. Anna śniła, że stoi na środku ruchliwej ulicy. Jedno z aut jechało prosto na nią, a ona – choć świadoma zbliżającej się śmierci – stała bez ruchu i czekała. Bum! Samochód uderzył w nią z hukiem, lecz jej nie zabił. Uciepiona pojazdu wzniosła się wraz z nim w przestrzeń, leciała długo i wysoko; usadowiwszy się wygodnie na masce, podziwiała mijane galaktyki, planety i słońca. Widok był tak piękny, że obudziła się z niechęcią, słysząc szczekanie psa na korytarzu. Zegar wskazywał pięć po ósmej. Za czterdzieści minut odjeżdżał pociąg do Madrytu. Lecz nie był to jedyny pociąg, który odjeżdżał tego dnia o 8.45...

Zerwała się z łóżka. Szybki prysznic, szybki makijaż, szybkie jedzenie jabłka podczas ubierania się. Całe szczęście, że wczoraj spakowała walizkę! Bieg do autobusu, bieg na stację kolejową. W jednej dłoni – mała walizka, w drugiej – bilet. Który peron? Trzeci! Konduktor gwizdże, chce zamykać drzwi. Jeszcze Anna! Zatrzymał się i z uśmiechem szerzej otworzył drzwi wagonu.

– Dziękuję – odpowiedziała zdyszana Anna, również z uśmiechem, i zaczęła szukać dla siebie miejsca.

– Dzień dobry. Czy można? – zapytała mężczyznę samotnie siedzącego w przedziale. Ten odparł, że oczywiście można, więc Anna usiadła – w przeciwległym kącie.

To bardzo ważne, żeby w ograniczonej przestrzeni zachowywać dystans. W przeciwnym razie powstaje sytuacja krępująca, wręcz nieznośna! Nieposzanowanie strefy intymnej współpasażera stawia nas w roli intruza, próbującego zdominować teren, który – na mocy prawa dżungli – należy do tego, kto zajął go pierwszy. Samopoczucie takiego intruza szybko ulega zakłóceniu, więc wierci się niemiłosiernie, oddalając regularnie centymetr na minutę, aż u kresu podróży siedzi w zupełnie innym miejscu niż na początku. Problem niekomfortowego ustawienia względem przestrzeni rozpoczyna najgorszy z możliwych – konflikt wewnętrzny, który polega na prowadzeniu długotrwałej debaty: przesiąść się czy nie? Najgorsze bywają sytuacje, kiedy rozpoczynamy wyprawę w licznej grupie, w której nie ustaje walka o tlen, a kończymy podróż w niemal pustym przedziale, siedząc tuż obok ostatniego ze współpasażerów. Przesiąść się czy nie?

Anna doskonale знаła się na podstawowych zasadach swobodnego podróżowania i od razu zagwarantowała komfort jazdy sobie i swojemu towarzyszowi. Był nim starszy mężczyzną z posiwiałą głową. Nosił wytarte dżinsy i sztruksową marynarkę z poprzedniego stulecia. Z czubka nosa zsuwały mu się okulary, a z kolan luźne kartki czytanej książki. Miał na imię John. Przewracał stronę, czytał tekst, po czym sięgał do kieszeni po kawałek papieru i wciskał go między stronicę. Następny tekst, następna zakładka. Ten powtarzany przez piętnaście minut rytuał przerwała jedna z niesfornych kartek, która wypadła z książki i pofrunęła na podłogę, tuż pod stopy Anny.

Anna z kolei przez ów kwadrans przeglądała zawartość telefonu, co jakiś czas zerkając ukradkiem na współtowarzysza podróży. Czytała wiadomości tekstowe. Niektóre z nich miały już ponad rok. Te najstarsze wydały się jej najbardziej interesujące. Przesłał je Adam – pierwszy i ostatni jak dotąd mężczyzna, z którym się spotykała. Ich związek nie trwał długo, może pół roku, może krócej (zależy, czy wliczymy w ten staż tak zwany okres podchodów, zawstydzenia, badania stanu emocjonalnego potencjalnego partnera). „To zaskakujące, jak szybko i jak bardzo się zmieniamy...”. Słowa, uczucia, które kiedyś wydawały się jedyną prawdą świata, zniknęły bezpowrotnie i z dystansu czasowego wydają się dziecinne, naiwne, fałszywe. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Adamem. Czuła pustkę w środku, kiedy postanowiła odejść, aby zacząć karierę w Warszawie. Bez najmniejszego wahania powiedziała o tym Adamowi. Zastanawiała się później, dlaczego nie cierpiała z powodu rozstania. Czy naprawdę zabiła w sobie tę miłość? Dawniej myślała, że nie sposób zmusić się do kochania lub odkochania. Zmieniły się jednak jej ideały i cele. Serce Anny pozostało niewzruszone nawet wtedy, gdy odczytywała ostatnią wiadomość od Adama: „Dziękuję za twoją miłość”.

Rwący nurt wspomnień został zatrzymany przez lądującą pod stopami Anny kartkę. Odłożyła telefon i sięgnęła po nią. Przelotnie przeczytała wydrukowane litery i oddała papier właścicielowi.

– O, dziękuję pani – odparł John i uśmiechnął się, rozpoznając tekst na kartce. – To bardzo ładny wiersz. Zna go pani?

– Nie wydaje mi się.

– Czyta pani poezję?

– Kiedyś czytałam. Teraz nie mam na nią czasu.

– Każdy powinien znajdować czas na poezję. Uczy myślenia i wrażliwości. „Odbyło się nawet umówione spotkanie. | Poza zasięgiem naszej obecności. | W raju utraconym prawdopodobieństwa”.

– Ładny.

– Rozumie pani, o czym to jest?

– Wydaje mi się, że o niespełnionych marzeniach.

– O tak. – John pokiwał głową i uśmiechnął się, patrząc Annie w oczy, po czym wrócił do lektury i chwilę później sięgnął do kieszeni po kolejny skrawek papieru.

– Mogę zapytać, co pan robi?

– Och! Zaznaczam swoje ulubione wiersze.

– Ale zaznacza pan każdą stronę...

John przyjrzał się książce i ze śmiechem starszego człowieka, który przypomniał sobie o jakiejś oczywistej rzeczy, odparł:

– Rzeczywiście! – I ponownie wrócił do lektury. Nie na długo jednak. Zmierzył wzrokiem bagaż Anny i ocenił:

– Pani nie jedzie na długo, prawda?

– Nie. To wyjazd służbowy. O mało co spóźniłabym się na pociąg. W tym pośpiechu zapomniałam o szczoteczce do zębów.

– Kupi pani na miejscu.

– Pan też nie jedzie na długo – powiedziała Anna, nie zauważając żadnej torby ani walizki.

– W moim wieku nie potrzeba już bagaży. Czasami nawet szczoteczka do zębów wydaje się zbędna. Lubi pani jeździć pociągami?

– Nie bardzo. Wolę samoloty – jest szybciej.

– Wszyscy teraz cenią sobie czas. To ciekawe, że przywiązują się tak bardzo do czegoś, czego nie ma. Ja lubię pociągi. Można w spokoju poczytać, poznać ciekawych ludzi. Dla mnie są

linią między dwoma różnymi światami. Rozumie pani – taką przestrzenią liminalną – ani tu, ani tam, a jednocześnie i tu, i tam. A jadąc tak wolno, dają czas na zauważenie tych własności.

– Ma pan rację. Pociągi zmuszają do myślenia. Ja rzadko znajduję czas na rozpamiętywanie przeszłości, a tutaj wróciły wspomnienia.

– To skarby. Wspomnienia... Uczą nas. Przypominają o tym, czego nie robić. Lub podpowiadają, co należy robić.

– Gorzej, jeżeli ktoś żyje wspomnieniami – zauważyła Anna.

– Gorzej, jeżeli ktoś nie korzysta ze swoich wspomnień. Wszystko, co przydarza się nam w życiu, czegoś nas uczy. Jeżeli nie zaliczymy tych lekcji, to będą się powtarzały i powtarzały, a my pozostaniemy nieporadni wobec życia. Czy jest już pani szczęśliwa?

– Chyba nie.

– Więc nie zaliczyła pani wszystkich lekcji.

– Mówi pan jak idealista. Też kiedyś taka byłam. Wierzyłam w miłość, marzenia... Ale to nie są praktyczne wartości. Nie nakarmią nas, nie zapłacą za czynsz. Zresztą myślę, że Bóg śmieje się z ludzkich marzeń.

– Bóg nie śmieje się z marzeń, tylko z przekonania ludzi, że marzenia spełniają się same. Więc wierzy pani w Boga?

– Chyba tak.

– Ciekawa z pani osoba. Chyba wierzy w Boga, ale nie wierzy w miłość i marzenia.

– Nie wiem już, w co wierzę. Do tej pory najbardziej wierzyłam w siebie, ale wczoraj stało się coś, co zachwiało tę pewność. Teraz chciałabym, żeby ktoś powiedział mi, co robić.

– Hm... Jeżeli pani sobie sama nie pomoże, to nikt pani nie pomoże. Sami wiemy najlepiej, co jest dla nas dobre. Ale myślę, że powinna pani sprawić sobie prezent i spełnić któreś ze swoich marzeń. Bo wciąż ma pani jakieś, prawda?

– W liceum grałam na gitarze i śpiewałam. Marzyłam, by wystąpić kiedyś dla publiczności.

– Ładne marzenie. A jest pani dobra w tym graniu i śpiewaniu?

– Kiedyś byłam. Teraz nie wiem. Dawno tego nie robiłam.

– Warto sprawdzić.

Na twarzy Anny zagościł uśmiech wywołany wizją siebie na scenie. Dziecięce marzenie,

ale szczerze i wciąż prawdziwie. Jej serce zabiło zgodnie z rytmem jadącego pociągu. Nieco szybciej. Stuk-puk, stuk-puk. Jednak serce swoją drogą, a życie swoją. Takie marzenia są nieracjonalne.

– Mówi pan, jakby to było takie proste...

– Oczywiście, że to jest proste. Niełatwe do osiągnięcia, ale samo w sobie jest proste i logiczne. Zawsze kiedy chcemy podążyć za głosem serca, odzywa się rozum. Próbuje przekonać nas, że świat działa tak i nie inaczej, ale to wszystko nasze wymysły, a raczej – wymysły innych, którym bardzo wygodnie się mieszka w naszych głowach. Żyjemy w świecie iluzji, stworzonym przez nasze doświadczenia. Załóżmy, że w dzieciństwie ugryzła cię wiewiórka. Czy po tym doświadczeniu nie odczuwałabyś niechęci do wiewiórek, czy nie podchodziłabyś do nich z rezerwą? – Gładko przeszedł na ty; Annie wydało się to naturalne.

– Myślę, że tak właśnie by było.

– Ale czy oznacza to, że każda wiewiórka, że wszystkie wiewiórki świata są agresywne i tylko czekają na okazję, by chwycić cię za palec?

– W żadnym wypadku! Złe doświadczenie z wiewiórką mogło być jednorazowym incydentem, co więcej, agresywne zachowanie nie musiało wcale wynikać z usposobienia wiewiórki. Mogła zostać do tego sprowokowana.

– Czy podobnie nie jest z marzeniami? Utarło się społeczne przekonanie, że marzenia to pobożne życzenia, które snujemy w dzieciństwie, ale nie mają nic wspólnego z prawdziwym światem i dorosłym życiem. Wydawać by się nawet mogło, że wszelkie próby spełnienia marzeń podejmowane przez dojrzałe osoby postrzegane są jako konspiracyjne działanie przeciwko ludzkości.

– O tak. Ale nieosiągalność marzeń to standard. Przecież wielu próbowało i bardzo rzadko kończyło się to sukcesem.

– Bo niewielki procent z próbujących naprawdę wierzy w swoje siły. Wydaje mi się, że kiedyś, dawno temu, spełnianie marzeń było na porządku dziennym. Trafił się jednak taki jeden z drugim, którzy nie zrealizowali swoich planów i rozpowszechnili opinię, że marzenia to strata czasu, bo życie jest twarde i nieprzyjemne.

– I nagle wszyscy ci, którzy wierzyli w marzenia, przestali w nie wierzyć?

– Ludzki umysł jest bardzo chłonny i podatny na wpływy. Często boimy się podjąć jakiś trud, jeśli nie znajduje się on na liście najczęściej podejmowanych zadań. Wszyscy zakładają firmy, rodziny, choć przecież dobre funkcjonowanie takich struktur to nie lada wyzwanie. Jednak są to wyzwania powszechnie akceptowane w społeczeństwie. Jeśli jednak ktoś postanowi zdobyć Mount Everest, będzie uważany za wariata, dziwaka lub w najlepszym przypadku – za szalenie odważną i wyjątkową jednostkę, bo takie wyprawy nie leżą w naturze zwykłego człowieka.

– Czyli twoim zdaniem założenie rodziny to taki sam trud jak zdobycie górskiego

szczytu?

– Tak właśnie myślę. Wszelkie wartościowanie, mówienie, co jest większym trudem, a co mniejszym, jest relatywne. Zależy od wpływów społecznych i osobistych doświadczeń, co udowodniliśmy wcześniej w przykładzie z wiewiórką. Człowiekowi, który przez całe życie uprawia wspinaczkę górską, wychował się w dziczy i nie wie, jak działa struktura rodzinna, z pewnością łatwiej przyjdzie zdobycie szczytu niż znalezienie żony.

– Chyba muszę przyznać ci rację – powiedziała Anna po krótkim namyśle.

– Doceniam to. Zazwyczaj trudno podważyć utarte przez lata opinie o świecie, a jeszcze trudniej przyznać komuś rację na głos.

– Czy ty postępujesz według wartości, o których mówisz? Bo wydaje mi się, że żyjemy w czasach sprzyjających hipokryzji.

– Tak, wielu może ci radzić, jak powinnaś żyć swoje życie, ale sami nie wiedzą, jak żyć własne. To normalne. Uczymy się od narodzin do śmierci. Czasami możesz znać prawdę o świecie, czuć ją, ale to nie zmienia faktu, że trudno ci żyć w zgodzie z nią.

– A świat nam w tym nie pomaga. Często burzy nasze idee, poddaje je próbom.

– Na tym to polega. Życie składa się z lekcji. Twoja wiedza będzie sprawdzana każdego dnia. Będzie ci się wydawało, że wszystko i wszyscy zmawiają się przeciw tobie i wyznawanym przez siebie ideałom.

– Jak wygrać taką walkę? Czy to w ogóle możliwe?

– Oczywiście! Powiedziałem, że „będzie ci się wydawało, że wszystko i wszyscy zmawiają się przeciw tobie”. Jednak tak naprawdę jedyną przeszkodą w realizacji marzeń i dotarciu do prawdy jesteś ty sama. To twoje lęki i brak wiary w siebie stoją ci na drodze. Umysł i ludzkie serce mają w sobie niewyczerpany potencjał rozwoju i kreacji. Jeżeli z pełną wiarą we własne siły podejmiesz działanie i będziesz kierować się dobrymi intencjami, to ufam, że cały świat: natura, Bóg, ludzie sprzymierzą się, aby pomóc ci w osiągnięciu celu.

– Czasami wydaje mi się, że wszystko układa się tak, jak powinno się układać. Pamiętam, jak zaczynałam pracę w banku. Wcześniej wszyscy mówili, że przede mną bardzo długa droga do znalezienia wartościowej i dobrze płatnej posady. Potem wielu nawet wątpiło, że dostanę tam, znaczy w banku, jakąkolwiek pracę. A ja czułam, że wszystko będzie dobrze. Byłam tak pewna sukcesu, że miałam wrażenie, iż właśnie dzięki temu tworzą się odpowiednie sytuacje, spotykam właściwych ludzi i wszystko dzieje się w stosownym czasie.

– Bo świat działa jak dobrze zorganizowana maszyna. To struktura oparta na przyczynie, reakcji i skutku. Nawet jeżeli spotyka cię w życiu coś nieprzyjemnego, to od twojej reakcji zależy, czy w przyszłości to zło zamieni się w dobro. Przecież jeśli chociaż jedna, najdrobniejsza rzecz, która wydarzyła się w dalekiej przeszłości, w bardzo odległym miejscu, potoczyłaby się inaczej, niż się potoczyła – teraz mogłoby tu nie być ani mnie, ani ciebie, ani

tego pociągu.

Drzwi przedziału otworzyły się z hukiem. Niewysoka, szczupła kobieta o falowanych blond włosach weszła do środka, bezlitośnie objając walizkę o futrynę i siedzenia.

– Dzień dobry! Pozwolicie państwo, że się do was przysiadę. Okropnie ciasno w tych pociągach! Czy byłby pan uprzejmy mi pomóc – poprosiła, próbując podnieść walizkę. John wstał żwawo i pewnym ruchem, niepasującym do jego wieku, ułożył bagaż nad siedzeniem. – Och, dziękuję. Wiszę ci herbatę w bufecie kolejowym...

– John – przedstawił się filozof.

– Amanda. A nasza towarzyszka podróży to...

– Anna.

– Miło mi – przywitała się Amanda i wyciągnęła rękę. Anna oddała uścisk i uśmiechnęła się przyjaźnie. Amanda, chcąc wkupić się w zawiązany już krąg znajomości, zagadała: – Wszyscy podróżujemy służbowo?

– Ja nigdy nie podróżuję służbowo – odparł John, powoli wracając do lektury.

– Ja zawsze podróżuję służbowo. Nie pamiętam już, kiedy odwiedziłam jakieś miejsce turystycznie. Teraz wracam z konferencji, gdzie udało mi się upolować kilku nowych klientów. A ty, Anno? Służbowo? Czy odkrywasz piękno świata?

– Jadę na konferencję. Też nie pamiętam, kiedy miałam czas na zwiedzanie. Ale chciałabym to zmienić. – To mówiąc, spojrzała na Johna, a on na nią. – Tak, wydaje mi się, że muszę nieco zmienić kurs i zająć się realizacją pewnych marzeń. Może nie tak abstrakcyjnych jak te, o których rozmawialiśmy, John, ale chciałabym znaleźć nieco czasu dla siebie, zrobić przerwę w pracy, poszukać prawdy o sobie.

– Poszukać prawdy o sobie? Co to znaczy? – zapytała Amanda, uśmiechając się krzywo.

– Zacząć robić to, co kocham, co mogłabym wykonywać z pasją.

– A co teraz robisz?

– Pracuję w banku.

– Naprawdę? A ja pracuję w ubezpieczeniach.

– I lubisz swoją pracę? – Anna obserwowała uważnie rozmówczynię. Łączyła je tożsamość sytuacji, ale różnił styl bycia.

– Nie jest to może praca marzeń – odparła pewnym głosem Amanda. Mówiła tak, jakby już dawno wprawiła się w udzielaniu odpowiedzi na to pytanie. – Ale nie wymaga ode mnie

zbytniego wysiłku. Nie przemęczam się. Muszę tylko rozmawiać z ludźmi, a ja lubię rozmawiać z ludźmi. W sumie więc robię to, do czego mam talent. I jeszcze na tym dobrze zarabiam. Więc jak mogę nie być szczęśliwa? Zresztą beztrudne godziny spędzane w sklepach rekompensują mi ewentualną nudę w pracy.

– Nigdy nie chciałaś robić czegoś innego?

– Kochana, wiem, do czego zmierzasz. Pogoń za marzeniami, słuchanie głosu serca, bla, bla... Już to sprawdziłam. Mój głos serca miał na imię Martin, a marzeniem była mała cukiernia w centrum Paryża. To zdarzyło się sześć lat temu. Wypatrzył mnie w kawiarni i śledził do stacji metra, gdzie mnie zaczepił. Był niezmiernie przystojny! Wiesz, wysoki ciemny brunet, głębokie, powalające spojrzenie... Jednym słowem: amant filmowy. Zakochałam się szybko i namiętnie. Za jego namową rzuciłam studia ekonomiczne i wyjechaliśmy do Paryża, gdzie skończyłam kurs pieczenia, bo planowaliśmy otwarcie cukierni.

– I otworzyliście ją?

– Tak, tylko że przez pierwsze pół roku nic się w niej nie działo. Nie mogliśmy się przebić przez konkurencję. To znaczy ja nie mogłam, bo sama zajęłam się prowadzeniem biznesu, a on biegał po barach i pubach. Nie dawałam rady utrzymać nas oboje. Kredyt za lokal był zbyt wysoki. Na szczęście zadłużyliśmy się na jego nazwisko, więc kiedy zastałam go w łóżku pijanego w sztok, w objęciach jakiegoś rudzielca, rzuciłam mu klucze do cukierni w twarz, spakowałam się i wróciłam do domu. Dzięki Bogu, przyjęto mnie z powrotem na uczelnię. Miałam wprawdzie mnóstwo zaległości, ale dałam radę je nadrobić. Dziś, jak widzisz, jestem szczęśliwą posiadaczką stałej pracy, kobietą niezależną od nikogo i niczego, wolną fizycznie i emocjonalnie. A mój terapeuta twierdzi, że wciąż robię postępy w *self-development*.

– Terapeuta? – zdziwił się John.

– No tak. Wszyscy teraz potrzebują terapeuty.

– Myślałem, że jesteś wolna od wszelkich zmartwień.

– Jestem wolna od wszelkich ograniczeń. I w sumie martwię się o niewiele rzeczy. Ale kto teraz nie miewa depresji od czasu do czasu? Wszyscy mają depresję!

– Ja nie miewam. I nie potrzebuję terapeuty.

– Pewnie jeszcze nie wiesz, że potrzebujesz. Mój terapeuta twierdzi, że wszyscy mają wewnętrzne lęki i kompleksy, a jedną z dróg do ich zwalczania jest mówienie o nich.

– To dobrze dla terapeuty, jeżeli pacjenci w to wierzą.

– Jesteś bardzo cyniczny, John, a cynikom wbrew pozorom trudno przetrwać we współczesnych realiach. Moja recepta: działać według planu i nie wychylać się! To zaoszczędza wielu zmartwień. Na przykład rozczarowania, kiedy interes twoich marzeń się nie kręci, a miłość twojego życia rżnie rudzielca.

Anna słuchała wywodów obu stron z zaciekawieniem. Miała mieszane uczucia, bo w obu postawach widziała cząstkę siebie. Z jednej strony lubiła stateczne życie, jakie prowadziła. Z drugiej zaś, szczególnie od jakiegoś czasu, odczuwała pustkę i chęć podążenia za głosem serca.

Pragnęła, by do działania porwał ją autentyczny entuzjazm. Chciałaby obudzić się rano i poczuć radość życia, poczuć, że ma misję, która znaczy coś dla niej i dla świata. A jeżeli porwanie się na marzenia to nie wszystko? Jeżeli to nie wystarczy? Amanda zaufała miłości i pasji... I zawiodła się na obu. Biznes nie wypalił, miłość nie przetrwała. Ale przecież każdy przypadek jest inny. Może Amanda tak naprawdę nie wierzyła w swój sukces, może nie czytała znaków, które wysyłał jej Martin. To, że jej się nie udało, nie musi znaczyć, że Annę czekałby podobny los. Amanda przynajmniej spróbowała, podjęła wyzwanie. Jeżeli Anna się na to nie zdecyduje, do końca życia będzie sobie zadawać pytanie: „a co by było gdyby...”. To najgorsze z możliwych pytań.

– Myślę, Amando, że masz trochę racji – przyznała Anna. – Uganianie się za marzeniami wydaje się nierozsądne i dziecinne. Co innego za pieniędzmi. Wszyscy pragną luksusu niemartwienia się o pieniądze. Niezależność emocjonalna też jest ważna. Znajdujemy się w podobnej sytuacji. Możesz mnie nazywać Niezależnością i Stabilnością! Ale każdy z nas jest inny i różnica między nami polega na tym, że ja nie jestem szczęśliwa.

– Ona też nie jest szczęśliwa! – wtrącił John bez pardonu.

– Nie tobie to oceniać. Skąd możesz wiedzieć, co siedzi we mnie w środku? Nie jestem typem osoby okłamującej samą siebie. Kiedy mówię, że jestem szczęśliwa, to jestem szczęśliwa. Dlaczego miałabym was oszukiwać, skoro spotkaliśmy się przypadkiem, nie znamy się, wkrótce się rozstaniemy? Możemy sobie pozwolić na pełną szczerość. Chodzi o to, że miewam depresję?

– Chodzi o to, że musisz z nią chodzić do terapeuty. Szczęście i spokój można znaleźć tylko w sobie. Zresztą nazywanie przez ciebie „depresją” stanu emocjonalnego świadczy o tym, że lubisz się torturować.

– Co masz na myśli?

– Każdemu zdarzają się gorsze dni. Jeżeli natomiast jesteś naturalnie szczęśliwa, to możesz spojrzeć na swój zły nastrój, nie identyfikując się z nim. Wtedy on odchodzi. Ty jednak określasz swój stan jako depresję, która potrzebuje terapeuty i leków, aby przeminąć. Przywiązujesz się do nazwy i mówisz: „mam depresję”, jakbyś ją posiadała.

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale czuła, że rośnie jej ciśnienie. Milczała przez chwilę, patrząc na Johna z otwartymi ustami przygotowanymi do wypowiedzenia kontrargumentu, który nie przychodził jej do głowy. Anna miała wrażenie, jakby siedziała w teatrze. Cały ten spektakl, rozgrywany przed nią, był edukujący i mógł się okazać niezmiernie dla niej ważny. Dlatego chłonęła każde słowo i gest postaci i w każdej z nich widziała siebie. Współczuła Amandzie i bała się, że za kilka lat znajdzie się na jej miejscu. Z depresją. Przed terapeutą, który wymyśli terapię polegającą na wmawianiu sobie stanu szczęśliwości opartego na pieniądzu i samotności.

Ciszę przerwało nagle otwarcie drzwi.

– Poproszę bilety do kontroli.

Powietrze w przedziale poruszyło się gwałtownie. Wszyscy sięgnęli po bilety i po kolei podawali je kontrolerowi. Amanda i John otrzymali je z powrotem z pozbawionym znaczenia: „dziękuję”. Lecz bilet Anny wciąż tkwił w ręku konduktora, który czytał go uważnie.

– Ma pani albo zły bilet, albo siedzi w złym pociągu – wydał wyrok. Anna zareagowała z opóźnieniem, wolno pojmując zaistniałą pomyłkę.

– Ale jak to? Prosiłam o bilet do Mediolanu.

– No i dostała pani. Tylko że ten pociąg jedzie do Amsterdamu. Źle pani wsiadła. Za dwie godziny będziemy we Frankfurcie. Tam może się pani przesiąść do Mediolanu, tylko musi pani kupić nowy bilet, a u mnie zapłacić karę za zły bilet. – Anna milczała. – Chyba że zmieni pani cel podróży i pojedzie do Amsterdamu.

– Ale to bez sensu... – W rzeczy samej. Przecież konferencja odbywa się jutro w Mediolanie. Po co Anna miałaby jechać do Amsterdamu?

– Naprawdę bez sensu? – zapytał John. – Amsterdam ma bardzo ciekawą scenę muzyczną...

– Przecież ona ma konferencję w Mediolanie! Co jej po Amsterdamie? – wtrąciła się Amanda.

Zakłopotana Anna myślała, więc znieczcierpliwiony kontroler rzekł:

– To niech się pani zastanowi. Wrócę za pół godziny.

– Anka, nad czym ty dumasz, dziewczyno? Przecież wyrzucą cię z pracy! – powiedziała matczynym tonem Amanda.

Anna wiedziała, że nie działa racjonalnie. Powinna jak najszybciej się przesiąść i ruszyć do Mediolanu. Jednak coś jej mówiło, że Amsterdam na nią czeka. Woła ją. Czuła, że poradziłaby sobie w nowym mieście, z nowymi ludźmi, z nowym życiem. Kusiła ją ta przygoda i wyobrażenia o niej zaczęły tworzyć się same, przewijając się przez myśli Anny jak obrazy rzucane przez projektor. Było to tym dziwniejsze, że nigdy wcześniej nie widziała Amsterdamu.

Zerknęła na Johna. Wrócił do lektury. Spojrzała na Amandę, która z kolei bacznie obserwowała ją. Nie istniało na świecie inne miejsce, w którym Anna chciałaby się teraz znaleźć bardziej niż w Amsterdamie. Miała wrażenie, jakby знаła to miasto od bardzo, bardzo dawna, ale zapomniała o nim. I teraz, kiedy sobie przypominała – poczuła, że zmierza do domu. Nie było innej drogi. Odwaga wypełniła jej serce. Spojrzała na bilet do Mediolanu, trzymany między kciukami a palcami wskazującymi, i przedarła go na pół.

Amanda wyjęła z torby żurnal o modzie i zatopiła się w lekturze. John, jakby przebudził się ze snu, podniósł głowę z westchnieniem i potakując z wolna, rzekł do Anny:

– *Bon voyage*, moja droga. *Bon voyage*.

Pies ujadął donośnie. Było to radosne szczekanie zwierzęcia zachęcającego do zabawy, próbującego podzielić się ze światem swoim szczęściem. Nikt nie wiedział dokładnie, co go tak cieszyło. Nierzadko zaspany mieszkaniec kamienicy otwierał szeroko okno i spoglądał na psa na wpół z pretensją za wczesną pobudkę, na wpół z życzliwością dla jego porannego entuzjazmu.

Wyżeł siedział na moście ponad kanałem i czekał w dal. Dźwięk podążał tunelem między domami, niesiony lekkim falowaniem wody. Regularny. Pulsacyjny. Melodyjny. Nie dręczył śpiącej. Budził ją delikatnie, wyciągając stopniowo ze snu, etap po etapie, aż w końcu przerwał cienką nić między dwoma stanami świadomości. Anna otworzyła oczy.

Powietrze było inne niż zazwyczaj. Bardziej rześkie, wilgotniejsze. Błękit nieba wlewał się do pokoju wraz ze słońcem. Cisza panująca na dworze uwypuklała szczekanie. Nie było słyhać typowego miejskiego szumu, samochodów, krzyków, klaksonów. Z ulicy dobiegały tylko regularne kroki przechodniów lub płynny turkot jadącego roweru. Amsterdam.

Anna zerwała się z hotelowego łóżka. Chciała założyć pierwszą rzecz, która wpadnie jej w ręce, lecz zaczęła wyciągać stroje po kolei. Kostium. Dopasowana spódnica. Eleganckie ciemne spodnie. Żakiet. Koszula. Obowiązkowe elementy odzieży bankowca. Za oknem było już dwadzieścia stopni. Zdecydowała się więc na spódnicę i koszulę – najbardziej przewiewny z możliwych zestawów.

Na zewnątrz dotarł do niej stłumiony gwar, rozbrzmiewający kilka przecznic dalej. Anna podążyła za tym dźwiękiem. Szła wzdłuż kanału. Woda chlupała delikatnie o brzeg. Zaczumowane łódki kołysały się rytmicznie. Na chodniku stały rowery. Masa rowerów! Przypięte łańcuchami do płotów i słupów. W miarę trwania spaceru hałas się wzmacniał. Wyłaniały się z niego poszczególne głosy, odrębne słowa, wreszcie całe zdania. Zatrzymania, wskazania, targowania. Pytania i odpowiedzi. Anna nie rozumiała wszystkiego. Nie znała holenderskiego, ale akcenty, tempo i głośność mówienia sugerowały znaczenie.

Zza rogu wyłoniły się stragany, masy ludzi zmierzających to w jedną, to w drugą stronę. Niezliczone barwy i kształty towarów. Niezliczone barwy i kształty kupujących. Ulica tonęła w kolorach. Nurt tłumu porwał Annę i poprowadził między alejami. Sprzedawcy krzyczeli do niej, zachęcając do zatrzymania się. Z daleka pokazywali swoje towary. Wśród nich – rzeczy orientalne, tworzone w oryginalny sposób przez ludzi z całego świata. Perskie dywany, arabskie koce, indyjskie suknie, nepalska biżuteria, japońskie akcesoria.

Zaczęły pojawiać się stoiska z jedzeniem. Sprzedający – Chińczycy, Francuzi, Hiszpanie,

Meksykanie – wyciągali w kierunku Anny swoje specjały. Drewniane meksykańskie stoisko, przystrojone kolorowymi materiałami, kipiało energią, latynoską muzyką, tańcem w wykonaniu kucharzy. Jeden z nich podał Annie na tacy nieco potrawy do spróbowania. Nie przestawał tańczyć i śpiewać. Zwolniła kroku i wyszła z barwnego nurtu. Skosztowała potrawy. Nigdy wcześniej nie czuła takiego bogactwa smaków. Owszem, próbowała już meksykańskiego jedzenia, nawet wiele razy, ale nigdy wcześniej nie przygotowywał go prawdziwy Meksykanin. Było to wyjątkowe doświadczenie. Pikantność, kwaśność i słodycz komponowały się w jedną całość, zachowując zarazem swą odrębność. Kolory potraw nabierały mocy w słońcu, kusząc soczystością i świeżością. Anna poprosiła o większą porcję specjału i sok pomarańczowy. Z takim śniadaniem ruszyła głębiej w rynek.

Zapach kwiatów unoszący się w powietrzu przyciągał uwagę. Kielichy otwierały się szeroko ku słońcu. Czerwone tulipany. Żółte żonkile. Za kwiatami powiewały chusty ozdobione florystycznymi motywami i lekkie, letnie sukienki. Z jaką ulgą ściągnęłyby z siebie krępujący urzędniczy strój, zastępując go delikatnym, zwiewnym materiałem! Wiatr pieszczący ciało...

Na końcu straganów był plac, na którym stała fontanna. Anna usiadła na jej brzegu, dojadając kupioną przed chwilą porcję owoców. Słońce ogrzewało jej plecy. Ludzie wylewali się z rynkowej uliczki i rozchodzili we wszystkie strony. Niektóre kobiety ocierały twarz chusteczką, inne chłodziły się wachlarzem. Mężczyźni nieśli torby z zakupami lub jedli lody w wafelkach. Oglądanie tych obrazów sprawiało Annie ogromną przyjemność i pozwalało jasno patrzeć w przyszłość. Co dalej? Będzie musiała znaleźć pracę i mieszkanie. Nie może zatrzymać się w hotelu na dłużej, bo szybko wyda wszystkie oszczędności. Od czego zacząć? Wypadałoby kupić lokalną gazetę i przejrzeć rubrykę ogłoszeń.

Dźwięki gitary doleciały do uszu Anny. Muzyka. Jakby prowadziła narrację do historii tworzonej przez przesuwające się przed oczami obrazy... Była coraz wyraźniejsza. Gitarzysta przybliżył się do Anny. Podniosła wzrok i ujrzała znajomą twarz. John uśmiechał się szeroko.

– *Goededag*, Anna! To po holendersku „dzień dobry”. Poza tym wystarczy ci tutaj angielski.

– John! Nie spodziewałam się, że cię jeszcze kiedyś spotkam. Dobrze zobaczyć znajomą twarz w obcym miejscu.

– Nie widzę, żebyś czuła się tu obco.

– Bo też czuję się bardzo dobrze! Tak naturalnie. Niby wszystko jest tu dla mnie nowe, inne, ale chyba... lepsze.

– Do lepszych rzeczy nie trzeba się przyzwyczajać.

– Tak zarabiasz na życie? – zapytała, wskazując na gitarę.

– To jeden ze sposobów zarabiania. Nie jedyny, ale najbardziej przyjemny. Lubię umilać ludziom czas. Bo to miłe, prawda? Kiedy podczas spaceru ktoś przygrywa z boku?

John zdążył się oddalić. Bez pożegnania. Anna rozglądała się, próbując dostrzec go w tłumie. Bez skutku.

Za to tłum dostrzegał ją. I oczekiwał kolejnego dźwięku wydobytego z gitary. Zatrzymał się dziadek z wnuczką, która patrzyła na Annę, zając lody waniliowe. Przystanął młody chłopak, będący na spacerze z psem. Spoglądał w wodę wypełniającą fontannę i tylko ukradkiem zerkał na gitarzystkę, jakby to patrzeć było zakazane.

Grze Anny przysłuchiwał się też malarz uliczny, który wykonywał portrety turystów. Pięć euro za karykaturę i osiem euro za portret realistyczny. To rozsądne ceny, biorąc pod uwagę, że karykatura jest bardziej szczerym wizerunkiem – uwidacznia nie tylko charakterystyczne cechy wyglądu, ale również wewnętrzne wady, których portretowani wolą nie widzieć. To był dobry malarz. Kiedy po raz pierwszy poproszono go o wykonanie płatnego portretu, dał z siebie wszystko, chcąc zadowolić klienta. Ów klient, szef największego sklepu obuwniczego w Amsterdamie, zobaczywszy gotowe dzieło, wyzwał artystę od najgorszych, krzyżąc, że wcale nie ma lisich oczu! Poniżony malarz postanowił, że od tej pory będzie pobierać od ludzi większe opłaty za upiększane wizerunki ich twarzy i osobowości. Tego dnia, gdy Anna po raz pierwszy zagrała w Amsterdamie, siedział nad swoją pracą nieco już znudzony. Jakby utracił wiarę w szczytną rolę sztuki. Malował turystów, przelewając na płótno swoją frustrację. Usłyszawszy jednak płynne dźwięki gitary, poczuł, jakby znów wzlatywał ponad ziemią, jakby używając pędzla i farb, mógł powiedzieć o świecie więcej, niż jakikolwiek inny człowiek ująłby w słowach.

Był tam też człowiek-rzeźba. Przebrany za Elvisa, siedział na krześle z wyprostowanymi nogami. W rękach trzymał małą gitarę, która nigdy nie wydobyła z siebie jednego tonu. Wydawałoby się, że taki człowiek-rzeźba nieruchomieje nie tylko ciałem, ale również umysłem, który przestaje pracować, a wszelkie myśli zastygają, zamarzają jak woda w lód. Lecz prawda jest taka, że ci, którzy trwają w bezruchu, to najbardziej chaotyczni myśliciele. Zamrożonego Elvisa trapiło wiele spraw, sam nie nadążał za strumieniem świadomości przepływającym przez jego głowę. „...może jutro nie przyjdę do pracy... a w sumie co to za praca tamten malujący ma lepszą może się przynajmniej wyżyć na płótnie jakie tępe uśmiechy na twarzach tych turystów może pojechałbym gdzieś na wakacje w tym roku jakieś ciepłe wyspy albo lepiej jakiś bardzo zimny kraj może Kanada na północy tam jest dopiero zimno wszystko w bezruchu jak ja i mają dobry syrop klonowy boże jaki jestem głodny...” Kontynuował swój bezładny monolog godzinami, dzień po dniu. Aż do dziś, kiedy usłyszał melodyjną opowieść Anny i wszystkie jego myśli naprawdę stężyły w bezruchu, tak jak ciało.

Daniel, właściciel baru „Felicità”, wyszedł na chwilę z lokalu. Tego dnia słońce nie dawało o sobie zapomnieć, przygrzewało mocno, wysuszało piasek, który lekko unoszony przez wiatr osiadał na stolikach. Daniel przechodził więc od blatu do blatu, wycierając je mokrą ścierką, i nie wiedzieć kiedy zaszuchał się w dźwięki gitary. Gdy artystka przestała grać, wyczekiwał kolejnej melodii. Daremnie.

Anna poczuła się zakłopotana spojrzeniami słuchaczy. Schowała instrument do futerału i zamknęła go. Usiadła w pobliskiej kawiarni; postanowiła napić się kawy, czekając na powrót Johna – chciała mu oddać jego własność. John nie przyszedł. Kiedy słońce osiągnęło najwyższy

punkt na niebie, promieniując trudnym do zniesienia gorącem, Anna zdecydowała się wrócić do hotelu. Po drodze kupiła szczoteczkę do zębów.

Zostawiła gitarę w pokoju i ruszyła w miasto na poszukiwanie mieszkania do wynajęcia i pracy na pełen etat. Pierwsze zadanie nie okazało się kłopotliwe. Szybko znalazła odpowiednią ofertę i postanowiła opłacić czynsz za kilka miesięcy z góry. O wiele gorzej było z dostaniem pracy. Mnóstwo ogłoszeń przewijało się w lokalnych gazetach. Kelnerka, kucharka. Kelnerka, kucharka. Nie umiała gotować. Nie musiała. Mieszkała sama i żywiła się na mieście. Praca kelnerki wydawała się jej mało ambitna. Możliwość awansu na stanowisko „starszej kelnerki” nie działała zbyt motywująco. O! Poszukiwany bankowiec! Na tym znała się doskonale! Zaraz, przecież nie porzuciła starego życia po to, aby zacząć identyczne, tyle że w nowym mieście. Ale co innego mogłaby robić? Pakowaczka, prasowaczka, kontroler jakości, pracownik produkcji, sklepikarz w budce z pamiątkami, lodziarz, murarz? Nic nie odpowiadało jej idealnej wizji życia w Amsterdamie. Z drugiej strony nie powinna szukać ideału. Ideały nie istnieją, zawsze musisz być gotowy na poświęcenie czegoś: czasu, ambicji, oczekiwań, komfortu... Tak czy siak, nie mogła zostać bez pracy w ogóle. To groziłoby koniecznością zamieszkania pod jednym z amsterdamskich mostów. Nieco rozczarowana i znudzona całodziennym poszukiwaniem, położyła się spać o północy. W jej głowie brzmiały gitarowe dźwięki.

Mieszkanie, które znalazła w ogłoszeniu, mieściło się w jednej z kamienic przy kanale na Lijnbaansgracht. Zmierzając do niego, mijała liczne kawiarnie i sklepiki. Wzdłuż ulic rosły drzewa i kwiaty. Głównie żonkile. Wszędzie żonkile. Przed urzędami i domami, pod oknami i nad brzegami. Zapach kwitnących jabłoni i wołanie przelatujących mew unosiły się w powietrzu.

Dom pod numerem trzydziestym pomalowany był na bordowo. Stał na rogu. Lekko przechylony, odstawał szczytem od szeregu ciasno przylegających do siebie kamienic. Anna zastanawiała się, jak to możliwe, że tak krzywy budynek nie zmiażdżył dotąd okien i nie wypchnął z nich szyb. Czy drzwi zewnętrzne zamykają się dokładnie? Wydawało się, że tak. Teraz, otwarte na oścież, zapraszały do środka. Do magicznego domu nad brzegiem wody.

Weszła. Na korytarzu stały dwie kobiety. Rozmawiały żywo w niezrozumiałym dla Anny języku, śmiejąc się głośno. Gdy usłyszały trzask zamykanych drzwi, spojrzały w kierunku gościa.

– Pani Anna? – zapytała niższa z kobiet, podchodząc bliżej. Miała włosy spięte w schludny kok. Idąc, lekko stukała obcasami. – To ze mną rozmawiała pani wczoraj przez telefon. Jestem Tessa. – Pracownica agencji nieruchomości przedstawiła Annie panią Hostings, kobietę w rozpuszczonych, posiwiałych włosach i kłapkach na nogach. – Pani Hostings mieszka tu od trzydziestu lat i chętnie opowie pani całą historię tego domu i okolicy.

Istotnie, starsza kobieta znała wszystkich sąsiadów, obecnych i byłych, żyjących i umarłych. Przywitała Annę z uśmiechem i zapewniła, że w razie potrzeby zawsze służy radą i pomocą.

Tessa i potencjalna nowa lokatorka udały się na pierwsze piętro. Mieszkanie nie było duże, ale przytulne i czyste.

– Idealne dla jednej osoby – zapewniła Tessa. – A jeżeli z czasem coś by się zmieniło, to

mamy też mieszkania o większej powierzchni na drugim i trzecim piętrze.

– Dziękuję bardzo, ale na nic takiego się nie zanosi. To mieszkanie w sam raz dla mnie, nie planuję powiększenia rodziny.

Cena również Annie odpowiadała. Od razu przewiozła swoje rzeczy z hotelu. Rozpakowała to, co miała, i spostrzegła, że mieszkanie, choć niedużych rozmiarów, wciąż jest prawie puste. Zapytała panią Hostings o miejsce, gdzie mogłaby kupić jakieś domowe sprzęty, i ruszyła na swoje pierwsze amsterdamskie zakupy.

Obraz, roślina, świeczka i patelnia zamieniły mieszkanie w dom.

Anna wymyła podłogi, przestawiła kilka mebli i zanim się obejrzała, nastał wieczór. Wyszła na krótki spacer. Podziwiała światła miasta, wdzięcznie odbijające się od powierzchni wody, po której wciąż pływały łodzie. Gwar wypełniał ulice, miasto wcale nie szykowało się do snu. Anna stała na moście i obserwowała przechodniów. Tutejsi, turyści, rowerzyści i piesi, wszyscy przemierzali się płynnie, jakby każdy doskonale znał zasady ruchu obowiązujące na amsterdamskich ulicach. Rozglądali się we wszystkie strony, każdy uważał na każdego. Szczególną przytomnością wykazywali się piesi, którzy zwinnie unikali zderzeń z innymi pieszymi, z rowerzystami, kierowcami skuterów i samochodów. Tych ostatnich było najmniej. Nie pasowali do przestrzeni miasta. Wąskie, brukowane uliczki, pamiętające czasy poprzednich epok, nie lubiły tych nowych lokomocyjnych wynalazków, które psuły powietrze i zakłócały ciszę. Ulice zdawały się nachylać delikatnie ku wodzie, jakby podstępnie planowały wrzucić nieliczne samochody do kanału.

Dopiero późnym wieczorem Anna poczuła zmęczenie. Zrobiło się jej ciepło na sercu, gdy pomyślała o powrocie do nowego domu. Amsterdam poruszał jej duszę. Nie miała pewności, czy to zadziałał czar nowości, czy to wpływ samego Amsterdamu, jego niezwyklej aury. Tej nocy spała twardym, nieprzerwanym snem.

Następnego dnia wróciła na plac z fontanną. Zabrała ze sobą futerał z gitarą, na wypadek gdyby pojawił się John. Usiadła w tej samej co wczoraj kawiarni i popijając poranną kawę, rozglądała się, wypatrując znajomego z pociągu.

– Dlaczego nie grasz? – Mężczyzna pojawił się nagle, znikąd, tak samo tajemniczo jak zniknął ostatnim razem. Siedział przy sąsiednim stoliku.

– John! Nie widziałam, kiedy przyszedłeś, a ciągle cię wypatrywałam.

– Lubię niespodziewane wejścia.

– I dobrze ci wychodzą. Przestraszyłeś mnie!

– To naturalne, że płoszą nas nagle, nieoczekiwane wydarzenia.

– Dlatego najlepiej spodziewać się wszystkiego zawsze i wszędzie – przyznała Anna, kiedy bicie jej serca zaczęło wracać do normalnego rytmu.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dlaczego nie grasz?

– Nie wiem, chciałam ci oddać gitarę.

– Też mi wymówka! Przecież nie zostawiłem jej bez powodu. Idź tam i graj!

– O nie, nie. Już więcej nie dam się namówić.

– Znalazłaś pracę?

– Szukałam. I poszukam jeszcze. Coś tam znajdę... – John nie odpowiedział, tylko patrzył na Annę badawczo, jakby przy pomocy rentgena oczu prześwietlał jej duszę. – John, ty na poważnie myślisz, że powinnam tam brzdękać?

– Co czułaś, kiedy brzdękałaś nad brzegiem fontanny? – zapytał.

– Nie wiem...

– Zastanów się chwilę.

– Trudno to nazwać. Chyba spokój. Jakby nie istniały żadne problemy. Jakbym nie musiała się o nic martwić. Ulga. Było mi dobrze.

– Czy właśnie nie o to chodzi w życiu? Czy nie to nazywamy szczęściem?

– Chyba tak, ale to takie absurdalne.

– Ciekawe, dlaczego ludzie lubią zaprzeczać temu, czego sami doświadczają?

– Czy zawsze to, czego doświadczamy, jest prawdą?

– A co to jest prawda?

– Dobre pytanie – przyznała Anna. – Nie powinniśmy myśleć, że prawdą jest to, co inni uważają za prawdę.

– Mhm. Prawda jest jednoosobowa. Nie ma innej prawdy prócz tej, która tkwi w tobie.

– Przyjmowanie innej prawdy za naszą będzie oszukiwaniem się.

– Rozumiesz to doskonale, ale wciąż boisz się uwierzyć i poddać temu.

– Może już zawsze tak będzie – stwierdziła ze zrezygnowaniem i jednocześnie z wiarą, że John zaprzeczy. Ale on spojrział w dal i odparł:

– Jeśli tak właśnie myślisz, to tak będzie. – Wstał, prostując się. – Zostawię ci jednak gitarę, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie i zatęskniła za brzdękaniem.

Włożył ręce do kieszeni i z miną beztroskiego *flânera* odszedł w miasto, pogwizdując wesoło. Anna została sama ze swoimi myślami. Czuła się jak uczennica, którą czeka egzamin z tego, czego się nauczyła.

Zapłaciła za kawę i usiadła na brzegu fontanny. Wyjęła gitarę z futerału i położyła palce na strunach. Nie mogła ich poruszyć. Jedna z nich, jakby trącona podmuchem wiatru, drgnęła lekko, zachęcając do gry. Ale palce pozostawały nieruchome. Czekwały. Anna wsłuchiwała się w melodię ulicy i poczuła, że stoi za murem. Bała się wejść w te dźwięki swoją muzyką, bo wiedziała, że kiedy zacznie, nie będzie mogła przestać. Będzie musiała kontynuować. A jeśli nagle zagra fałszywy ton? Jeśli nagle zapomni, jak to się robi, narażając się na śmieszność, na dezaprobatę i ironiczne współczucie przygodnych słuchaczy?

– Słyszałem dwa dni temu, jak grałaś. – Tuż przed Anną stanął Daniel, właściciel „Felicità”. Dojrzał dziewczynę z okna swojego baru i tak jak wczoraj czekał na melodię, która się nie pojawiała. – Czasami najtrudniej jest zacząć. Mogę to zrobić za ciebie.

Usiadł obok i wyciągnął rękę po gitarę. Anna zwlekała przez chwilę. Przecież nie ma czego się bać. Wokół pełno ludzi, środek dnia, nic nie może się stać. Podała instrument Danielowi i obserwowała go uważnie. Mężczyzna nie zawahał się. Od razu poruszył struny i dał się ponieść fałszywie brzmiącym dźwiękom.

– Oj, całkiem źle to robisz! – Anna zaśmiała się głośno.

– Jak to źle? Całe życie tak gram.

– Co nie zmienia faktu, że robisz to źle. Tamten palec połóż wyżej, a mały niżej. Nie, nie tak. O, prawie. Lekko w lewo.

– Nie mogę go już bardziej odchylić. Ściągnę mi się skończyło! Lepiej ty mi pokaż.

Anna chwyciła gitarę i zaczęła grać. Daniel ciągle siedział obok, nie przeszkadzał jej, nie przerywał. Wysłuchał koncertu do końca.

– Widzisz ten bar naprzeciwko? To mój biznes. Chodź, napijemy się czegoś. Jest gorąco.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– A, no tak! Głupek ze mnie. Przepraszam. Daniel – przedstawił się, podając jej rękę.

– Anna.

– Więc, Anno, potowarzyszysz mi?

– Czemu nie!

Wystrój lokalu był niewyszukany. Drewniane meble, krzesła o różnych kształtach i obiciach. Ściany niepomalowane, nagie. Bordowe cegły stwarzały ciepłą, intymną atmosferę. Na każdym ze stołów paliła się świeczka, a całe pomieszczenie tonęło w półmroku i dźwiękach delikatnego jazzu.

– To jest Greg – Daniel przedstawił barmana, który przygotował Annie szklankę toniku z cytryną.

Usiedli przy barze.

– Początki nie były łatwe. – Daniel opowiadał o tym, jak otwierał swój bar. – Duża konkurencja i trudno się przebić z nowym lokalem. Ale w sezonie turystów wystarczy dla wszystkich, więc interes się kręci.

– Jest tu bardzo przytulnie. Okoliczni mieszkańcy nie zagląдают?

– Mamy stałych klientów, oczywiście. Ale to, co na nich zarobimy, nie wystarczyłoby na wynajem i towar. Całe centrum żyje głównie z turystyki.

– Nie dziwię się. To piękne miasto – przyznała Anna.

– O tak. I barwne. Wciąż mnie czymś zaskakuje.

– Ja jestem tu od paru dni i nie mogę się nadziwić! Najbardziej fascynują mnie rowerzyści.

– Są świetnie zaopatrzeni, prawda?

– Tak! Te kosze, pojemniki i taczki, w których przewożą dzieci!

– To charakterystyczne dla Amsterdamu. Więc jesteś tu od niedawna?

– Od czterech dni. Zdążyłam znaleźć mieszkanie.

– Czyli w ogóle nie widziałas jeszcze miasta!

– Spacerowałam tu i tam.

– Bez przewodnika, który dobrze zna otoczenie, to nie to samo! Możemy się umówić. Zaprowadzę cię do fajniejszych miejsc.

– Chętnie lepiej poznam miasto. Na razie każda uliczka wygląda dla mnie tak samo.

– Tylko z pozoru wydają się identyczne. Jeśli porozmawiałabyś z pływającymi po kanałach, powiedzieliby ci, że wszędzie jest inaczej. Trzeba się tylko przyjrzeć. Tu każda

kamienica ma inny kolor i kształt.

– Wierzę, że tak jest. Na razie jednak mój umysł nie pozwala mi na beztruską obserwację i odkrywanie tajemnic. Ciągłe martwię się o to, jak zorganizować sobie tu życie.

– Zaraz, więc przyjechałaś tu pod wpływem impulsu, bez konkretnych planów?

– Wiem, to brzmi dziwnie i nieracjonalnie. Ale znalazłam się w takim punkcie życia, że musiałam coś zmienić. Przestało mi zależeć na tym, co miałam. Pracowałam w banku, w Polsce. Jechałam na konferencję, w pociągu poznałam Johna, który tak mi namieszał w głowie, że...

– Zakochałaś się w pociągu i przyjechałaś tu, rzucając wszystko?

– Nie, nie! John to miły, starszy pan, filozof. Zaczęliśmy rozmawiać w pociągu o życiu, o marzeniach. Wiesz, jak to jest, kiedy różne rzeczy chodzą ci po głowie, ale nie masz odwagi się do nich przyznać, aż tu nagle pojawia się ktoś, kto za ciebie wypowiada na głos twoje myśli...

– Mniej więcej.

– O dawna chciałam gdzieś wyjechać, coś zmienić. A John uświadomił mi, że nic nie może mnie przed tym powstrzymać, oprócz mnie samej. Ale ciągle mam wątpliwości. Muszę znaleźć pracę.

– Jako gitarzystka?

– Jestem bankowcem.

– Myślałam, że też gitarzystką.

– To nie zawód. Po prostu lubię grać.

– A dlaczego nie pójdziesz za głosem pasji? Przecież przyjechałaś tu, żeby coś zmienić. Chyba nie masz zamiaru pracować w amsterdamskim banku?

– Myślałam o tym przez chwilę, ale chyba nie...

Daniel patrzył na Annę badawczo, próbując odkryć prawdę o tej kobiecie, która wydała mu się nieco zagubiona, ale pełna ambicji.

– Może popracujesz dla nas? – wtrącił Greg, który przysłuchiwał się rozmowie. Anna spojrzała na niego pytająco.

– Nie znam się na pracy w barze – powiedziała.

– Myślę, że Greg nie mówi o pracy za barem – wyjaśnił Daniel i spojrzał w głąb lokalu. Anna podążyła za jego wzrokiem, który zatrzymał się na scenie.

– Nie mówicie poważnie! – Zaśmiała się.

– Dlaczego nie? Chodź! – Wstał, zabrał gitarę i ruszył w stronę sceny. Greg uśmiechnął się do Anny i skinął głową z aprobatą, zachęcając ją, aby podążyła za Danielem, który wyjął już instrument z futerału. Serce Anny zabiło szybciej. Chwyciła gitarę i usiadła na wskazanym krześle stojącym na środku sceny. Zawahała się, ale Greg krzyknął zza baru:

– Graj śmiało! – Wyłączył muzykę płynącą z głośników. – Chcę usłyszeć!

Anna, widząc zachęcające uśmiechy i życzliwość w oczach nowych znajomych, zaczęła grać.

Daniel obserwował jej ruchy i mimikę. Wiedział, że Anna jest teraz na właściwym miejscu, i postanowił, że bez względu na wątpliwości gitarzystki, które – jak podejrzewał – nastąpią, nie pozwoli jej stąd odejść. Melodia dobrze brzmiała w lokalu. Odpowiednia akustyka wzmacniała dźwięki, co Anna bardziej wyczuwała, niż słyszała, dlatego grała pewnie, a po kilku minutach zaczęła nucić.

– Znam tę piosenkę! – krzyknął Greg i wsparł Annę swoim głosem. To jeszcze bardziej dodało jej odwagi i przez chwilę śpiewali razem. Kiedy do baru wszedł pierwszy gość, Greg zamilkł, przygotowując zamówienie. Jednak głos Anny i dźwięki gitary nadal wypełniały pomieszczenie. Kiedy skończyła, ręce lekko jej drżały, a serce mocno biło. Daniel, chcąc uprzedzić ewentualne protesty, zapewnił:

– To było świetne! Masz u nas pracę.

– Ale...

– O nic się nie martw. Dogadamy się w kwestii wysokości procentu od utargu, który dostaniesz. Jestem przekonany, że twoja muzyka przyciągnie do nas więcej klientów. A to się opłaci. Jeżeli w lokalu panuje przyjemna atmosfera, goście zostają dłużej, więcej zamawiają, dochody rosną. Więc z zarobkiem dla ciebie nie będzie żadnego problemu. Chodź, pogadamy o szczegółach na zewnątrz. Jest dziś za ładne słońce na siedzenie w środku.

Anna nie zdążyła odmówić. Zdecydowanie Daniela nie pozostawiało czasu na nadmierne analizowanie sytuacji, do czego Anna miała tendencję.

Wieczorem następnego dnia miała zagrać swój pierwszy koncert. Rozmyślała o nim od rana. Wyobrażała sobie, jak stoi na scenie przed dużą publicznością albo jak występuje dla małej, kameralnej grupy słuchaczy. Prowokowała uczucie tremy, sądząc, że dzięki temu oswoi się z emocjami i łatwiej zapanuje nad nimi podczas występu. Umysł zaczął jej płatać figle. Snuł wizję całkowitej porażki – zerwana struna, niedające się opanować zdenerwowanie, cięte komentarze publiczności. Próbując przezwyciężyć pesymistyczną wyobraźnię, oszukiwała ją obrazami pełnego sukcesu – owacja na stojąco, rozmarzone spojrzenia słuchaczy, aprobaty znanego krytyka muzycznego, który akurat zawitał do „Felicità”.

O dziewiętnastej Anna pojawiła się w barze z gitarą. Ruch był spory i Greg biegał od

prawej do lewej, obsługując gości. Daniel nie ustępował mu w tempie pracy. Podchodził do każdego z uśmiechem, komplementem lub ciekawą anegdotą. Przywitali się obaj z Anną i posadzili ją przy bufecie. Kiedy większość gości otrzymała już zamówienia i usadowiła się wygodnie na miejscach, zajmując niemalże wszystkie stoliki, Daniel pomógł Annie przygotować się do występu. Oświetlił scenę reflektorem, ustawił krzesło i mikrofon.

Ludzie, zajęci rozmowami, nie zwracali większej uwagi na tę krzątanicę. Tylko jedna kobieta, ubrana w kwiecistą sukienkę, szepnęła z radością do swojego towarzysza:

– Zobacz, będzie koncert na żywo! Uwielbiam je!

Gdzieś w rogu sali czwórka mężczyzn w garniturach omawiała sprawy biznesowe. Największy ze stolików zajęła grupa studentów, nieco zmęczonych ostatnimi egzaminami. Z boku młode małżeństwo rozmawiało o swoim dziecku, które zostawili w domu, pod opieką babci, po raz pierwszy od pięciu miesięcy. Sześć kobiet planowało wieczór panieński dla przyjaciółki. Najwięcej było par – zapatrzonych w siebie, obojętnych wobec świata. Ciekawe, dla ilu z nich to pierwsza randka? Ilu nie spotka się już nigdy więcej, a ilu będzie kontynuowało rozwijanie przyjaźni? Anna pomyślała, że niezmiernie ważna dla rozstrzygnięcia tej kwestii okaże się atmosfera dzisiejszego wieczoru. Być może właśnie odpowiednia oprawa muzyczna zadecyduje o powodzeniu randki? Cóż za odpowiedzialność! Co za misja! Dla sprawy takiej wagi warto zapomnieć o tremie, dumie, własnym ego i oddać się grze bez reszty.

Tak też się stało. Anna zniknęła, ale jej muzyka zdominowała przestrzeń. Goście, zapatrzeni i zasłuchani w grającą wokalistkę, oklaskiwali każdy utwór i wielu z nich długo wspominało ten wieczór.

Więść o kameralnych występach w „Felicità” szybko się rozniosła. Znajomi opowiadali znajomym, więc ruch w barze znacznie wzrósł. Wzrosły również dochody i Anna za zarobione pieniądze mogła opłacać mieszkanie, robić zakupy i pozwalać sobie na drobne przyjemności.

Z czasem sceniczna trema opuściła ją niemalże całkowicie, ale przed każdym występem czuła przyspieszone bicie serca. Pierwszy występ zapisał się w jej pamięci najlepiej. Był jak przekroczenie progu, przejście z dawnego do nowego życia. Tego wieczoru zrozumiała, że jej przyjazd do Amsterdamu był dobrą decyzją i że w końcu znalazła swoje miejsce na ziemi. Goście zostali do późna. Większość z nich opuściła bar dopiero wtedy, kiedy Anna zeszła ze sceny. Poziom ekscytacji i adrenaliny był w jej ciele tak wysoki, że choć minęła północ, nie czuła zmęczenia. Pomogła Danielowi i Gregowi w sprzątanii. Zebrała z dworu popielniczki i świece, pozmywała naczynia. Kiedy po pierwszej Greg skończył myć podłogę i pożegnał się, Daniel zaproponował, że odprowadzi Annę do domu.

– Wspomniałaś występ, Aniu. Spodziewałem się, że będzie miło, ale ty po prostu oczarowałaś gości!

– Czułam się bardzo dobrze na scenie, ale byłam trochę zdenerwowana.

– Nie zauważyłem.

– Tak tylko mówisz – odparła z lekkim uśmiechem. Wiedziała, że Daniel skłamał. Mimo pewności siebie, jakiej nauczono ją w banku, nie miała pewności siebie w muzyce – cały czas podczas występu czuła rumieńce na twarzy.

Szli w ciszy, która nie wydawała się ani trochę krępująca.

Daniel westchnął, potarł dłonią czoło i powieki, po czym rzucił:

– Wiesz, jestem strasznie głodny. A ty?

Anna spojrzała na niego ze zdziwieniem:

– Ja trochę też, ale jest pierwsza w nocy. Chyba nie masz zamiaru jeść o tej porze...?

– A tak! Mam zamiar i zapraszam cię na późną kolację. – Ukłonił się paradnym gestem, co rozbawiło Annę.

– Z przyjemnością panu potowarzyszę – odpowiedziała z równie przesadną grzecznością.
– Myślisz, że gdzieś jeszcze będzie otwarte?

– Znam pewne przyjemne miejsce.

Skręcili w najbliższą uliczkę i wkrótce znaleźli się na drewnianej kładce tuż przy samym kanale. Anna rozejrzała się wokoło z zakłopotaniem i zapytała:

– Gdzie jest ta restauracja?

Daniel spojrział na zegarek, a potem w górę kanału.

– Właśnie nadpływa!

Po wodzie wolno przemieszczała się łódź z oszklonym pokładem, na którym zauważyli stoły pokryte białymi obrusami. Świece i punktowe halogeny rozświetlały wnętrze subtelnym blaskiem. Kilka osób siedziało w środku.

– Żartujesz?! – Anna zaśmiała się, zakrywając usta. Widok był magiczny. Pływająca restauracja wyłoniła się z ciemności jak zaczarowany pociąg wyjeżdżający z mgły, zabierający podróżnych do krainy baśni i wyobraźni.

– Nie bój się, pomogę ci wejść na pokład, a jeśli wypadniesz za burtę, to skoczę cię ratować. – Chwycił ją za rękę i podeszli bliżej krawędzi kładki. Łódź podpłynęła. Pokładowy wyskoczył na brzeg i sprawnie przywiązał cumy. Podszedł do czekających.

– Daniel? Miło cię widzieć!

– Cześć, Karol! To Anna.

– Witam. – Mężczyzna wyciągnął rękę do Anny.

– Cześć – odparła, ujmując jego dłoń.

– Wchodźcie śmiało! – zaprosił Karol i otworzył drzwi na pokład.

Gdy usiedli przy stoliku, Anna spojrzała pytająco na Daniela.

– Myślałam, że wejście na pokład zaczarowanej restauracji jest płatne.

– Za czary płaci się tylko wtedy, kiedy są oszustwem – odpowiedział, ale gdy wyraz zdziwienia nie zniknął z twarzy Anny, dodał: – Tak poważnie, kiedy przyjechałem do Amsterdamu sześć lat temu, zacząłem pracować dla firmy turystycznej jako kapitan łodzi.

– Naprawdę? Masz patent żeglarski?

– To jeden z moich ukrytych talentów. W sumie – jedyny.

Karol podał im menu.

– Długo dla nich pracowałeś?

– Trzy lata. Później postanowiłem otworzyć bar.

- Musiało ci być trudno rzucić pracę i zaryzykować otwarcie własnego biznesu.
 - Nie do końca. Przyjechałem do Amsterdamu z pewnymi oczekiwaniami... Zaraz ci wszystko opowiem, tylko zamówmy coś. Umieram z głodu!
 - Zachęcające są te dania – oceniła Anna. – Ja chyba już wiem, co chcę.
 - Ja też. – Daniel spojrzeniem przywołał Karola.
 - Na co macie ochotę, kochani?
 - Poproszę sałatkę grecką – zamówiła Anna.
 - A dla mnie naleśnik ze szpinakiem i fetą.
 - Mhm. A co do picia? Wino czy coś bezalkoholowego?
 - Myślę, że wino będzie dobre. Jakie lubisz, Aniu?
 - Czerwone. Merlow.
 - Świetnie! To poprosimy dwa kieliszki.
 - Za chwilę wam przyniosę. – Karol zabrał karty i poszedł pod pokład, gdzie znajdowała się kuchnia.
- Daniel patrzył na Annę z uśmiechem.
- Nie jesteś z tych konserwatywnych osób, którzy do serów muszą pić białe wino, a do mięs czerwone.
 - A wolałeś białe?
 - Nie, nie. Ja też lubię czerwone. Zawsze, bez względu na to. Chciałem tylko powiedzieć, że cieszę się, iż spotkałem w końcu kogoś, kto ma tak samo jak ja.
 - No tak. Mam tak samo. Zresztą czerwone jest chyba zdrowsze.
 - Podobno tak. Na krew!
 - Na krew – przyznała Anna. – Opowiadałeś o przyjeździe do Amsterdamu...
 - Tak, tak. Przyjechałem tu nie bez powodu, miałem marzenia, które chciałem zrealizować. Wcześniej mieszkałem w małym miasteczku na Węgrzech, pracowałem w biurze rachunkowym. Gdy skończyłem dwadzieścia pięć lat i studia, postanowiłem pchnąć swoje życie na odpowiedniejszą dla mnie tory. Nie chciałem mieszkać na Węgrzech, znudziło mnie to państwo, znane mi zresztą od dzieciństwa. Nic mnie tam nie zaskakiwało. Przyjechałem tutaj z

zamiarem otwarcia własnej knajpy. Kawiarni, pubu, czegoś takiego, miejsca, które przyciągałoby ciekawych ludzi.

– Ciekawych?

– Tak. Chodzi mi o to, że pewne typy ludzi preferują określone miejsca. Bogaci konsumenci najczęściej wybierają styl *glamour* czy, jak ja to nazywam, wylizane restauracje. Osoby twórcze poszukają czegoś innego, oryginalnego, bardziej kameralnego. Nie chcę kategoryzować. Nie wiem też, co ty lubisz, a nie chciałbym cię urazić...

– Nie uraziłeś. Jakkolwiek nie lubię szufladkowania, myślę, że masz trochę racji. A klimat „Felicità” podoba mi się, stymuluje do myślenia.

– Właśnie to chciałem osiągnąć. Lubię ludzi myślących, a niestety coraz mniej ich wokoło. – Anna twierdząco pokiwała głową, a Daniel kontynuował: – Zatem od początku wiedziałem, co chcę tu robić. Tylko że nie było mnie stać na otwarcie baru od razu. Załapałem się do pracy na wodzie, bo uwielbiam żeglować. To zaczęło się jeszcze w liceum.

– Pasjonowało cię żeglarstwo czy imprezy na jeziorach? – Anna roześmiała się.

– Te dwie sprawy są często nierozłączne. Lubiłem i jedno, i drugie, ale w odróżnieniu od kilku przyjaciół zrobiłem patent. Tutaj musiałem tylko zapoznać się z mapą kanałów, poćwiczyć pływanie na firmowych łodziach i... przyjęli mnie do pracy. Udało mi się odłożyć trochę pieniędzy, złożyłem wniosek o dofinansowanie unijne i spełniłem swoje marzenie.

– Więc teraz jesteś najszczęśliwszym facetem na ziemi.

– Jeszcze nie. Jeszcze trochę mi do szczęścia brakuje. Niemniej spełnienie marzenia przyniosło mi wiele radości. Nadal cieszy mnie praca w barze i nie wyobrażam sobie, bym mógł robić coś innego. Wydaje mi się jednak, że to, czy spełnisz swoje marzenie, zależy tylko od ciebie. I uda ci się, musisz tylko naprawdę tego chcieć i wierzyć w powodzenie.

– Brzmisz wyjątkowo znajomo...

– Naprawdę?

– Winko dla was. – Karol pojawił się znikąd. – Mam nadzieję, że będzie wam smakowało. Za chwilę przyniosę jedzenie – oznajmił i ruszył z powrotem pod pokład.

– Widzisz, ja nieco boję się... bałam się tego spełniania marzeń – przyznała Anna. – Ale teraz, po pierwszym występie, czuję w sobie siłę. Chcę to robić dalej. I cieszę się, że cię poznałam. Pojawiłeś się w najodpowiedniejszym momencie i bardzo mi pomogłeś.

– Wszystko układa się tak, jak powinno. Zawsze dzieje się coś sprzyjającego twoim planom. Musisz to tylko zauważyć i skorzystać z okazji. Ale cieszę się, że to ja mogłem ci pomóc. – Uniósł kieliszek wina. – Za spełnianie marzeń.

– Za spełnianie marzeń – Anna powtórzyła toast. Brzdęk kieliszków wkomponował się w dźwięki muzyki.

Karol podał im kolację i życząc smacznego, spojrzął na Daniela, jakby chciał powiedzieć: „Ty szczęściarzu...”.

Anna przyciągała męskie spojrzenia. Poczucie, że się podoba, wprawiało ją w dobry nastrój, ale odrzucała wszelkie próby zbliżenia się do niej. Wizja romantycznej miłości z jednej strony zakorzeniła się w jej sercu jak w sercu każdej kobiety, jednak z drugiej – śmieszyły ją te damsko-męskie gry. Wiedziała, że początki miłości zawsze są piękne, ale podlegają pewnym zasadom. Odpowiednie pytania i gesty ze strony mężczyzn służą wybadaniu intencji kobiety i poznaniu jej prywatnej sytuacji, komplementy służą obłaskawieniu, a pozorna obojętność również jest strategią. Poznała reguły tej gry. Myśl, że mężczyźni naprawdę wierzą w skuteczność ich działania, pociągała za sobą następną: postrzegali ją jako osobę naiwną, łatwo ulegającą manipulacji.

Anna nie była naiwna. Kolacja przy świecach? Miłe spędzenie wieczoru, ale nie wolno tracić czujności. Wrażliwe serce kobiety, podatne na romantyczne gesty, łatwo zranić. A jeśli faktycznie zostanie zranione? Chociażby nie celowo? Rozproszy to jej uwagę, wzbudzi emocje, osłabi racjonalność. Nie ma w jej życiu miejsca na takie stany. Rzeczywistość wymaga ciągłego skupienia i trzeźwości umysłu. Można pozwolić sobie na małą przyjemność, jedną romantyczną kolację, spacer pod gwiazdami... Ale trzymaj emocje na wodzy, Anno! Nie poddawaj się złudnym wizjom miłości aż po grób.

Podczas kolacji opowiedziała Danielowi o swojej pracy w banku, o spotkaniu z Johnem, o decyzji przyjazdu do Amsterdamu. Była dumna ze swoich ostatnich kroków.

Wysiedli z łodzi na stacji znajdującej się w pobliżu mieszkania Anny. Daniel odprowadził ją do drzwi kamienicy.

– Dziękuję, że mi potowarzyszyłaś. Nie lubię jeść sam.

– Było bardzo miło. Też ci dziękuję – odpowiedziała i dostrzegła na twarzy Daniela zakłopotanie. Chwilę później spojrzął na nią pewniejszym wzrokiem. Tym wzrokiem znaczącym, oczekującym, a jednocześnie – zachęcającym. Jej serce zabiło szybciej. Chciał ją pocałować! Anna nie miała wątpliwości. Naprawdę sądził, że mu na to pozwoli? Po paru dniach znajomości? Wydaje mu się, że ją uwiódł, czy co? Zanim Daniel wykonał jakikolwiek ruch, Anna odwróciła głowę, jakby nic nie zauważyła i powiedziała:

– To do zobaczenia jutro wieczorem.

– Tak, do zobaczenia – odparł Daniel i przytulił ją po przyjacielsku.

Anna nie mogła zasnąć tej nocy. Myślała o wszystkim, co przyniósł miniony dzień. O szansie, którą dostała, o tym, jak dobrze się czuła przed publicznością, o rejsie pośród nocnych świateł Amsterdamu, o Danielu, którego bardzo polubiła. Miała nadzieję, że to, co zauważyła przy pożegnaniu, było jedynie jej imaginacją. Nie chciałyby go zranić, ale nie zamierzała też

wprowadzać do ich relacji niepotrzebnych emocji. Przyjemnie czuła się w jego towarzystwie, lubiła ich wspólne rozmowy – szkoda byłoby to popsuć. Niemniej... widziała w nim też przystojnego, mądrego mężczyznę, który sprawiał, że czuła się zdolna przenosić góry.

Rano obudziło ją szczekanie psa. Znów wpatrzony w dal, ujadał nie wiadomo dlaczego. Anna zjadła śniadanie i wyszła z domu. Błądziła między uliczkami, poznając strukturę miasta, odkrywając nowe miejsca. Znalazła sklep z anglojęzycznymi książkami. Przeglądała akurat pozycję o psychologii, kiedy w jej torbie zadzwonił telefon.

– Daniel? Dzień dobry.

– Cześć, Aniu. Właśnie uspokoił nam się ruch w „Felicità” i pomyślałem o obiedzie. Masz ochotę na rybę?

– Pewnie, czemu nie.

– To spotkajmy się na rogu Singel i Droogbak. Wiesz, gdzie to jest?

– Blisko mojego domu, wiem. To za piętnaście minut?

– Zgoda! Do zobaczenia!

– Na razie. – Schowała komórkę i uśmiechnęła się do siebie na myśl, że jej towarzystwo sprawia Danielowi wyraźną przyjemność. I z wzajemnością.

Zjedli wspólnie obiad. Prosty, lecz bardzo smaczny – ryba z pobliskich wód i frytki.

– Paliłaś kiedyś trawkę? – zapytał Daniel.

– Kiedyś, na studiach – odpowiedziała Anna, domyślając się, co Danielowi chodzi po głowie. – Przestałam, kiedy zaczęłam pracować. W Polsce marihuana nie jest legalna.

– Tutaj tak, ale niektórzy nie wiedzą, jak z niej korzystać.

– Czyli? Jedyne, co pamiętam ze swoich doświadczeń, to niechęć do ludzi i senność.

– Więc albo za dużo wypaliłaś, albo trafiłaś na jakieś świństwo. Wszystko jest dla ludzi, ale z niczym nie należy przesadzać. Jeśli znajdziesz dla siebie odpowiedni gatunek, powinien wyciągnąć z ciebie to, co najlepsze. Pobudzi umysł i talent. Myślę, że dobrze by ci się po niej grało.

– Muszę wierzyć ci na słowo.

– A nie powinnaś. Chodź! Skoczmy do Abraxas.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... – Wahala się.

– W Polsce ludzie nie palą? – zapytał Daniel.

– Oficjalnie nie, ale wiem, że wielu młodych ludzi pali.

– Ja mam ochotę, więc możemy tam wpaść i najwyżej na miejscu zdecydujesz, czy chcesz, czy nie. Nowe doświadczenia nie są złe. Zresztą nie można być w Amsterdamie i nie spróbować tego, z czego słynie!

Chwilę później znaleźli się przed jednym z coffee shopów. Do nozdrzy Anny docierał charakterystyczny, intensywny zapach marihuany. Lokal tonął w półmroku, chroniąc wrażliwe, zaczerwienione oczy gości. Była tam młoda dziewczyna w dredach. Jej twarz wydawała się smutna, lecz przyjrząwszy się lepiej, Anna uznała, że to raczej refleksyjność i spokój. Dziewczyna obracała w dłoniach zapalniczkę, uważnie badając jej strukturę, jakby widziała taką rzecz po raz pierwszy w życiu. Tuż przy oknie siedział stary, chudy mężczyzna. Przyglądał się każdemu z przechodniów, wręcz świdrował ich wzrokiem. Zachowywał się jak dziecko, które nie czuje, że to niegrzecznie tak patrzeć na ludzi. W najciemniejszym kącie lokalu ulokowała się para, która pobudzona sensualnymi własnościami haszyszu badała wzajemnie linie swoich dłoni. Tuż obok nich przysiadł samotny mężczyzna. Rozglądał się wokoło i co chwilę, pochylając się nad zeszytem, coś notował, prawdopodobnie spostrzeżenia i wnioski, albo pisał wiersz.

Daniel wyciągnął Annę na zewnątrz i załadował fajkę. Zaciągnął się delikatnie, lecz głęboko i wyjaśnił:

– To jest bardzo łagodna odmiana. Jak pewnie zauważyłaś, mają tutaj całe menu. Wybierasz taką, jaka ci służy. Możesz wziąć coś pobudzającego lub relaksującego. Ja preferuję to drugie. Znasz ten stan umysłu, kiedy pojawia się natłok różnych myśli i nie wiesz, co masz z nimi zrobić?

– Bardzo dobrze. Najlepiej je ignorować i robić swoje, ale czasami są bardzo uciążliwe.

– Oto najlepsze na nie lekarstwo. Nie rozumiem, jak w innych krajach można pić legalnie alkohol, który otumania i niszczy wątrobę, a nie można palić marihuany. – Podał Annie fajkę. – To jak? Jesteś w Amsterdamie czy nie – nowe doświadczenie?

Anna zastanawiała się chwilę – nie tyle nad tym, czy chce, ale raczej czy jej wypada. Sięgnęła po fajkę i ostrożnie, małym wdechem, wprowadziła dym do płuc.

Do coffee shopu przychodzili różni ludzie. Młodzi, starzy, elegancy i zwyczajnie ubrani. Pod drzwiami podjechała na rowerze dziewczyna. Miała na sobie długą spódnicę, na jej rękach grzechotały bransoletki, we włosach igrał wiatr. Jej rower ozdabiały kwiaty. W małym koszu zawieszonym na kierownicy leżała torba z zakupami. Spojrzała na Annę i Daniela, posyłając im powitalny uśmiech. Wyszła piętnaście minut później. Jej oczy patrzyły bystro, poruszała się pewnie, ze świadomą gracją.

– Widzisz, to nazywam poprawnym użytkowaniem. Nic nie odbija się negatywnie na jej

odbiorze rzeczywistości, wręcz przeciwnie. Będzie cierpliwsza w stosunku do ludzi – skomentował Daniel.

– No tak – przyznała Anna – trudno jest wyprowadzić z równowagi kogoś, kto zapalił jointa. Nabiera się wtedy raczej pokojowego nastawienia.

– Czasami mam wrażenie, że przeciwnikom palenia zależy na agresywnym społeczeństwie, nie tyle myślącym, co ślepo podążającym za wartościami wyznaczanymi przez ogół.

Dziwne uczucie ogarnęło Annę... Jakby śniła. Ale był to sen na jawie, w którym zachowała świadomość i wrażliwość na bodźce. Czowała się jak w dobrze obsadzonej roli. Jakby znalazła się we właściwym dla siebie miejscu o właściwej porze. Niepojęte wydawało się to, że owo „właściwe bycie” wyglądało całkiem inaczej od jej dotychczasowego życia. Nigdy, przenigdy nie wyobrażała sobie takiej przyszłości. A zarazem przyszłość, stając się terażniejszością, która odkrywała się przed nią każdego dnia po kawałku, podobała się jej coraz bardziej i wzbudzała nieustającą ciekawość.

To miasto przyciągnęło ją do siebie. Czasami odnosiła wrażenie, że trafiła do najdziwniejszego miejsca na ziemi. Kilka dni po przyjeździe do Amsterdamu, idąc na wieczorne spotkanie z Danielem, przechodziła przez Red Light Distric. Czerwone światło wylewało się z okien. Magiczny klimat opanował ulice. W witrynach-oknach – niczym ruchome obrazy – tkwiły żywe akty. Modelki. Rozmaite. Wysokie, niskie, Białe, Azjatki, Murzynki, chude, grubsze – wszystkie tak samo pewne siebie, przybierały kuszące pozy, zgrabnie prezentując swoje ciała wystawione na sprzedaż. Uważnie patrzyły na przechodniów, oceniając szansę na złapanie zwierzyny. Widząc samotnego mężczyznę, prężyły ciało i paznokciami drapały w szybę. prostytutki. W ich głowach kłębią się tysiące zwykłych myśli. Tylko nowicjuszki snują w wyobraźni wizje namiętnej przygody. Łudzą się, że ich ożywione umysły, pobudzą również ciało, które stanie się bardziej ponętne. Lepiej wprawione w zawodzie traktują swoje zajęcie jak każde inne, które wykonuje się, nie koncentrując na nim myśli. To jak zmywanie naczyń lub prasowanie. Ciało robi swoje, a umysł swoje.

Te kobiety ciekawiły Annę. Wydawały się pochodzić nie z tego świata. Jak mogły wybrać takie życie? Dlaczego? Pragnęła poznać ich historie, ale nawet nie miała odwagi na nie spojrzeć. Zauważyła jednak pewnego samotnego mężczyznę, który skradał się od drzwi do drzwi. Czuł się nieco niepewnie, podejmując decyzję. Zerkał za siebie, sprawdzając, czy przypadkiem nie napatoczy się ktoś znajomy. Czy ktoś go nie nakryje? Powtarzał sobie pewnie: „Wszyscy to robią, tylko nikt o tym nie mówi...”. Tuż przed nim otworzyły się drzwi. Stała w nich kobieta i zachęcającym gestem wytrawnej kurtyzany zaprosiła gościa do środka.

Tyle Anna widziała. Zastanawiała się, co znajduje się za „czerwonymi drzwiami”, które mężczyzna przekroczył. Jak dokona transakcji? Będą najpierw rozmawiać czy zrobią „to” od razu? Anna wyobraziła sobie, jak mężczyzna wchodzi w czerwony, bijący ciepłem pokój. Zapada się w miękką kanapę, na jego kolanach siada kobieta.

– Czego sobie życzysz? Co lubisz?

On waha się, nie zależy mu na niczym szczególnym. To samotny mężczyzna, który od roku uprawiał seks jedynie z samym sobą. Patrząc jej prosto w oczy, odpowiada:

– Chcę dać ci orgazm.

Ona śmieje mu się w twarz. Nie pamięta już, co się wtedy czuje. To słowo stało się dla niej tylko pustym pojęciem bez znaczenia, jak hasło encyklopedyczne. Wiele lat temu przestała odczuwać rozkosz w kontakcie z mężczyzną. Przecież to praca, a w pracy nie chodzi o to, żeby usługodawcy było dobrze, lecz żeby klient osiągnął zadowolenie. Trzeba go więc odpowiednio obsłużyć, odegrać uniesienie. To już nawet nie jest udawanie, lecz wyuczona maniera, na stałe wyryta w zachowaniu, jak mówienie: „Wszystko w porządku”, kiedy przeżywasz najgorszy dzień w swoim życiu.

Zamyślona Anna przechadzała się nieopodal ulicy ziemskiej rozkoszy, gdy nagle wśród kwiatów i kolorowych kamienic wyłoniła się przed nią duża rama okienna, a w niej „modelka”. Gruba prostytutka, ubrana w pończochy i koronkową bieliznę, siedziała na wiklinowym krzeselku. Na jej kolanach spoczywała styropianowa tacka z chińskim jedzeniem. Ruchy dłoni: góra, dół. Ruchy ust: otwarcie, zamknięcie. Rozrzedzony śmietankowy sos skapnął na duży, obwisły biust. Kobieta go nie starła, zatraciła się w erotycznym akcie spożywania.

Widoki, które na początku szokowały Annę, po jakimś czasie stały się częścią ulicznego krajobrazu. Nic wyjątkowego, nic specjalnego. Dziewczyny wykonują swoją pracę. Czasami wakacyjną, czasami stałą. Czy sprzedawanie ciała jest gorsze od sprzedawania marzeń, duszy, czasu...? Między nami żyje więcej prostytutek, niż sądzimy.

Każdego niemal dnia Daniel spotykał się z Anną poza pracą. Chodzili na wspólne obiady, spacerować, do zoo, galerii i muzeów. Anna coraz bardziej przywiązywała się do Amsterdamu, a towarzystwo Daniela stawało się dla niej nieodłączną, naturalną częścią życia w tym mieście, które co dzień oferowało nowe doświadczenie, nową przygodę, inspirację. Zdawało się, że lista miejsc wartych zobaczenia nigdy się nie skończy. Przestrzeń ciągle się zmieniała. Jedne lokale zamykano, inne się otwierały. Co chwila przyjeżdżali obcy ludzie ze swoimi inicjatywami. Realizowali marzenia, korzystając z potencjału Amsterdamu, i tym samym przyczyniali się do jego rozwoju. Zmienność miasta nie zmieniała jednak jego charakteru. Amsterdam pozostawał otwarty, różnorodny i twórczy. Prezentował inne oblicza zależnie od pory dnia.

Dzień Anny zaczynał się wcześniej, budzony szczekaniem psa. Wieczór z kolei kończył się późno – koncertem granym do dwunastej. Po paru tygodniach Daniel przestał odprowadzać Annę do domu. Ruch w „Felicità” mu na to nie pozwalał. Zresztą Anna kupiła swój własny holenderski rower, którym wracała opracowaną przez siebie, krótką i mniej zatłoczoną trasą.

Iluminacje świetlne wędrowały po powierzchni wody zgodnie z prędkością roweru. Tańczyły między rampami mostów i szprychami kół. Po północy większość ulic była już pusta, choć w stojących przy nich budynkach z pewnością nadal tętniło bogate życie. Tu i tam w oknach

palilo się światło, a nieliczni przechodnie zmiierzali do domów.

Gdy Anna mieszkała w Warszawie, brakowało jej czasu na kontakty towarzyskie; co nie znaczy, że ich nie potrzebowała. Sytuacja w Amsterdamie przedstawiała się odwrotnie. Wprawdzie miasto samo w sobie było absorbujące, niemniej Anna miała wiele wolnego czasu, za to niewielu przyjaciół. Samotność doskwierała jej szczególnie podczas nocnych powrotów do domu. Nie zależało jej na wielkim gronie znajomych, którym ani się nie zwierzy, ani przy nich nie odpoczniesz. Brakowało jej raczej jednej bliskiej osoby, przed którą mogłaby się wygadać, otworzyć. Daniel. Daniel był taką osobą. Mogła mu powiedzieć o swoich zmartwieniach, ale nie mogła mu się zwierzyć z dylematów związanych właśnie z nim.

Pewnego sobotniego wieczoru po koncercie Anna usłyszała, jak ktoś z tłumu woła ją po imieniu. To była Amanda. Minął już miesiąc od ich spotkania w pociągu. Znajoma miała na sobie czarną spódnicę od kostiumu i koszulę rozpiętą tak bardzo, że dekolt ukazywał brzeg stanika. Pachniała piwem, a w dłoni trzymała zapalonego papierosa.

Objęły się na powitanie.

– To chyba ostatnia z możliwych sytuacji, w jakich spodziewałabym się ciebie zobaczyć – powiedziała Amanda. – Grasz w barze i, kurde, masz talent!

– Dzięki. – Anna uśmiechnęła się. – Ja też nie spodziewałam się takiego obrotu zdarzeń, ale nie narzekam. Lepiej być nie mogło. A co u ciebie?

– Relaksuję się ze znajomymi po pracy. O tam – powiedziała, wskazując na stół w rogu sali. Siedziało przy nim trzech mężczyzn, ubranych w garniturowe spodnie i koszule rozpięte przy kołnierzyku. Na krzesłach wisiały marynarki i krawaty. – Dołączysz do nas?

– Jestem już trochę zmęczona... ale skuszę się na jedno piwo.

– Świetnie! Chodź, przedstawię cię. Chłopaki, to jest Anka. A to Mark, Frank i Klark. – Wymieniając imiona, wskazywała na każdego z mężczyzn po kolei. Niczym się od siebie nie różnili na pierwszy rzut oka. Na drugi też nie – ich historie były do siebie podobne. Anna dobrze je znała. Z autopsji. Miło spędziła godzinę w ich towarzystwie, ale kiedy im się przyglądała, kiedy słuchała ich opowieści o pracy, czuła, że już nie jest jedną z nich. Jakby opowiadali o jej przeszłości, do której teraz nie przywiązywała większej wagi.

Podróż życia, którą odbywamy wszyscy, otwiera przed nami różne ścieżki. Na tej drodze trzy punkty są dla każdego jednakowe: start, przełom, koniec. Narodziny, wahanie, śmierć. Moment zwrotny – owo wahanie – jest niezmiernie kłopotliwy, dlatego niektórzy udają, że na ich ścieżce się nie pojawia. Lecz ignorowanie problemu go nie rozwiąże. Wahanie mieszka w naszych sercach i ma postać dzikiego kota. Czai się w ukryciu, cierpliwie czeka na moment naszej słabości i wówczas atakuje. Czy pozostałbyś obojętny na atak lamparta? Z pewnością nie. Działanie w takiej sytuacji jest konieczne. Możesz zabić lamparta, możesz dać się pożreć, możesz go również poskromić! Tak – możesz go oswoić, przemienić w domowego kota, którego pogłaszczesz z pobłażaniem, mówiąc: „Tak, tak... Wiem, że chciałbyś być groźnym, dzikim zwierzem”. Wtedy kot zapomni na moment o swej drapieżnej naturze i grzecznie położy się na

poduszce, poddając się pieszczotom, pomrukując z cicha.

Nie wolno zlekceważyć ataku lamparta. Ani spanikować – ucieczka zakończy się śmiercią. Będzie to powolna śmierć, bo „lampart wahania” to perfidne zwierzę. Zatapia pazury w sercu i rozrywa je, prężąc się, napinając kark i rycząc dziką pieśń dżungli.

Anna czuła, że trzyma na kolanach domowego kota. Poskromiła pożądlivość wobec społecznie akceptowanych wartości. Zyskała siłę, by samej wybierać drogę, którą podąży. Kiedyś gnała szybko i na ślepo – uciekając przed lampartem, próbując ocalić życie, które nie było jej wyborem. Oczywiście podjęcie walki z drapieżnikiem niosło za sobą ryzyko. Jednak uświadomiła sobie, że strach przed śmiercią, paniczne przywiązanie do życia, które jest puste i nie nasze, to mało racjonalne zachowanie. Często przypominała sobie tamten poranek, kiedy była świadkiem śmiertelnego wypadku. I zastanawiała się: „Co bym zrobiła, gdyby jutro moje życie miało się skończyć?”.

Nowych znajomych Anny: Marka, Franka i Klarka nie trapiło podobne pytanie. Czuli się nieśmiertelni w świecie uznającym ich priorytety za jedynie słuszne.

– Bardzo chciałbym ci podziękować, Aniu – powiedział Mark – za twój dzisiejszy występ. Sprawiałaś, że cały nasz dzień nabrał wyjątkowości.

– Pieprzysz głupoty, Mark! – wtrąciła Amanda. – Mówisz, jakby wieczór został zorganizowany specjalnie dla ciebie. Nie słuchaj go, Anka, on wiecznie nawija kobietom makaron na uszy.

– Domyślam się, jednak niezależnie od tego makaronu, cieszy mnie, że koncert wam się podobał.

– Bardzo – potwierdził Frank. – Wiesz, mój kuzyn jest producentem muzycznym. Mogę cię z nim zapoznać. Jeśli i jemu się spodobaś, to znaczy twój wokół, w co nie wątpię, może zaproponuje ci nagranie płyty.

– Nie wiem, czy nadaję się do tak profesjonalnej współpracy. Ale i tak z chęcią poznam kogoś, kto fachowo zajmuje się muzyką. Może załapię się na jakieś dobre rady.

– Okej, to wymienimy się telefonami i dam ci znać, jak z nim pogadam.

Daniel przypatrywał się Annie i jej nowym znajomym. Nie był zazdrosny, raczej zafascynowany. Anna wybijała się z reszty towarzystwa. Jej gesty, mimika, uśmiech, cała postawa i sylwetka – przykuwały uwagę, innych spychając w cień. Jego spojrzenia nie uszyły uwadze Amandy, która korzystając z tego, że ich towarzysze zajęli się rozmową o finansach firmy, zapytała Annę:

– Kim jest ten przystojniak za barem?

– Ten po lewej? Daniel, właściciel.

– Ciągłe na nas patrzy. Jest coś między wami?

– Nic z tych rzeczy. Przyjaźnimy się.

– Tak to się teraz nazywa? Przyjaźń? Daj spokój. Ewidentnie śledzi cię wzrokiem, dziewczyno. Jest zazdrosny!

Ta uwaga rozbawiła Annę.

– Daniel o mnie? Wątpię. To nie ten typ faceta. Uwierz mi, łączą nas czysto koleżeńskie stosunki.

– Nie podoba ci się? To mogę go sobie wziąć? Zapoznasz mnie?

„Mogę go sobie wziąć?! – Anna poczuła złość na Amandę. – Mówi o nim jak o rzeczy! Ci ludzie wszystko i wszystkich traktują przedmiotowo”.

– Wygląda teraz na zajętego. Jest spory ruch, nie ma czasu na rozmowy, ale później, jak będzie okazja, to mogę was zapoznać, czemu nie...

– Niczego sobie facet. Młody i ma własny lokal. Musi też być przy kasie. Jest?

– Nie wydaje mi się. Może i biznes nieźle się kręci, ale prowadzenie go wymaga sporych nakładów. Wątpię, czy bilans jest dla niego bardzo korzystny. Robi to bardziej z pasji niż chęci zysku.

– Szkoda by było, gdybyś miała rację.

– Mówicie coś o biznesie? – Klark włączył się do rozmowy. – Usłyszałem słowo „zysk”. Zaproponujecie mi udziały?

– Ha! Ha! – Amanda zaśmiała się głośno. – Pewnie! Pod warunkiem, że lubisz pracę w trójkącie! – Klark spojrział na Amandę pytająco i poprosił o wyjaśnienia. Frank i Mark, zwabieni śmiechem koleżanki, również zainteresowali się nowym tematem.

Anna tymczasem odpłynęła myślami. Podążyła wzrokiem w kierunku Daniela i ich spojrzenia się spotkały. Połączyło ich jakieś nieme porozumienie. Komunikacja pozbawiona słów. Ciepło w podbrzuszu. Spokój w umyśle. Dlaczego Anna przejęła się pytaniem Amandy? Dlaczego poczuła się dziwnie? Co to było? Strach? Złość? Zazdrość? Skąd w niej takie emocje w odniesieniu do Daniela? To pewnie zwyczajna zawiść. Na pewno. Ogarnęła ją po prostu obrzydliwa, niska zazdrość na myśl o cudzym szczęściu. Jak dobrze, że to nic poważniejszego. Powinna przedstawić ich sobie i jeszcze zaaranżować kolejne spotkanie. Amanda zasługiwała na szczęście. Miała do tej pory pecha w miłości. Ta jej historia o narzeczonym w objęciach rudzielca... Okropna. Daniel też zasługiwał na szczęście. Czy znajdzie je u boku Amandy?

– Nasza artystka odpłynęła w chmury – zauważył Mark.

– Nie wierz tym pozorom – ostrzegła go Amanda. – Tak naprawdę nasza artystka jest urodzonym bankowcem. Zapewne zdolniejszym niż my wszyscy razem wzięci.

– Ale przy tym pięknie śpiewa – skomentował Frank. – Gdybym ja zaśpiewał, lokal wnet by opustoszał!

– I bez tego zaraz będzie puściej. – Amanda chwyciła żakiet. – Jest już późno, a ja zmęczyłam się waszym towarzystwem, panowie. – Pożegnała się z każdym przyjacielskim buziakiem i rozejrzała się po lokalu. – Anka, twój przyjaciel się gdzieś schował. Szkoda, najwyżej poznasz nas innym razem, bo na pewno wrócę cię posłuchać. Oni też wrócą.

– Oczywiście. Aniu, grasz tu codziennie? – zapytał Klark.

Potaknęła.

– Świetnie, to się jeszcze zobaczymy – dodał Mark. – Na mnie też już czas. A wy zostajecie?

– Nie, pójdziemy. Jutro normalny dzień pracy.

Wszyscy wstali od stołu, ubrali marynarki, krawaty schowali do kieszeni. Frank wymienił się z Anną numerami telefonów, zapewniając, że zadzwoni, kiedy porozmawia o niej z kuzynem. Pożegnał się nad wyraz serdecznie, bo przytulił ją do siebie, wdychając zapach jej włosów. Wprawiło to Annę w zażenowanie. Za to spoufalanie się obwiniła jednak nadmiar wypitych przez Franka piw. Kiedy wyszli, Anna pożegnała się z Gregiem, który akurat mył kieliszki. Zapytała, gdzie jest Daniel, ale Greg tylko wzruszył ramionami.

– Przekaż mu ode mnie „dobranoc”.

– Zrobię to na pewno. Do jutra, Aniu.

Daniel tymczasem stał na tyłach „Felicità”, dopalając papierosa. Dzisiejszy wieczór upewnił go w uczuciach, jakie żywił wobec Anny. I utwierdził w przekonaniu, że Anna jest kobietą wartą zainteresowania. Gdy na niego spojrzała przez salę... Wydawało mu się wtedy, jakby na świecie byli tylko oni. Znalazł w jej oczach przystań.

Czasami odnosił wrażenie, jakby dawała mu przyzwolenie. Jakby w każdej chwili mógł do niej podejść, przytulić ją, pocałować. Czasami jednak widział między nimi barierę niezdecydowania i strachu. Jak tego wieczoru po kolacji na łodzi, kiedy tak bardzo pragnął ją pocałować, a ona odwróciła głowę i szybko się z nim pożegnała. Bał się wtedy, że odkrywszy zainteresowanie, którego nie odwzajemniała, odsunie się od niego. Na szczęście ich relacje nie popsuły się. Może niczego nie zauważyła? A może znaki, które jej słał, nie były zbyt wyraźne? Może powinien być bardziej bezpośredni, jaśniej dać do zrozumienia, że mu na niej zależy... A jeśli się myli? Jeżeli jego uczucia nie spotkają się z miłym przyjęciem i doprowadzą do całkowitego rozstania? Lepiej poczekać, dać jej więcej czasu, zobaczyć, jak sprawy się rozwiną.

Postanowił, że będzie bacznie obserwował jej gesty, uważnie słuchał słów, aż upewni się,

że Anna czuje to samo co on. Niedawno przyjechała do Amsterdamu. Istniało ryzyko, że dałaby się ponieść emocjom, urokowi chwili, czarowi nowości – w efekcie jej uczucia byłyby płytkie i tymczasowe. A nie tego oczekiwał Daniel. Myślał o Annie poważnie. Cenił sobie ich współpracę, lubił jej towarzystwo. Szkoda to stracić. Nie warto ryzykować. Przynajmniej na razie.

Mimo szczerego postanowienia Danielowi nie było lekko. Każdego dnia, spotykając się z Anną, miał ochotę wyznać jej prawdę. Zżerała go ciekawość, co kryje się w sercu tej kobiety.

Greg, powiernik wszystkich trosk Daniela, polecił przyjacielowi cierpliwość i powściągliwość. Z zainteresowaniem obserwował tych dwoje i choć wydawało mu się, że Anna spogląda na Daniela z czułością, a czasami nawet z pożądaniem, nie powiedział mu o tym. Wołał nie mieszać się w tak subtelne sprawy, gdzie błędna interpretacja intencji mogła prowadzić do przykrych konsekwencji.

Sam miał już w życiu sytuacje, kiedy źle odczytał uczucia kobiety. Bywało różnie. Raz, podczas studiów, był niemal pewien, że jedna z jego koleżanek kocha się w nim na zabój. Utwierdzony w tym przekonaniu przez kolegów z roku, przyszedł do niej pewnego wieczoru i od progu oznajmił: „Ja też bardzo cię pragnę, zrobmy to dzisiaj!”. Zamiast zwrotnego entuzjazmu otrzymał po twarzy od urażonej dziewczyny. Innym razem z kolei, kiedy został zwolniony z pracy, wytknął byłej szefowej wszystkie wady i zapewnił, że w dwójnasób odwzajemnia jej antypatię do siebie i cieszy się niezmiernie, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Na co ona rozplakała się rzewnie. Miał potem ogromne wyrzuty sumienia, kiedy dowiedział się od jej przyjaciółki, że wszelkie docinki pod jego adresem stanowiły jedynie maskę skrywającą platoniczne uczucie.

Nie byłby więc najlepszym doradcą w sprawach sercowych. Daniel zdawał sobie z tego sprawę, jednak liczył, że jakakolwiek pozytywna sugestia czy zachęta, nawet bardzo ostrożna, doda mu odwagi i pozwoli wyjaśnić wątpliwości. Niepewność dręczyła go najbardziej. Czasami był gotowy postawić wszystko na jedną kartę, lecz w ostatniej chwili rezygnował i milczał.

Anna miała swoje podejrzenia. Wołała jednak nie robić sobie nadziei i wszelkie myśli o miłości i pożądaniu upychała w najciemniejsze zakątki serca. Niekiedy zdawało jej się, że widzi w oczach Daniela iskrę determinacji. Jakby zbierał się na ważne wyznanie. Niezręcznie czuła się w takich sytuacjach, więc szybko zmieniała temat i zaczynała opowiadać o czymś zabawnym. Studziło to emocje równie onieśmiałego Daniela, który z ulgą mówił do siebie: „Poczekam na odpowiedniejszy moment”.

Odpowiednie momenty zdarzały się często. Podczas wspólnej kawy, kiedy patrzyli na siebie w zgodnym milczeniu. Podczas spaceru po parku, kiedy siedzieli przy fontannie. Podczas wizyty w zoo, kiedy obserwowali gwiazdy w planetarium. Za każdym razem jednak albo jedno z nich nie było gotowe na przyjęcie wyznania, albo świat nie był na nie gotowy. Pewnego razu zerwała się burza, przed którą musieli uciekać; inny razem mężczyzna w kraciastej koszuli uruchomił akurat kosiarkę spalinową, która skutecznie zagłuszyłaby ewentualne wyznanie; kiedy indziej znów podbiegł do nich dawno niewidziany znajomy Daniela i to niespodziewane spotkanie zupełnie odmieniło nastrój chwili.

Te i podobne zdarzenia w końcu zaczęły zastanawiać Daniela. Może coś lub ktoś sygnalizuje mu, że do wielkiego wyznania w ogóle nie powinno dojść? Świat często daje nam

różne znaki, zachęcające do określonego działania lub odwodzące nas od jakiegoś kroku. Niestety rzadko jesteśmy na tyle uważni, by te sygnały rozpoznać, a potem wziąć je sobie do serca. Daniel znał ów mechanizm, dlatego ze wszystkich sił starał się zrozumieć, jak świat odnosi się do jego zamiarów wobec Anny.

Ją z kolei dręczyło niezdecydowanie. Czasami wolała niczego nie zmieniać, zachowując bezpieczny przyjacielski układ. Innym razem pragnęła usłyszeć od Daniela jakąś deklarację, intymne pytanie, chciała zostać przyparta do muru, zmuszona do szybkiej odpowiedzi, byle zmienić swój status, byle wyklarować sytuację. W takich momentach jednak, spojrzawszy na Daniela, czuła, że ich przyjaźń to największy skarb, jaki otrzymała od życia w ciągu ostatnich lat. Za nic nie chciałyby go stracić.

Tydzień po spotkaniu z Amandą i jej kolegami w „Felicità” pojawił się mężczyzna, który po koncercie podszedł do Anny i przedstawił się jako Aleksander.

– Ten producent muzyczny? – upewniła się.

– We własnej osobie – potwierdził. – Przyszedłem tutaj za namową Franka i nie żałuję. Może usiądziemy na chwilę i porozmawiamy?

Zajęli stolik na dworze. Anna opowiedziała swoją historię. Nie kryła, że mimo szczerej chęci grania i śpiewania brakuje jej doświadczenia.

– Nie przejmuj się tym. Powiem ci, że w studiu to nawet lepiej mi się pracuje z niedoświadczonymi artystami. Nie buntują się, nie mądrują, tylko pokornie słuchają rad. Frank mówił, że masz coś w sobie, jakąś przejmującą szczerłość i artystyczną iskrę. Nie mylił się. Na początku myślałem, że opisując cię, nieco fantazjował. Kobiety idealne przecież nie istnieją. Ale muszę przyznać, że twój talent i uroda...

Aleksander długo prawił jej komplementy. I prawił je nie tyle we własnym imieniu, co przytaczał słowa Franka. Anna nie czuła się swobodnie podczas tej rozmowy, która bardziej przypominała monolog pełen peanów pod jej adresem. Nie wiedziała, czy wypada mu przerwać. Przyszedł z propozycją, chciał pomóc w rozwinięciu kariery, miał ku temu środki. Gdyby się obraził, mogłoby to oznaczać utratę tej nieoczekiwanej a wielce obiecującej szansy. Dlatego nie przerywała i słuchała z cierpliwością.

– Proponuję więc, żebyś wpadła do mojego studia, na przykład jutro. Zobaczymy, jak będziesz brzmiała w takich warunkach. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to dam ci utwory... Masz jakieś własne?

– Nie, jeszcze nie, ale myślałam o tym, żeby napisać coś swojego.

– Okej, jak coś napiszesz, to się zobaczy, może coś wykorzystamy. Na początek weźmiemy utwory z bazy piosenek, które tylko czekają na odpowiednich wykonawców. Moi artyści spłacają je w procentach ze sprzedanych płyt.

Annie wydawało się to wszystko jakieś podejrzane. Może nie powinno. Nie znała się na rynku muzycznym, który mógł tak właśnie działać. Co do utworów, które zaproponuje Aleksander, będą zapewne na wysokim poziomie, skoro rozporządza nimi producent muzyczny we własnej profesjonalnej osobie...

Obiecała, że przyjdzie do studia jutro wieczorem. Poprosiła Daniela o wolne.

– To szansa dla ciebie – przyznał. – Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś z niej skorzystać. Jeden wieczór goście posiedzą przy muzyce z kompaktów. Wydaje mi się jednak, że nie powinnaś zgadzać się na narzucone kawałki. Posiadasz talent, wyobraźnię i bogatą duszę, więc dlaczego nie miałabyś napisać piosenek sama?

– Nie jestem pewna, czy byłyby dość dobre.

– Oczywiście, że byłyby świetne. Kochasz muzykę, wypływa prosto z twojego serca. A słowa? Powinnaś śpiewać o tym, co czujesz i myślisz. Wtedy piosenki będą szczere i piękne, i o to chodzi.

– Bardzo we mnie wierzysz...

– Dlaczego miałbym nie wierzyć? Znam cię i znam twoją muzykę. To nie są komplementy, tylko obiektywna opinia.

Następnego wieczoru Anna wybrała się pod wskazany przez producenta adres. Była nieco zdenerwowana, więc ucieszyła się, gdy w studiu zastała tylko Aleksandra. Wpuścił ją do kabiny i zrobił próbne nagranie.

– Na moje ucho, a mam świetne ucho, brzmi to bardzo dobrze. Trzeba by jeszcze poprawić parę rzeczy, ale myślę, że załatwi to obróbka komputerowa. A tutaj są piosenki, o których ci mówiłem.

– Aleks, myślałam o tym i sądzę, że mogłabym sama coś napisać. Czas mnie nie goni. W ciągu miesiąca przygotowałabym siedem kawałków.

– Ale po co masz się trudzić, skoro te są całkiem dobre? Zresztą... jak chcesz, nie zamierzam cię do niczego zmuszać, niemniej przyjrzyj się im w wolnej chwili. Tu są teksty, a na płycie masz demo śpiewane przez moją siostrę. Głosy i style posiadacie podobne, więc sądzę, że będziesz brzmiała równie dobrze jak ona.

Anna zdawała sobie sprawę, że dostaje szansę, o jakiej inni mogą tylko marzyć. Powinna to doceniać. Ale kiedy Aleks odwoził ją do domu, czuła się dziwnie. Coś było nie tak, jakoś inaczej to sobie wyobrażała i nie mogła doczekać się spotkania z Danielem, aby wszystko mu opowiedzieć i poznać jego zdanie.

Nazajutrz zjawiła się w „Felicità” wcześniej. W środku siedziało kilku porannych kawoszy. Daniel stał sam za barem.

– Nie promieniejesz entuzjazmem – ocenił, kiedy tylko zobaczył Annę. – Coś poszło nie tak?

– Nie jestem pewna. Ta współpraca wygląda trochę podejrzanie. Odnoszę wrażenie, jakby mi ją zaproponowano po znajomości, a nie ze względu na mój talent. A teksty utworów, które dostałam...

– Pokaż.

Anna wyjęła z torby plik kartek i podała Danielowi.

– „Płonę z pożądania. Ugaś mnie, ugaś. Niech ogień połknie ogień. Będziemy płonąć razem, jak gwiazdy na niebie. O, o, o, o”. – Zaczął się śmiać, nim skończył czytać pierwszą zwrotkę.

– Muzyka do tego nie jest taka zła, chociaż bardzo prosta. Ale te teksty... Daniel nie wiem, co robić.

– Mówiłem ci, napisz własne piosenki. Jeżeli nawet nie okażą się wybitne, z pewnością będą lepsze od tych.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby mnie podbudować.

– Pracowałem kiedyś na budowie.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Anna poczuła się lepiej. Usiadła przy barze z kartką i długopisem, i zaczęła myśleć nad własnymi piosenkami. Słońce przygrzewało, a kolorowy korowód przechodniów ciągnął ulicą. Inspirowały ją te obrazy.

Pierwszy napisany przez nią utwór opowiadał o przyjeździe do Amsterdamu i o pierwszym wrażeniu, jakie wywarło na nią miasto. Jeszcze tego samego wieczoru zaśpiewała go podczas występu. Publiczność z zaciekawieniem przysłuchiwała się piosence, której nikt wcześniej nie słyszał. Wyczekiwali kolejnych wersów. Annie też się podobało. Czuli się znacznie lepiej niż wczoraj za szybą w studiu muzycznym.

Obecność słuchaczy już dawno przestała ją krępować. Przeciwnie – wręcz dodawała jej swobody. Przed występem witała się serdecznie ze wszystkimi, czasami krótko o czymś opowiadała, a grając, bacznie obserwowała reakcje ludzi, ich skupienie, ucząc się, co spotyka się z większym, a co z mniejszym zainteresowaniem.

Formalnie przysługiwał jej jeden wieczór w tygodniu wolny od pracy. Zazwyczaj z niego nie korzystała. Po pierwsze potrzebowała pieniędzy, a po drugie przebywanie w „Felicità” było

dla niej raczej przyjemnością niż obowiązkiem. Tego dnia jednak postanowiła spędzić wieczór w domu i zająć się pisaniem piosenek.

Kończyła właśnie drugi utwór, kiedy pukanie do drzwi wyrwało ją z twórczego nastroju.

– Dobry wieczór, Aniu. – W drzwiach, z szerokim uśmiechem na twarzy i bukietem róż w dłoni, stał Frank. – Chciałem cię złapać w barze, ale powiedzieli, że masz wolne, więc przyszedłem prześladować cię tutaj.

– Ale skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? – Zaskoczenie Anny przeważało nad dobrym wychowaniem. Szybko się jednak opamiętała i zaprosiła Franka do środka.

– Przepraszam cię za ten bałagan, ale nie spodziewałam się odwiedzin.

– A ja chciałem cię zaskoczyć. Podobno wy kobiety lubicie niespodzianki.

– Tak mówią. Dziękuję za kwiaty. Usiądź, a ja wstawię je do wody. Chcesz coś do picia?

– Pozwoliłem sobie przynieść również butelkę wina. Masz korkociąg?

– Tak, jasne.

Chwilę później siedzieli na kanapie, popijając wino.

– Jak ci idzie z Alekssem? Dogadaliście się? Powiedział mi tylko tyle, że masz ładny głos, chociaż to wiedziałem już wcześniej. No i wyciągnąłem od niego twój adres. Nie gniewaj się na niego, to dobry facet, a ja przyparłem go do muru. Musiałem cię zobaczyć.

Anna słuchała go z coraz większym zmieszaniem. Upiła łyk wina. Postanowiła opowiedzieć Frankowi o współpracy z Alekssem, ignorując wszelkie próby flirtu. Zamierzała udawać, że niczego nie rozumie, że kwiaty to wyraz zwykłej sympatii, a wino to grzecznościowy prezent. W wielu krajach przychodzi się w gości z alkoholem.

– Bardzo ci dziękuję za poznanie mnie z Alekssem. To wielka szansa. Choć nie wiem jeszcze, co z tego wyjdzie. Na razie okazało się, że mamy różny gust muzyczny. To znaczy dostałam od niego piosenki, które miałabym śpiewać na nagraniach, ale postanowiłam napisać własne.

– Dostałaś piosenki. A tak, tak, wiem. Siostra Aleksa pisze teksty i komponuje, a on chce jej pomóc zaistnieć.

– To miłe z jego strony, rodzina powinna się wspierać. Ale rozumiesz, że ja nie mogę śpiewać czegoś, czego nie czuję. Chcę się przyłożyć, jeżeli ma to być...

– Ja wszystko rozumiem, Aniu, w stu procentach. Jesteś ambitna i utalentowana. Może nawet zbyt ambitna. Na tym rynku często dochodzi do wymiany przysług. Spróbuj więc spojrzeć na całą sytuację jak na swoją wielką szansę, co sama zauważyłaś, i słuchaj Aleksa. On się zna i

wie, co robi. Źle na tym nie wyjdiesz. Wielu ludzi marzyłoby o takiej okazji.

– Wiem i jeszcze raz ci dziękuję, ale nadal myślę, że szanse dajemy sobie sami. Jeśli faktycznie mam talent, a wierzę, że tak jest, to producent powinien mi nieco zaufać jako artystce i zadbać o mój rozwój.

– O, wiele poważnych słów się pojawiało. Niewątpliwie masz talent, ładnie śpiewasz, ale pamiętaj, że rynek muzyczny jest bardzo zatłoczony. Mnóstwo na nim podobnych do ciebie artystów i tylko nielicznym udaje się zaistnieć. Dlatego docień, Aniu, że chcemy ci z Alekssem pomóc. Oferujemy ci możliwość nagrania płyty! Inaczej możesz do końca życia brzdękać w tym barze.

– Czy mi się wydaje, czy mówisz o moich występach z lekką pogardą?

– Z pogardą? Nie, skąd! Może z pewną litością... to jest nie, nie z litością, raczej z pobłażaniem! Cholera, jaka ty jesteś uparta. Dobrze, więc powiem otwarcie. Aniu, gdy cię zobaczyłem tamtego wieczoru na scenie, od razu coś poczułem. Twój głos, ruchy, rozmarzone spojrzenie, urocza naiwność... Wiedziałem, że muszę, po prostu muszę się do ciebie zbliżyć! I miałem taką możliwość, bo...

– Już wystarczy, Frank. – Wstała, dając mu do zrozumienia, że najwyższa pora, aby wyszedł.

– Aniu, ty żartujesz, chyba nie gniewasz się na mnie...? Naprawdę uważam, że masz ładny głos, i to chyba naturalne, że jako zakochany w tobie mężczyzna chcę ci pomóc!

Anna zaśmiała się bez radości w głosie i kategorycznie wyprosiła Franka. Zakochany? Jak śmiał szafować tym słowem! Wyszedł, a Anna, siedząc na kanapie, piła wino i myślała o tym, co się wydarzyło. Przeanalizowała spotkanie z Alekssem, jego zachowanie wobec niej. I nagle wszystko stało się jasne. Poczula się oszukana, ale wiedziała, że zawiniła głównie jej... „urocza naiwność”. W głowie Anny kłębiły się pytania, różne odpowiedzi, mnóstwo wątpliwości. Powinna określić, czym jest dla niej muzyka. Dlaczego chce ją tworzyć. Czy naprawdę wierzy w swoje możliwości. Odrzucenie propozycji Aleksa wielu uznałoby za szaleństwo, nedorzecznosc. Proste teksty napisane przez siostrę Aleksa prawdopodobnie spodobałyby się masowej publiczności. Nieskomplikowana, łatwo wpadająca w ucho melodia też znalazłaby swoich fanów. Oto łatwa droga do sukcesu. Tylko głupiec by ją sobie celowo utrudniał. W tej branży chodzi o wymianę przysług. Wszyscy byliby zadowoleni: Aleks, jego siostra, Frank, Anna... Przecież chciałyby dobrze zarabiać na muzyce. Oto droga na szczyt... Ależ skąd! Kto kupiłby płytę z tekstem: „Będziemy płonąć razem, jak gwiazdy na niebie. O, o, o”? Co powiedziałby Daniel, gdyby przystała na tę współpracę? Pewnie uznałby to za błąd. A co powiedziałby John? „Jeśli naprawdę tego pragniesz, nie ma w tym nic złego. Podążaj za marzeniem, a wszystko się ułoży”. Czy tego pragnęła? Tandetnych piosenek, zamknięcia w studiu muzycznym i komputerowej korekty głosu?

Myślała i myślała, aż w końcu zasnęła, czując wstyd przed samą sobą i przed całym światem.

Nazajutrz rano do „Felicità” zawitał Frank. Daniel rozpoznał go z daleka. Korzystając z okazji, całkiem niewinnie, z czystej ciekawości, zapytał, czy udało mu się wczoraj spotkać z Anną. Spodziewał się oczywiście odpowiedzi przeczącej, mimo to dręczył się całą noc. Przecież widział wczorajszy entuzjazm Franka. Zauważył różę w jego dłoni i słyszał pytanie skierowane do Grega: „Czy jest Ania?”. Kim w ogóle był ten facet? Od jak dawna znał Annę? Czy istniało między nimi coś poważnego? Jeżeli tak... Anna zasługiwała na szczęście. Chociaż do tej pory Daniel miał nadzieję, że owo szczęście zbudują razem. On i Anna.

– I jak, udało się panu wczoraj znaleźć naszą koleżankę?

– O tak. To był intensywny wieczór. Powiem panu otwarcie: to niesamowita kobieta i ogromnie mi się podoba. Wczoraj wyznałem jej wszystko i wyglądała na nieco zaskoczoną. Jednak wie pan, jakie są kobiety. Dziewięćdziesiąt procent ich zachowania to gra i kokieteria.

– Nie sądzę, by Anna była kokietką.

– Ależ jest! I to bardzo wyrafinowaną.

– Czyli dała panu kosza?

– Nie... Bardzo sprytnie zareagowała. Ta kobieta się szanuje i nie przyzna od razu, że odwzajemnia moje uczucia. Poprosiła o trochę czasu. Znam się na tym! Potrzyma mnie w niepewności, a później łaskawie oznajmi, że się zgadza. Sądzę, że wszystko zmierza ku dobremu.

Daniel nie potrafił obiektywnie ocenić, ile prawdy, a ile fałszu kryło się w opowieści Franka. Usłyszał tylko, że między nim a Anną „wszystko zmierza ku dobremu”. Nie ma co! Trzeba zdystansować się emocjonalnie i w relacjach z Anną pozostać obserwatorem oraz dobrym przyjacielem. Nie chciał, żeby ten cały Frank ją wykorzystał. Kiedy Daniel zbierał myśli, do baru weszła Anna.

– Dzień dobry – przywitała się z lekkim uśmiechem, który zniknął, gdy spostrzegła Franka. – Cześć, Frank.

– Aniu! Widzisz, nawet los sprowadza nas w te same miejsca.

– Nie mieszaj do tego losu. Ja tu pracuję. Ty się na mnie uwziąłeś.

– Ja się uwziąłem? Skąd takie oskarżenie? Próbuję tylko być dla ciebie miły. Pozwolisz, że postawię ci poranną kawę?

– Nie, dziękuję – odparła Anna, siadając przy barze. Frank wstał.

– Dobrze, rozumiem, że potrzebujesz teraz nieco więcej dystansu. Tęsknota i samotność czasami sprzyjają uczuciom – to mówiąc, spojrzął na Daniela i puścił do niego oko, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę lub jakby łączyła ich męska przyjaźń, w której słowa są zbędne.

Gdy wreszcie wyszedł, Anna odetchnęła z ulgą. Daniel chciał wypytać ją o wszystko, ale postanowił poczekać, aż sama zacznie temat. Lecz Anna nie była gotowa na rozmowę. Tego dnia obudziła się z objawami moralnego kaca. Chciała wyzalić się Danielowi, ale kiedy próbowała ułożyć sobie w głowie pierwsze zdanie, kiedy zastanawiała się, jak opowiedzieć mu o spotkaniu z Frankiem, o transakcji wymiennej między nim a Alekssem, o tym, że ją oszukali, że ona pozwoliła się oszukać – poczuła mętlik w głowie. Udała więc, że nie widzi pytającego spojrzenia Daniela, poprosiła o kawę i zaczęła opowiadać o porannych wiadomościach, które usłyszała w radiu.

– Podobno w Niemczech znaleziono kurę, która żyjąc w jednopłciowym stadzie, zmieniła płeć.

– Tak? Zaczęła chodzić w krawacie? To ciekawe. Wszystko działa wedle zapotrzebowania. Chodzi o instynkt przetrwania.

– A może ta kura po prostu źle się czuła w swojej roli?

– Myślisz, że była kogutem uwięzionym w kurzym ciele?

– Myślę, że czasami natura nieodpowiednio nas programuje i nawet jeśli z początku wydaje nam się, że wszystko jest okej, że spełniamy właściwą rolę, to wcześniej czy później musi dojść do sprostowania.

– Z tym się zgadzam. Ale uważam, że czasami to nie natura nas programuje, tylko społeczeństwo lub my sami.

– A jak rozpoznać, czy nasza aktualna rola jest już tą właściwą, czy jeszcze nie?

Daniel zadumał się. Podejrzewał, że rozważania Anny nie są czysto teoretyczne.

– Aniu, nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, ale wydaje mi się, że gdy pełnisz właściwą rolę, po prostu to czujesz. Wiesz to sercem.

– Jesteś bardzo romantyczny i metafizyczny jak na mężczyznę – zauważyła z uśmiechem.

– Może dlatego tak trudno mi znaleźć odpowiednią kobietę.

– Trudno? A nie powinno być właśnie łatwiej?

– Teoretycznie tak. Na pozór jesteście bardzo romantyczne i przedkładacie ducha nad rozum. Ale tak naprawdę niewiele kobiet pojmuje metafizykę. Ich romantyzm jest płytki i krótkotrwały. Po miesiącu potrzebują nie filozofa, lecz biznesmena, który będzie mniej mówił, za to więcej zarabiał.

– Ostro nas oceniasz...

– Nie generalizuję. To, co mówię, opieram na doświadczeniu – przyznał Daniel.

– Ja lubię to twoje filozofowanie. Często mi pomaga.

– Cieszę się. Tak powinno być, że filozofowanie jednego pomaga drugiemu. Inaczej byłoby to czcze gadanie, niepotrzebnie zabierające czas. – Widział, że coś chodzi jej po głowie. – Aniu, czy chcesz o czymś porozmawiać?

– Nie, wszystko w porządku. Tak tylko mówię, ogólnie.

Chwilę później wyszła z baru.

Tego wieczoru jak zwykle grała koncert. Zazwyczaj pojawiała się godzinę przed występem. Wypijała jeszcze herbatę lub kawę, przygotowując się mentalnie do recitalu. Ale tym razem przyszła tuż przed jego rozpoczęciem i niemalże natychmiast udała się na scenę. Grała pięknie, lecz mechanicznie. Ktoś znający ją lepiej spostrzegłby, że błądzi gdzieś myślami. I że w muzyce Anny... brak Anny. Nie było mowy o improwizacji.

Skończyła grać punktualnie o jedenastej. Publiczność nie mogła liczyć na bis. Pewnie nawet by się go nie domagała, bo melodie brzmiały dziś bardziej jak tło do rozmowy niż porywający koncert. Anna spakowała gitarę, a kiedy zbierała się do wyjścia, zatrzymał ją Daniel.

– Zjemy razem kolację.

– Nie jestem dziś w nastroju. Zresztą nie możesz zostawić Grega samego za barem.

– Wiem, że nie masz nastroju. Dlatego cię nie pytam ani nie zapraszam. Ja cię zmuszam do wspólnej kolacji. A Greg sobie poradzi.

Usiedli przy stoliku nad brzegiem kanału. Jedli delikatną przekąskę. Pili wino.

– A teraz, Aniu, powiedz, co cię dręczy.

– Naprawdę nie chcę o tym mówić... – Oczywiście, że chciała o tym mówić! Mogłaby żalić się przez cały wieczór i całą noc! Aż do rana!

– Dobrze, skoro nie chcesz o tym mówić, to powiedz, jak idą nagrania. Napisałaś teksty?

– No tak... nie odbiegłeś daleko od tematu – przyznała.

– Domyśliłem się. Coś poszło nie tak?

– Nie będzie żadnych nagrań.

– Dlaczego? Znowu przestałaś wierzyć w siebie?

– I tak, i nie... to znaczy, to skomplikowane...

– Zaczynj od początku.

Anna opowiedziała wszystko. Od poznania Franka do jego wyznania. Od frustracji z powodu tekstów do samopoczucia, które ogarnęło ją w studiu. Przyznała się do naiwności, oskarżyła siebie o łatwowierność i głupotę, i skazała się na dożywotnie niepowodzenie w karierze muzycznej.

Daniel, słuchając opowieści Anny, czuł przede wszystkim ulgę na myśl, że między nią a Frankiem nic nie było. Spoglądał na Annę ze współczuciem, choć nie mógł powstrzymać rozbawienia, które wywoływała w nim jej dramatyczna powaga.

– Naprawdę myślisz, że ten żenujący przypadek świadczy o tym, że nie nadajesz się na artystkę? Że jedyną drogą do kariery są znajomości i czyjaś nieproszona sympatia?

– No tak wynika z tej sytuacji... Nie śmieję się, czuję się fatalnie.

– Przepraszam, Aniu, ale nie rozumiem dlaczego. Po pierwsze twierdzisz, że źle ci się pracowało w studiu, że o wiele bardziej wolisz żywą publiczność. Więc czego żałujesz? Oboje wiemy, jakie wrażenie robią twoje występy. A co do twojej naiwności, no cóż, uczymy się przez całe życie, każdego dnia. Ja uważam, że twoja wiara w ludzką szczerłość jest słodka.

– O dziękuję... Frank uznał, że jestem uroczo naiwna, a ty...

– Nie przejmuj się tym, nie torturuj. Przecież wszystko jest dobrze. Nie jest? – Wpatrywał się w Annę tak hipnotyzującym wzrokiem, że musiała się uśmiechnąć. Czuła, jakby od Daniela płynęła ku niej wiązka pozytywnej energii, która przenikała jej ciało, wypełniała każdą komórkę, przeganiała z głowy złe myśli, oczyszczała duszę z kompleksów.

– Mimo wszystko muszę iść do przodu.

– Nie musisz. Możesz ulec sugestiom, zrezygnować z muzyki, wrócić do starego życia. Wszystko zależy od tego, czego chcesz.

– Więc dobrze się stało, jak się stało – przyznała Anna. – Teraz przynajmniej wiem, w którą stronę nie chcę iść. Najlepiej czuję się w „Felicità”, siedząc na scenie i poprawiając ludziom humor.

– To takie dla ciebie ważne?

– Tak. Teraz czuję to szczególnie mocno.

– Żadnych wątpliwości? Zawsze możesz odejść. – Daniel nie ustępował w prowokacji.

– Hej! Teraz chcesz się mnie pozbyć? Gdy się okazało, że jednak nie zostanę gwiazdą z

bilbordów?

– Sprawdzam tylko twoją determinację.

– Wiem i dziękuję. To jednak prawda, że często nie doceniamy rzeczy, które mamy, póki ich nie stracimy. Na przykład wcale nie tęsknię do przeszłego życia i pracy, a kiedy pomyślę o zamknięciu rozdziału pod tytułem „Amsterdam”, to aż mi się zimno robi!

– Doskonale cię rozumiem. Pewność siebie i entuzjazm w działaniu są niezbędne, szczególnie gdy spełniasz swoje marzenia. Kiedy planowałem otwarcie baru, miałem wiele momentów zawahania. Byłem bliski porzucenia tego pomysłu. Po prostu się bałem i nie wiedziałem, czy sobie poradzę, czy utrzymam się na powierzchni. Przegadałem godziny na ten temat z Gregiem. Przyjaźniliśmy się na długo przed otwarciem „Felicità”. To on powiedział mi wtedy, że przecież zawsze mogę wrócić. I jak wyobraziłem sobie powrót na Węgry, po całej tej podróży, po tych wszystkich wysiłkach i staraniach – wiedziałem, że nie mogę tego zrobić.

– Wizualizacja to potężne narzędzie.

– Wiem. I pamiętam, że kiedy powiedziałem sobie: „jednak zostanę i dokończę, co zacząłem”, poczułem ulgę, radość, że jestem tu, a nie tam, i że wciąż mam przed sobą tyle możliwości. Domyślałem się, jak mniej więcej wyglądałoby moje życie, gdybym wrócił. Ta wizja w ogóle mi się nie spodobała.

– Mnie też nie podoba się wizja powrotu. Nic a nic.

– Jesteś tu szczęśliwa?

– Pokochałam Amsterdam. Nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej.

– Myślisz, że spełnisz tu wszystkie marzenia?

– Wiele już się spełniło! Robię to, co kocham. Znalazłam przyjaciół. Żyję w interesującym miejscu, które każdego dnia mnie zaskakuje. Czego mogę chcieć więcej?

– Miłości.

Anna zamilkła. Nie spodziewała się, że z ust Daniela padnie to słowo, co więcej, wypowiedziane tak pewnym, niezachwianym tonem. Serce zabiło jej szybciej. Co powinna mu odpowiedzieć? Gubiła się w swoich uczuciach. Wiedziała jedynie, że myśli o Danielu często, zastanawiając się, co robi w danej chwili, z kim rozmawia, czy też o niej myśli i co by jej poradził w różnych sytuacjach. I ta jego ciągła obecność w jej głowie wydawała się mocno niepokojąca.

– Oczywiście, że pragnę miłości, jak każdy – odparła, rumieniąc się, co nie uszło uwadze Daniela.

– Myślisz, że ją tutaj znajdziesz?

Anna zastanawiała się, czy pytania Daniela są celowe, czy przypadkowe. Próbuje wybadać jej intencje? A może z tym spokojnym wyrazem twarzy tak tylko pyta, z czystej ciekawości, nieświadom chaosu, który wywołuje w jej głowie? Nie mogła znieść napięcia, nie chciała udawać, grać, kokietować. Wpatrzona w haftowany obrus, odpowiedziała:

– Być może już ją znalazłam...

Daniel, choć siedział, poczuł, jak miękną mu kolana. Pragnął usłyszeć podobną odpowiedź, ale się jej nie spodziewał. Nie wiedział, czy powinien się ucieszyć, czy zachować dystans. Bo czy Anna, mówiąc o miłości – o możliwości znalezienia miłości – myślała akurat o nim? Jak powinien zareagować? Udać zdziwienie? Zapytać, kim jest ten szczęśliwiec? A jeżeli odpowiedź go rozczaruje? Dlatego wołał milczeć. Tak będzie najbezpieczniej. Jeszcze poczeka. Da odetchnąć sobie i Annie.

– Domyślam się, że jutro wieczorem zagrasz najlepszy koncert w swojej karierze.

Anna, nieco zmieszana najpierw dłuższym milczeniem, a potem nagłą zmianą tematu, zdołała tylko bąknąć:

– Dlaczego?

– No bo wystąpisz po kryzysie. Dzisiaj miałaś chwile wahania, więc gdy jutro usiądziesz na scenie i pomyślisz, że mogłoby cię tam nie być, poczujesz radość i siłę.

– Masz rację. Wierzę, że tak będzie.

Czy Danielowi mogło się nie spodobać to, co powiedziała o miłości? Mogło – jeżeli domyślił się, że Anna mówiła o nim, a on nie odwzajemniał jej uczuć. Przecież gdyby zapytał, o kogo chodzi, i gdyby Anna wyznała prawdę, to byłaby katastrofa! On musiałby wyjaśnić, że bardzo ją lubi, ale nic ponad to, a ona spaliłaby się ze wstydu! Pewnie nigdy już nie spojrzęłyby mu w oczy! Jak to dobrze, że pozwolił, aby temat umarł śmiercią naturalną, jak to dobrze, że zaczął mówić o czymś innym.

„O czymś innym” rozmawiali do końca dnia, choć rozmyślali wciąż o tym samym. Oboje patrzyli na siebie tak, jakby próbowali nawzajem odczytać swoje zamiary. Obydwoje czuli, że trapią ich podobne wątpliwości, ale zabrakło im odwagi, by się nimi podzielić. Maski obojętności nosili aż do chwili pożegnania.

– Dziękuję, że jesteś, że mogę ci ufać i zwierzać się z problemów.

– W każdej chwili, kiedy tylko zechcesz. Dla ciebie zawsze jestem w pogotowiu. I choć zabrzmiało to egoistycznie... trochę się cieszę, że nie wyszło z tymi nagraniami.

– Tak?

– Nie, żebyśmy nie życzył ci sukcesu. Ale i tak wolisz zostać u nas... i zostajesz. Dlatego się

cieszę. Choć przede wszystkim chcę twojego szczęścia. Jeśli przypadkiem twoje pragnienia pokrywają się z moimi, to tym lepiej! Szczyt radości...

Patrzyła na niego z uśmiechem. Słuchając jego nieskładnej wypowiedzi, widząc błędny wzrok, uświadomiła sobie, że Daniel jest zdenerwowany nawet bardziej niż ona. I zrozumiała dlaczego.

– Cieszę się, że oboje znajdujemy radość w tym samym, i dziękuję, że po raz kolejny dodałeś mi odwagi. Masz jakiś pomysł na to, jak mogę ci podziękować?

– O, bardzo prosto – odparł, nadstawiając policzek do całusa. Anna przysunęła się wolno i delikatnie musnęła ustami jego skórę. Nigdy dotąd nie była tak blisko Daniela, nigdy wcześniej nie czuła jego zapachu z taką intensywnością – i chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej. Czuła błogość, więc nie przerywała kontaktu.

Daniel miał wrażenie, że jego policzek płonie, a ciepło rozlewa się po całym ciele. Wszystkimi zmysłami chłonił Annę, woń jej włosów, delikatność ust... Widząc, że się odsuwa, chwycił jej dłonie i niespiesznie przesunął palcami ku górze, wzdłuż smukłych nadgarstków i gładkich ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Anna zadrżała lekko i Daniel, wyczulony na jej reakcje, odsunął głowę, przytulił dłoń do jej policzka, a wargami dotknął ust...

Emocje Anny oscylowały między podnieceniem a strachem, ale radość, którą miała w sercu, wygrała. Poddawała się naturze. Poddawała się pożądaniu. Lęk minął, zastąpiony zaufaniem, poczuciem bezpieczeństwa i pewnością, że tak właśnie ma być. Że ona jest dla Daniela, a Daniel dla niej. W jednej chwili pojęła, że całe jej życie zmierzało do tego, aby się spotkali i rozpoznali jako dwie bratnie dusze. Ich wcześniej osobne istnienia połączyły się właśnie w tym czasie i miejscu, i odtąd wszystko, co mieli, dzielili na dwoje.

Tej nocy była w nich jakaś nieśmiałość, niewinność, zarazem dbałość o siebie nawzajem. Anna po raz pierwszy w życiu doświadczała takiej troski ze strony kochanka. Daniel pieścił ją delikatnie, nie ponaglał, wsłuchiwał się w jej potrzeby. Tworzyli cudowny akt, w którym rytmika stawała się synchronią. Chociaż ich podniecenie sięgało granic, zachowali skupienie, pragnąc zapamiętać tę chwilę dokładnie, zakodować w pamięci na zawsze każdy ruch, każde drgnienie zmysłów.

Zasnęli objęci w perfekcyjnym splocie ciał. Anna czuła się bezpieczna i jak nigdy dotąd – szczerze kochana. Wiedziała, że rozpoczyna się w jej życiu nowy etap, że od tej pory podążać będą z Danielem tą samą ścieżką, dzieląc radości i zmartwienia. Była zadowolona ze swojego życia i ciekawa dalszych odsłon losu. Z odpowiednim mężczyzną u boku mogła być spokojna o przyszłość. Wchodziła w nią z pewnością, że dokonuje właściwego wyboru, że to, co łączy ją z Danielem, stanowi silny fundament pod wspólne życie.

Po tej nocy faktycznie wiele się zmieniło. Rozkosz fizyczna przyniosła także spełnienie emocjonalne: cudowną świadomość, że weszli na właściwą, przeznaczoną im drogę. Nic nie

mogłoby potoczyć się inaczej. Nie mogliby być gdzie indziej, kiedy indziej, z kimś innym. Pewność ta dodawała im obojgu odwagi. Wiedzieli, że gdziekolwiek los ich skieruje, jeśli podążą tam razem, poradzą sobie.

Spędzali ze sobą prawie całe dni. Anna zaczęła pomagać Danielowi i Gregowi w prowadzeniu baru. I znajdowała mnóstwo radości w takiej pracy. Klientela „Felicità” była rozmaita. Pojawiały się modne kobiety w kapeluszach o rozmaitych kształtach; wpadały zwyczajne dziewczyny z gołą głową i włosami w nieładzie. Przychodziły po pracy, przed pracą lub... do pracy. Wtedy siadały przy którymś ze stolików, wyjmowały z torby laptop, dokumenty, notatki. Liczyły coś lub pisały. Anna nauczyła się zapamiętywać ich twarze – te radosne i te zatroskane. Zasmucone klientki zagadywała jakimś zabawnym tekstem, prawiła niewymuszone komplementy, sprawiając, że opuszczają bar w lepszym nastroju.

W niektórych kobietach Anna rozpoznawała siebie z przeszłości. Zwłaszcza we dwóch, które codziennie, o tej samej porze wpadały do baru ładnie ubrane, elegancko uczesane, brały zawsze taką samą kawę, dając dokładnie odliczony napiwek. Nie miały czasu na rozmowę. Zostawiały za sobą jedynie wyuczoną uprzejmość i pozór szczęścia. Lecz Anna domyślała się, co kryje się za ich pośpiechem. Był celowy – skracał wolny czas, by nie zostawało go zbyt wiele na myślenie i analizowanie życia. Czasami miała ochotę zatrzymać te kobiety w jakiś sposób – wylać kawę na ich białe bluzki, aby choć na sekundę wyrwać je z codziennej rutyny. Chciała opowiedzieć im swoją historię, podzielić się doświadczeniem, uzmysłwić im, że istnieją inne alternatywy wobec istnienia pozbawionego życia.

Któregoś popołudnia do „Felicità” zawitała Amanda. Anna uśmiechnęła się na jej widok.

– Teraz pracujesz za barem? Wyglądasz na szczęśliwą! Co się stało z nagraniami? Słyszałam od Franka dziwne historie...

– Miło cię widzieć, Amando.

– No tak, przepraszam. Ciebie też miło spotkać. Naprawdę długo się nie widziałyśmy, skoro u ciebie wydarzyły się tysiące rzeczy, o których ja nie mam pojęcia! Opowiadaj, umieram z ciekawości.

– Pozmieniało się trochę, a zarazem nic się nie zmieniło. Nie wiem, co dokładnie mówił ci Frank, ale w skrócie: odmówiłam współpracy z jego przyjacielem. Warunki studyjne nie są dla mnie. Co więcej, Aleksander, ten znajomy, chciał mi wcisnąć do repertuaru piosenki napisane przez jego siostrę, które – delikatnie mówiąc – za ambitne nie były...

– Oczywiście! Cholera jasna, nie jesteś pierwszą, którą próbowali tak załatwić. Jestem wściekła na Franka i przykro mi, że cię to spotkało...

– W porządku. Zyskałam nowe doświadczenie.

– Powiem ci, że jesteś pierwszą, która tak prędko zorientowała się, co jest na rzeczy! Powinam cię wcześniej ostrzec, ale nie chciałam ci odbierać nadziei. Mimo że nie rozumiem wielu twoich wyborów, to szanuję je i podziwiam.

– Miło to słyszeć.

– Tak czy siak, Franka to ładnie załatwiłaś! Ha, ha! Zadzwoił do mnie któregoś dnia i prosił, abym was umówiła, bo dałaś mu kosza i on nie może się pozbierać z rozpaczy. Z rozpaczy, że tak wiele może ci oferować, a ty to odrzucasz!

– Jakie to szlachetne z jego strony... – odparła Anna z uśmiechem.

– Zasłużył na ten sarkazm. Facet jest ża-ło-sny. I tak postąpiłaś z nim delikatnie. Ja bym go walnęła w nos od progu!

– Nie lubię przemocy.

– No wiem. Jesteś z tych wrażliwych. Ale wiesz, jak to mówią: kiedy masz miękkie serce, to musisz mieć twardą dupę!

– Robię, co mogę.

Amanda uśmiechała się szeroko do Anny. A potem rozejrzała się uważnie po barze.

– Przyjemnie tu jest. I powiedz mi szczerze: dobrze ci tu? Tego chciałaś, kiedy podjęłaś decyzję o przyjeździe?

– Wtedy nie potrafiłabym wymyślić dla siebie lepszego życia. Nie liczyłam na nic konkretnego. Po prostu chciałam zmian. A to, co spotkało mnie tu na miejscu, jest fantastyczne i przynosi mi wiele radości. Nie chciałabym być nigdzie indziej.

– Co to za historia... To nasze spotkanie w pociągu... Powiem ci, ale nie gniewaj się, myślałam wtedy, że jesteś głupia i nieodpowiedzialna, a okazało się, że ty masz po prostu większe jaja niż wszyscy faceci, z którymi pracuję, razem wzięci! To było bardzo odważne. I widzę, że ci posłużyło. Wyglądasz na zadowoloną i pewną siebie. Całkiem inna kobieta od tej z pociągu.

Anna postawiła na barze dwie przed chwilą zaparzone kawy i usiadła obok Amandy.

– A ty, jak sobie radzisz?

– Moje życie nie jest ciekawe, nie ma o czym opowiadać, ale lubię je. Od naszego pierwszego spotkania nic się nie zmieniło. Nadal cenię sobie stałość i niezależność. Ale przyznam się, że odkąd cię poznałam, nieraz się zastanawiałam, czy chciałabym zmienić swoje życie tak radykalnie jak ty. Wyobrażałam sobie nawet, gdzie bym pojechała i co robiła. Ale nie, to nie dla mnie. Dobrze jest, jak jest. Moje doświadczenia chyba mnie trochę utemperowały. Kolejnej podobnej porażki bym nie zniosła.

– Najważniejsze, że robisz to, co lubisz.

Do baru wszedł Daniel. Przywitał się z Amandą, po czym podszedł do Anny i czule ją ucałował.

– Cześć, piękna! Potrzebujecie czegoś ze sklepu?

– Kończy się mleko. I to chyba wszystko – odpowiedziała Anna, czując na sobie pytające spojrzenie Amandy.

– Dobrze, zaraz wracam.

Gdy wyszedł, Amanda nie kryła zaskoczenia.

– No, kochana, nic nie mówiłaś, że tutaj takie rzeczy się dzieją! Jak? Kiedy?

– Od początku coś się kroilo, ale wiesz, jak to jest... Trzeba wyczuć sytuację. Z tymi sprawami nie wolno się spieszyć.

– A ja głupia, pytałam ci się o niego... Trzeba było od razu powiedzieć, że sama masz na niego chrapkę.

– Wtedy jeszcze nie byłam pewna. I nie wiedziałam, że on też...

– Widzę, że sprawa jest poważna. Jak wam się układa?

– To dobry człowiek i czuję, że mu na mnie zależy.

– Więc cieszę się razem z tobą. I mam nadzieję, że nie mylisz się co do niego. Choć faktycznie, dobrze mu z oczu patrzy. Ale bądź ostrożna. Ja wiem, teraz przemawia przez mnie moje złe doświadczenie. Z wami może być całkiem inaczej niż ze mną, Martinem i naszą żalną historią miłosną. Tylko ostrzegam, jeśli zrobi ci krzywdę, to ja skrzywdzę jego!

– Spokojnie, Amando, gdy będzie coś nie tak, naślę cię na niego.

Anna czuła niemal fizycznie, jak pomiędzy nią a Amandą tworzy się nic porozumienia. Nabierała do niej zaufania i dobrze czuła się w jej towarzystwie. Miała nadzieję rozwijać tę przyjaźń.

Spotykały się często. Czasami Anna z trudem dzieliła krótki dzień na wszystkie zajęcia. Prywatne spotkania z Danielem, z Amandą, praca za barem, wieczorne granie, nieco samotności dla zdrowia psychicznego. Ale udawało się i z każdej aktywności czerpała satysfakcję. Wychodziły z Amandą na wspólne zakupy, kawę połączoną z babską pogawędką. Czasami dołączał do nich Daniel i wtedy z reguły Amandzie towarzyszył jakiś znajomy (za każdym razem był to inny mężczyzna). W święta, gdy „Felicita” było zamknięte, również Greg znajdował czas i ochotę na wspólną „posiadówkę”, i choć reprezentowali z Amandą odmienne osobowości, dogadywali się, wręcz cieszyli się swoim towarzystwem.

Początek ich wzajemnych relacji nie wyglądał zbyt różowo. Zawiniły właśnie różnice charakterów. Kiedy Amanda odwiedzała Annę w „Felicità”, siadały przy barze i gawędziły niezobowiązująco. Greg nierzadko pracował wówczas na zmianie, więc niby to sprzątając, zmywając i przygotowując napoje, nadstawiał ucha i bacznie przysłuchiwał się rozmowom. Miał zatem przewagę nad nieświadomą niczego Amandą. Podczas tych spotkań Greg był jak pilny student uczęszczający na wykłady akademickie. Zjawiał się regularnie, poznawał podglądy mówcy, przysłuchiwał się wystąpieniom, anegdotom, czasem nawet osobistym zwierzeniom. W konsekwencji wyrabiał sobie opinię o wykładowcy, obdarzał go sympatią lub antypatią, a po miesiącach spotkań czuł z nim jakąś osobistą więź. Lecz kiedy przychodził na egzamin ustny, okazywało się, że osoba, którą on zna tak dobrze, w ogóle go nie pamięta. Albo ledwie kojarzy.

Faktycznie, Greg dość długo był dla Amandy jedynie „znajomym z widzenia”. Z jego strony sprawa wyglądała poważniej. Kiedy słuchał opowieści Amandy o przeszłości, podziwiał ją za wrażliwość, wiarę w siłę emocji, samozaparcie i odwagę. Współczuł jej z powodu głębokiego rozczarowania, które ją spotkało. Te pozytywne wrażenia szybko burzyła obecna postawa Amandy: twarda, bezkompromisowa i niezachwiana. Przez jej wypowiedzi o mężczyznach przebijały się gorycz i wołanie o powrót do subtelności, ukryte pod maską drwin, obelg albo obojętności. Różnica między delikatną Amandą z przeszłości a twardą karierowiczką z teraźniejszości była dla Grega intrygująca i odstręczająca zarazem. Obawiał się tej kobiety i patrzył na nią z zainteresowaniem, jakby wyczekiwał kolejnego słowa z jej ust i badał, czy to słowo opowie się za starą czy nową Amandą. Stanowiła dla niego tajemnicę – wzbudzającą strach i fascynację.

Już przy pierwszym kontakcie z Amandą, Greg powiedział sobie w duchu: „Straszna kobieta, lepiej jej unikać”. Tak też robił. Dlatego nie wtrącał się w dyskusje przyjaciółek. Samo przysłuchiwanie się wystarczyło w zupełności i było jak podglądanie dzikiego zwierza wśród traw sawanny. Jak podziwianie pięknej, acz niebezpiecznej lwicy. Zdarzyło się kilkakrotnie, że czując na sobie baczne spojrzenie Grega (bo owszem, bywało, że się na nią zapatrzył), również zerkała na niego, jakby z wyrzutem i jednocześnie pytaniem w oczach: „Masz coś do dodania?”. Przyłapany Greg szybko spuszczał wzrok lub udawał, że patrzył na Amandę jedynie przelotnie, i natychmiast wędrował oczami dalej, gdzieś ku ścianie lub sufitowi. Był bardzo zmieszany. Kiedy raz poczuł na policzkach palące rumieńce, obiecał sobie, że nigdy więcej nie dopuści do podobnej sytuacji. Dlatego w swoim „zapatrywaniu się na Amandę” stał się ostrożniejszy.

Pewnego poranka, gdy wycierał umyte przed chwilą szklanki, Amanda weszła do baru i zapytała o Annę. Greg zdołał jedynie wykrztusić, że Anny nie ma. Jego ciało zareagowało na tą wizytę w sposób nieprzewidziany i poza kontrolą – rytm bicia jego serca uległ znacznemu przyspieszeniu. Greg nie mógł tego opanować, co przeraziło go i dręczyło przez kilka następnych dni.

Kolejna wymiana zdań między nimi była już mniej zdawkowa i zainicjowała owe bliższe relacje.

Amanda siedziała przy barze w towarzystwie Anny. Rozmawiały, a Greg, pracując, mimochodem się im przysłuchiwał i bezskutecznie próbował opanować bicie niesfornego serca.

– Naprawdę, Anno, bardzo się cieszę, że między tobą a Danielem wszystko się układa – zapewniała Amanda – ale nie zamieniłabym się z tobą. Znasz moją historię, nie ma potrzeby, żebym się powtarzała, więc powinnaś mnie zrozumieć. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym gatunkiem – niegodnym zaufania i uwagi. Zresztą do czego są mi potrzebni? Doskonale radzę sobie sama, a w dodatku zaoszczędzam na wielu rozpraszających emocjach. Jestem w idealnej sytuacji życiowej. Mam spokojne serce i duszę, a ciało i umysł pełne ambicji i skupienia. Niektórzy rodzą się z naturalną potrzebą związania się z drugą osobą, a inni nie nadają się do tego. Na moim miejscu myślałabyś tak samo, że faceci to strata czasu i energii. To wampiry energetyczne!

– Przemawia przez ciebie skrzywdzona kobieta – wtrącił Greg, nie wytrzymując tyłu niesłusznych zarzutów pod adresem swojej płci. – Wierzę, że tamten mężczyzna skrzywdził cię bardzo mocno. Jednak wierzę również, że pod tą maską agresji i dumy kryje się wrażliwa kobieta, która pragnie kochać i być kochaną.

Zaskoczona Anna zerknęła z przestrachem na przyjaciółkę. Spodziewała się gwałtownego, wulkanicznego wybuchu złości. Tymczasem Amanda po krótkim milczeniu, z pełnym spokojem i może nawet lekkim uśmiechem na ustach, odpowiedziała:

– Psychoanalityk się znalazł. Pewnie niestety masz rację...

To właśnie powiedziała! Była zbyt zawzięta, aby przyznać się do prawdy przed samą sobą, jednocześnie zbyt inteligentna, aby zignorować cudzą spostrzegawczość. Amanda od tego momentu patrzyła na Grega innymi oczami. Zaimponował jej przenikliwością i otwartością. No i zaczęła liczyć się z jego opinią. Nie pozwalała mu dłużej na bycie biernym słuchaczem. Z lekką zaczepnością pytała go czasami: „A co o tym myśli nasz psychoanalityk?”. Gregowi podobał się postęp w relacjach z Amandą, która zaczęła wykazywać się większą delikatnością. Jakby ta jedna konfrontacja coś w niej przełamała. Czuła się bezpiecznie w towarzystwie Grega, ufała jego spostrzeżeniom. Jako pierwszy przejrzał na wyłot jej kompleks i potraktował go ze współczuciem.

Piętnastego sierpnia, w dzień wolny od pracy, obie pary umówiły się na piknik w Vondelpark. Dzień był ciepły i słoneczny. Lekki wiatr tańczył między liśćmi drzew. W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów i waty cukrowej. Najpierw zjawili się Anna i Daniel. Rozłożyli koc. Obok stały dwa rowery i kosz wypełniony przekąskami. Jakież było ich zdziwienie, kiedy dołączyli do nich Greg i Amanda, którzy przyszli razem, wyraźnie umówieni wcześniej.

– Jesteście głodni? – zapytał Daniel, sięgając do kosza.

– Raczej nie, przed chwilą jedliśmy obiad – odparła Amanda.

Więc jedli razem obiad, spotykali się sam na sam, a Daniel i Anna nic o tym nie wiedzieli. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. A potem przenieśli pytający wzrok na twarze tajemniczej pary, licząc na uzyskanie wyjaśnień. Daremnie. Pozostało im więc poczekać, by na osobności wypytać każde z nich, co się dzieje.

I tak Daniel wypytał Grega, a Anna Amandę. Otrzymali podobne odpowiedzi. Faktycznie

tych dwoje zagustowało w swoim towarzystwie i od niedawna spotykali się prywatnie. Nie byli jednak pewni, co z tego wyjdzie. Zachowywali dystans w stosunku do przyszłości, jednak nie tracili nadziei na coś poważnego.

Kiedy Amanda opowiadała o swoich relacjach z Gregiem, uśmiechała się. Podobnie zachowywał się Greg, kiedy mówił o Amandzie. Oboje mieli dotychczas pecha w miłości i nie chcieli powtarzać starych błędów. Dali sobie szansę na bliższe poznanie i nie ukrywali, że zależy im na sobie.

W nowym układzie tym chętniej i przyjemniej cała czwórka spędzała czas razem. Mieli wspólne sprawy, opowieści, również wspólne problemy.

Któregoś razu Amanda zapukała do mieszkania Anny – całkiem zapłakana. Twierdziła, że między nią a Gregiem brakuje porozumienia, że kiedy ją przepelnia uczucie, on myśli, że coś jest nie tak; z kolei gdy Amanda faktycznie złości się na Grega, on zdaje się niczego nie zauważać.

Tymczasem Greg zwierzał się Danielowi, że kocha Amandę, lecz ta mu w ogóle nie ufa, ciągle podejrzewa o zainteresowanie innymi kobietami i zarzuca, że jest taki sam jak wszyscy mężczyźni.

Mimo podobnych konfliktów, które wynikały z odmienności ich charakterów i doświadczeń, dość szybko wracali do stanu równowagi, tęskniąc za sobą i nie chcąc tracić czasu na kłótnie.

Anna i Daniel nie czuli się komfortowo, trafiając w centrum problemu i odgrywając rolę pośredników. Jednak przyjaźń nie pozwalała im na zachowanie obojętności. Za każdym razem starali się doprowadzać do pojednania tej pełnej przeciwieństw pary. Jeśli zobaczyłbyś, czytelniku, Amandę i Grega po raz pierwszy, nawet przez myśl by ci nie przeszło, że tych dwoje łączy uczucie. Różnili się nawet wizualnie. Greg, przystojny, średniego wzrostu szatyn, nie przywiązywał większej wagi do wyglądu. Chodził w luźnych spodniach, pogniecionej koszulce, bluzie lub koszuli w szkocką kratę, z nieładem we włosach, których nie zwykł czesać. Amanda była wysoka, szczupła, o ponętnych kształtach, które chętnie eksponowała. Kiedy zdejmowała służbowy kostium, lubiła zakładać rzucającą się w oczy biżuterię i wyzywające stroje: obcisłe i z dekoltem. Ale zawsze eleganckie.

Mimo tych różnic wizualnych i osobowościowych istniało między nimi coś wyraźnie trwałego. Byli jak dwa, odmienne w strukturze tryby, które właśnie dzięki owym różnicom uzupełniają się, zazębiają i wprawiają w ruch całą maszynę. Wbrew złym doświadczeniom łączyła ich szczerza intencja zbudowania dojrzałego związku, opartego na zaufaniu i trosce. To była ich wspólna misja, której spełnienie miało odkupić błędy przeszłości.

Obawy, obawy, obawy... Wszyscy je mamy. Problem zaczyna się, kiedy lęk nas paraliżuje i zniechęca do rozwoju. Daniel umiał obchodzić się ze swymi obawami. Ustawiał się na zewnątrz problemu, a potem obserwował i wyciągał wnioski. Za każdym razem, kiedy w jego życiu pojawiała się obawa o coś, pytał sam siebie, z czego ona wynika i czy ma racjonalne podstawy. Najczęściej okazywało się, że źródłem lęku była przeszłość, a podstawy, raczej wyimaginowane, tworzył niespokojny i nadmiernie kreatywny umysł.

Zdawał sobie sprawę, jak szkodliwe jest zbieranie wspomnień do kosza pamięci. Wspomnienia muszą być jak struny w pudle pianina – zaczynają drgać, gdy trąci się odpowiedni klawisz. Muszą być wyczulone i subtelne, żywe i reagujące na otoczenie. Cięża i przeszkadzają, gdy są zastałe, gdy tkwią zakurzone w albumie uporczywej pamięci – niezmiennie, bezużyteczne, zachowane nie dla rozwoju i nauki przez doświadczenie, lecz z pychy lub upodobania do przeszłości.

Dzięki podobnym przemyśleniom Daniel znajdował w sobie odwagę do podejmowania nowych, spontanicznych działań. Choć jego rodzice pracowali całe życie pod cudzym zwierzchnictwem (jego ojciec był górnikiem, a mama sprzedawczynią w sklepie spożywczym), Daniel postanowił założyć własny interes. Na dokładkę za granicą – choć jego rodzina od pokoleń mieszkała na Węgrzech.

W miłości również nie kierował się przyzwyczajeniami czy stereotypami. Nie oceniał nikogo, sugerując się poprzednimi relacjami. Kiedy więc patrzył na Annę, robił to z zaciekawieniem i zachwytem. Nie forsował idei wspólnej przyszłości, ale traktował ich związek poważnie. Obawiał się tylko, czy przejawiając tendencję do podejmowania nagłych kroków, będzie dla Anny dobrym partnerem. Okazało się jednak, że po prostu chce nim być. Pragnął dać jej szczęście, a gdy na nią patrzył, widział siebie u jej boku. Widział ich jako rodzinę. Czy jednak sprawdziłby się w roli ojca? Wprawdzie nigdy wcześniej o tym nie myślał, ale związek z Anną samoczynnie prowokował stawianie podobnych pytań. Aż wydarzyło się coś, co napełniło serce Daniela spokojem i ufnością w przyszłe życie rodzinne.

Pewnego październikowego wieczoru podczas koncertu Amanda, bacznie przyglądając się Annie, wpadła na pomysł zorganizowania muzycznych warsztatów dla dzieci. W ramach rekompensaty za znieważenie talentu przyjaciółki poprosiła Franka o pożyczenie kilku gitar i tydzień później w Amsterdamie pojawiły się ogłoszenia o zajęciach organizowanych w „Felicità”. Od pierwszych minut spotkania z dziećmi (było ich niewiele, raczej kameralne grono), Daniel nie mógł oderwać wzroku od Anny. Z rosnącą przyjemnością obserwował jej opiekuńczość i zainteresowanie, jakie wzbudzała wśród najmłodszych. Zachowanie Anny cechowała naturalność i swoboda, jakby była jednym z uczniów, a nie niedoświadczoną nauczycielką. I Daniel zrozumiał, że podobne obrazy chciałby oglądać każdego dnia, że pragnie stworzyć rodzinę właśnie z Anną. Myśl ta nie przestraszyła go, wręcz przeciwnie, napełniła go jeszcze większą radością. Nie powiedział Annie o swoich wizjach i odczuciach, ale od tej pory za każdym razem, kiedy na nią patrzył, odnosiła wrażenie, że jego miłość stała się pewniejsza i bogatsza. Dzięki czemu czuła się bezpieczniejsza i spokojniejsza o swoją przyszłość u boku Daniela.

Mimo wszystko nie umiała uwolnić się od pewnych obaw, które jak natrętne muchy wciąż wracały, nie dając się ani odgonić, ani zignorować. Choć lubiła towarzystwo dzieci, zdawała sobie sprawę, że wychowywanie własnych to całkiem inna sprawa. Bała się porażki. Czasami sama czuła się jak dziecko, gdy stawała przed jakimś problemem i potrzebowała porady, wskazówki.

Mieszkała w Amsterdamie od pół roku. Dopiero od sześciu miesięcy żyła własnym życiem, podejmowała decyzje zgodne z głosem jej duszy, a nie z nakazującym tonem społecznego ciała. Była jak raczkujące niemowlę, które dopiero poznaje świat. Jak mogłaby wziąć na siebie odpowiedzialność za wychowanie nowej, czystej jak niezapisana tablica istoty? Nie czuła się gotowa. Nie była pewna, czy jej dochody z muzyki wystarczą na dziecko. Czy osoba, która niedawno zrezygnowała z poważnej, dobrej pracy, jest na tyle odpowiedzialna, aby wejść w rolę rodzica? Zdecydowanie nie!

Życie Anny, choć niezbyt poukładane i stabilne, przynosiło jej jednak wiele radości i satysfakcji. Nie chciałyby tego burzyć. Cieszyła się z każdego dnia, z każdej chwili spędzonej z Danielem i przyjaciółmi, z każdego koncertu i warsztatu. Pełną piersią wdychała zapach życia, smakowała je w całkowitym skupieniu. Jednakże gdyby ktoś zarzucił jej nieodpowiedzialność i lekkomyślność, pewnie przyznałaby mu rację.

Często się zdarza, że nasza wiara w słuszność podejmowanych działań jest chwiejna i łatwa do podważenia. Czasami wystarczy jedna rozmowa, jeden przypadek i gotowi jesteśmy pod ich wpływem opuścić ścieżkę, po której kroczymy. Grozi nam to zwłaszcza wtedy, gdy nie wizualizujemy przeszkód, które mogą się pojawić.

Daniel zabezpieczał się przed takimi ewentualnościami. Otwierając bar, myślał o planie awaryjnym, na wypadek gdyby biznes się nie powiódł. Gdy zdecydował się wyznać Annie miłość, przemknęła mu przez głowę myśl: „A jeśli nam nie wyjdzie, jeśli Anna mnie opuści lub jeśli moje uczucie osłabnie? Co wtedy?”. Świadomy podobnych zwrotów, działał, kierując się pewnością chwili. Wiedział, do czego dąży i dlaczego. I wiedział, że robiąc cokolwiek w terażniejszości, nie może odpowiadać za przyszłość. Za siebie w przyszłości. Mógł jedynie żyć zgodnie ze swoim sumieniem i wchodzić w nowe sytuacje z pełną wiarą w słuszność wyboru tu i teraz. Nie zapominał, że przeszłość jest nauką i lekcją, służącą wyciągnięciu wniosków.

Przyszłość zaś to tajemnica, którą odkrywamy, czy tego chcemy, czy nie. Pracujemy na nią, lecz nasza praca nie gwarantuje jej kształtu. Mentalne przygotowanie na różne ewentualności, również na możliwości, których w ogóle się nie spodziewamy, to nasza siła. Daniel rozumiał, że wobec niemożności przepowiedzenia przyszłości głupstwem byłoby oczekiwanie czegokolwiek. Prowadziłoby to do rozczarowań.

W jego postawie wobec życia – nieoczekującej, przygotowanej na wszelkie opcje, opartej na obecnym stanie świadomości – można by dopatrywać się jakiejś bierności wobec losu. Niesłusznie. Daniel był aktywny i pełen wiary w powodzenie. Jednocześnie nie przywiązywał się do stanów, sytuacji, emocji. Przywiązywał się wyłącznie do ludzi bliskich jego sercu i dbał o to, aby stan relacji między nim a bliskimi pozostawał świeży, jakby nieodkryty, w ciągłym procesie. Za każdym razem, kiedy spotykał się z kimś, kogo niby dobrze znał, starał się patrzeć na tę osobę tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Bo przecież wszyscy się zmieniamy. I to bardzo szybko.

Najmniejsze zdarzenie, kilka minut naszego życia, może zmienić nas diametralnie. Najczęściej jednak zmiany są tak subtelne, że niemal niezauważalne. Lecz zachodzą. Zawsze, kiedy spotykasz kogoś znajomego, pamiętaj, że ta osoba jest już nieco inna od tej, którą widziałeś ostatnio. Dlaczego? Bo poznała więcej rzeczy, bo rozmawiała z kimś innym, bo doświadczyła czegoś nowego. Człowiek jest jak rzeka, która płynąc, nigdy nie pozostaje tą samą. Wiecznie w ruchu, wiecznie zmienna. Uchwytna tylko w „teraz” – zawieszonym w nigdy i nigdzie.

– Przygotowałem dla nas niespodziankę – powiedział Daniel do Anny dokładnie rok po ich pierwszym pocałunku.

– A dzisiaj jest jakiś specjalny dzień? – zapytała, przekomarzając się, bo doskonale pamiętała, co to za okazja.

– Przecież wiesz. Za dwie godziny wychodzimy.

O piątej po południu znaleźli się w porcie. Weszli do zacumowanej łodzi. Daniel już wcześniej zadbał o przekąskę, wino i kwiaty. Miał talent do robienia miłych niespodzianek i Anna bardzo je lubiła. Dzięki nim czuła, że ich związek pozostaje świeży.

Pływali jakiś czas w pobliżu portu. Później zmienili kurs na centrum. Kiedy przepływali pod Blauwburg, ich uwagę przykuły dwa pontony ratunkowe. Na powierzchni wody unosiło się ciało. Anna przypomniała sobie moment, gdy po raz pierwszy pomyślała o opuszczeniu banku. Znamienna chwila, kiedy przechodząc ulicą, spojrzała w twarz umierającej kobiety, kiedy wzrokiem podążyła za nurtem płynącej rysztokiem krwi.

Silniki pontonów pozostawały wyłączone. Załogi łodzi liczyły po dwóch mężczyzn. Piąty ratownik dopływał do dryfującego ciała. Chwycił je zwinnie i opierając o ramię, zawrócił ku pontonom.

Kim był topielec? Czy zdołają przywrócić go do życia? Jak znalazł się w wodzie? Może skoczył z mostu, bo nie mógł dłużej znieść rzeczywistości? A może było to morderstwo...? W afekcie czy z premedytacją? Kto zateśkni za zmarłym? Czy miał dzieci? Żonę? A może to kobieta? Czyjaś matka. Żona. Ukochana. Czyjeś dziecko, które jeszcze kilka godzin temu miało przed sobą długą przyszłość. Może topielec był alkoholikiem, który zatoczył się, potknął i spadł z mostu. A może był narkomanem, który zamroczony halucynacjami czuł, że musi połączyć się z potęgą wody. Może był milionerem, który za sprawą jednego nieopatrzego ruchu na giełdzie w kilka sekund utracił cały swój majątek.

Wszystkie te wizje przemykały przez umysł Anny. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego zatroskania. Dostrzegłszy je, Daniel od razu wyjaśnił:

– To ćwiczenia.

– Co? – zapytała Anna wyrwana z zamyślenia.

– To ćwiczenia. Często szkolą tu nowych ratowników. Zobacz – ten, którego wyciągają z wody, ma na sobie kombinezon. Myślałaś, że coś się stało? Zdarzają się takie wypadki, ale rzadko. Na szczęście.

Anna poczuła ulgę. Ale refleksja nad kruchością ludzkiego życia pozostała w jej świadomości. Nasunęło się pytanie, czy dobrze kieruje swoim życiem, czy jeśli jutro miałyby umrzeć, odeszłyby z satysfakcją. Tak, czuła się szczęśliwa. Była na dobrej drodze. Ale coś ją niepokoiło, jakby jej misja nie została jeszcze ukończona. Nie chciałyby umrzeć tu i teraz. Wiedziała, że ma przed sobą wiele celów do osiągnięcia. Nie wiedziała tylko, jakie to cele. I myśl o nich towarzyszyła jej przez cały wieczór i poranek następnego dnia.

Wstała wcześniej, obudzona szczekaniem psa. Na dworze nie zdążyła jeszcze opaść poranna mgła. Białe słońce przenikało między kamienicami. Lekki wiatr wzruszał powierzchnię wody. Beżowy pies siedział nad brzegiem kanału. Jego wzrok przesunął się ponad wodą i zatrzymał gdzieś po drugiej stronie na fasadzie budynku.

Anna, pchnięta senno-przyjaznym nastrojem, wolno podeszła do szczekającego psa. Ten szybko wyczuł jej obecność i jakby zachęcając ją do wspólnej obserwacji, spoglądał to na nią, to w kierunku intrygującego go domu. Anna przykucnęła obok i podążyła za psim wzrokiem. Po drugiej stronie kanału stała kamienica z sześcioma dużymi oknami. Jedno z tych okien było otwarte na oścież. Jak Anna później odkryła, otwierano je każdego poranka o tej samej godzinie, aby do pomieszczenia wleciało świeże powietrze. Kąt otwartej futryny i odległość między psem a szybą sprawiały, że zwierzak widział w niej swoje odbicie. I czekał na samego siebie tak, jakby w okiennym lustrze siedziała całkiem inna psia istota.

Anna pogłaskała go z pobłażaniem i ruszyła w miasto. Ulice były puste. Cienie malowały się na murach. Amsterdam nie narzucał swoich nastrojów, konwencji, nie rozpraszał, nie zagospodarowywał czasu. Anna pozostawała sama ze swoimi niezmaconymi niczym myślami, osadzona w osobistym, spowolnionym wobec konwencjonalnego czasie.

Na parapetach stały popielnice i donice wypełnione kwiatami. Przygotowywały się do dnia, stopniowo nagrzewając w słońcu. Nierozłożone stoliki i krzesła, oparte o ściany restauracji i kawiarni – zniewolone, obwiązane grubymi łańcuchami, zapięte na kłódkę. Podobnie stały rowery. Setki rowerów, ustawionych w rzędzie. W rzędach. Jeszcze spały, czekały na nowy dzień, konserwowały energię. Z pewnością będą jej potrzebowały. Każdego dnia pokonują wiele kilometrów. Z północy na południe, z południa na północny-wschód, z północnego-wschodu na północny-zachód... Służą rowerzystom wiernie, bo czują się doceniane. Upiększane, dobrze wyposażone, z priorytetem w ruchu drogowym. Mogą mknąć ulicami bez przeszkód. Płynny ruch kół. Wiatr między szprychami. Lecz głowa rowerzysty nie może być uniesiona zbyt wysoko, nie może bujać w obłokach, badając kształty chmur. Umysł rowerzysty nieustannie musi być skupiony na ruchu drogowym – intensywnym, choć płynnym.

Rowery to najszybszy środek lokomocji w Amsterdamie. Ludzie tutaj uczynili z tego sztukę. Ich pojazdy posiadają kosze, torby, osłony przeciw wiatrowi, krzeselka, skrzynki i doczepy. Taki ekwipunek wystarczy do przewożenia nie tylko bagażów, ale również pasażerów. Piątka dzieci usadzonych w przedniokołowej taczce, jedno na kierownicy, jedno na bagażniku i żona na ramie – to niedużo dla kierowcy, który w razie konieczności ujechałby ze słoniem na

plecach.

Niektórzy mieszkańcy mają piękne samochody. Bardzo nowe i bardzo drogie lub bardzo stare i bardzo drogie. Z trudem przemieszczają się ulicami (a raczej uliczkami) Amsterdamu. Kolejność pierwszeństwa jest tu następująca: rowery, skutery, samochody i piesi. Niektórzy kierowcy aut przepuszczają wszystkich z pieszymi włącznie. Innym brakuje do tego cierpliwości. Rowery nie przepuszczają nikogo. Mają niepodważalny priorytet, który przydzielił im się samoistnie i naturalnie. Mówiono, że dzieci z plemienia Komanczów rodziły się zrosnięte z koniem. Symbioza między jeźdźcem a zwierzęciem była dla nich swoista i oczywista od najmłodszych lat. Dlatego byli najlepszymi jeźdźcami na świecie. Mieszkańcy Amsterdamu z kolei rodzą się złączeni z rowerami. Już w łonie matki formują się miękkie ciało przyszłego człowieka i giętkie szprychy przyszłego roweru. Dzieci opanowują sztukę prowadzenia tego dwukołowego wierzchowca, zanim jeszcze nauczą się mówić lub chodzić.

Anna rozważała rowerowe kwestie, przyglądając się uśpionym pojazdom. W końcu przysiadła na ławce. Jakie prawdziwe było to poranne zdarzenie... Ten pies, jak człowiek... Zapatrzone w innych, oceniający, krytykujący. Wyśmiewamy. Szczekamy. Niestety najczęściej okazuje się, że wytykane innym wady nam również nie są obce. To przywary, których w sobie nie dostrzegamy lub z którymi nie umiemy sobie poradzić. To prawda, że każdy z nas nosi przy sobie dwie sakwy. Jedną z przodu – z błędami innych. Drugą z tyłu – z własnymi pomyłkami.

John powiedział jej kiedyś, że jedyną osobą, która może ją powstrzymać od samorealizacji, jest ona sama. To zmieniło jej życie.

Jeżeli krzyczymy na kogoś, to tak naprawdę krzyczymy na siebie. Jeżeli myślimy, że ktoś stoi nam na drodze, uniemożliwiając działanie lub podjęcie decyzji, to tak naprawdę sami stoimy sobie na drodze. Sami dla siebie jesteśmy najgorszym wrogiem. Ani inni ludzie, ani natura, ani wszechświat, los, Bóg, czy jakakolwiek siła zewnętrzna, nie mają na celu naszego niepowodzenia. A jeśli przypadkiem zależy im na naszym pechu, nie posiadają fizycznej mocy nad naszą decyzją o drogach, które obierzemy. Ostateczne wybory, pozwolenie sobie na takie, a nie inne emocje, praca nad charakterem i jej postęp leżą wyłącznie w naszych kompetencjach.

Życie się wydarza. Biegnie nieprzerwanie własnym rytmem. Przepływa jak woda w rzece, jak chmury pchane wiatrem po niebie. Naprawdę sądziłeś, że to ono chce cię zatrzymać, wpływać na ciebie, coś w tobie zmienić, do czegoś cię zmuszać? Myślałeś, że świat jest tobą zainteresowany? Otóż nie. Ty jesteś światem. Ty decydujesz o kolejach swego losu. Ty wybierasz drogi. Jeżeli jednak nagle coś cię zaskoczy, nie będąc takim, jak planowałeś, znaczy to, że przegapiłeś pewną ścieżkę. Jechałeś za szybko, przeoczyłeś zjazd z autostrady. Nieświadomie dałeś się pchnąć biegowi zdarzeń. Coś innego wybrało za ciebie. Zdecydował za ciebie nurt życia. Nie wykazałeś chęci zmian. Nie walczyłeś z prądem. Dałeś się ponieść. Tak było łatwiej: płynąć z prądem.

Nie, nie. Nie myśl, że czasami powinno się płynąć pod prąd. Nie da się. To tak, jakbyś próbował cofnąć czas. To przecież śmieszne. Żałosne. Jedyne, co możesz zrobić, to czasami płynąć po przekątnej. Niesie cię nurt natury, doświadczeń, osobowości. Ostatecznie jednak możesz zmienić kierunek. Kierunek, nie zwrot. Co więcej możesz wykorzystać nurt doświadczenia, aby cię pchnął dalej, aby dodał ci energii i sił. Trzeba tylko obrać ścieżkę.

Boczną ścieżkę. Boczny kanał. Więc musisz płynąć. Nieustannie z nurtem życia. Lecz nie daj się ponieść. Płyn świadomie. Decyduj o kierunkach. W rzece losu nic nie stoi ci na przeszkodzie. Nic nie tamuje przepływu. Wręcz przeciwnie – nurt cię wspiera. Korzystaj z jego energii. Nie bądź dla siebie wrogiem. Nie bądź dla siebie przeciwnikiem.

Słońce wschodziło coraz wyżej. Zaczynało prężyć promienie, wydłużało je, jakby po porannym przebudzeniu, ziewając, przeciągało się na tle nieba. Światło rozlewało się po wilgotnych od porannej mgły ulicach. Część kamienic nabrała już żywych kolorów, część chowała się jeszcze w cieniu, blada i senna. Ptaki rozmawiały ze sobą szeptem, nieśmiało przełamując nocną ciszę. Ich trzel, choć delikatny, docierał do wszystkich zakamarków. Do piwnic, na strychy, do ludzkich serc.

Mieszkańcy budzili się bez pośpiechu i strachu przed dniem. Otwierali szeroko okna, zapraszając poranną bryzę nadciągającą od morza. Przechadzając się ulicami nad kanałem, zobaczyłybyś, jak rozwarłe okna kamienic jawnie, bez skrępowania odkrywają wnętrza domów. Mógłbyś pomyśleć przez chwilę, że oglądasz wnętrza kawiarni. Już chciałbyś wejść do środka, lecz szybko spostrzegłbyś, że para siedząca przy stole ma na sobie szlafroki i bambosze. Jedzą śniadanie w domowym zaciszu. Przez oszczędność? Przez szacunek do właścicieli restauracji i kawiarni, którzy również cieszą się z porannego spokoju? Z przyzwyczajenia?

Amsterdam budzi się późnym rankiem.

Z poprzecznej ulicy doszedł do Anny rytmiczny szum. Przybliżał się jednostajnie, aż w końcu zza zakrętu wyłonił się rowerzysta. Pierwszy, którego spotkała w tym dniu. Na powitanie uderzył w wajchę dzwonka. Był to znak, że dzień się rozpoczął. Kiedy dotarła do „Felicità”, zaułki wypełniły się już ludźmi jadącymi po codzienne zakupy. Lokale otwierały swoje witryny. Uliczni artyści przygotowywali się do występów.

Daniel przywitał Annę już w progu. Uścisnął ją, ucałował.

– Ranny z ciebie ptaszek – skomentował.

– Tak, wcześniej się obudziłam. Dzień jest bardzo przyjemny.

– Chodź, zrobię ci kawę. Poranek jest chyba najprzyjemniejszą porą dnia. Lubię wstawać, kiedy większość jeszcze śpi. Podczas gdy inni wolno dochodzą do siebie, ja już w pełni funkcjonuję. Można by powiedzieć, że mam nad resztą przewagę.

Anna weszła za bar w poszukiwaniu jakiejś przekąski. Gdzieś między słoikami z herbatą dojrzała plik listów. Rachunki, zaproszenia, reklamy...

– A, przyszło skierowanie na badania kontrolne.

– Też muszę iść? Nie zatrudniasz mnie przecież do obsługi baru.

– Nie zatrudniam, ale zawsze warto skorzystać i przebadać się profilaktycznie. Pójdziesz, kiedy będzie ci pasowało – powiedział Daniel, całując Annę w czoło. Gotową już kawę postawił

na blacie. Zabrzęczała porcelana, rozniosła się woń świeżo zmielonych i zaparzonych ziaren.

– Uwielbiam ten zapach – wyznała Anna, przybliżywszy nos do filiżanki.

– Mój dzień się nie zacznie, dopóki nie wypiję kawy.

– Któregoś razu, kiedy otwierałam kawiarnię – zaczęła opowiadać Anna – z samego rana przyszedł facet. Całkiem zaszpany! Oczy przymknięte, ramiona opuszczone. A gdy zamawiał kawę, to głos miał gburowaty i flegmatyczny. I wyobraź sobie, że jak tylko wypił jeden łyk – tylko jeden łyk kawy! – to z nieprzyjemnego gościa zrobił się uśmiechnięty rozmówca! Zaczął zagadywać o to i tamto, i cały promieniał. To było dosłownie magiczne. A ja czułam się doskonale, wiedząc, że ta przemiana dokonała się dzięki zaparzonej przez mnie kawie.

– No widzisz, kawa pobudza serce dosłownie i w przenośni. Kiedy zaczynałem biznes, najwięcej przyjemności sprawiało mi poranne wstawanie i podawanie ludziom ich pierwszej kawy. To jak podawanie eliksiru życia. Dlatego zawsze przywiązywałem ogromną uwagę do tego, jak i z czego przygotowujemy kawę.

– Jest w niej coś specjalnego? To znaczy, w ziarnach?

– O tak! Spędziłem kilka dobrych godzin w palarni, testując różne mieszanki i proporcje gatunków.

– I wszystkich musiałeś spróbować!

– Moje serce jakoś to wytrzymało, ale przyznaję, że po takim dniu degustacji moje ręce się pociły i trzęsły. No i nie spałem całą dobę.

– Ale osiągnąłeś to, co chciałeś?

– Tak, moja kochana. Pijesz właśnie najlepszą kawę w całym Amsterdamie!

– Czy dzisiaj przychodzi ta nowa osoba do pomocy? – zapytała Anna. Kiedy zyski baru wzrosły, Daniel postanowił zatrudnić dodatkową osobę, aby mogli wspólnie z Anną spędzać więcej czasu poza pracą.

– Tak. To młody chłopak, student. Ma przyjść o drugiej. Zobaczymy, co potrafi, doszkolimy. A jak się wdroży, to pojedziemy gdzieś we dwoje na cały tydzień.

– Wytrzymasz ze mną cały tydzień? – zapytała przekornie, kiedy Daniel przytulił ją do siebie.

– Może być ciężko, ale postaram się – odpowiedział, po czym dodał: – Jest jakieś miejsce, które chciałabyś szczególnie zobaczyć?

– Jest wiele takich miejsc! Nigdy nie miałam czasu na podróżowanie, a gdy już gdzieś jechałam, to służbowo, więc nie mogłam pozwiedzać. Gdziekolwiek się udamy, będę szczęśliwa.

– W porządku, więc ja wybiorę miejsce. Nawet już mam pomysł.

Thomas, nowo przyjęty do pracy w „Felicità” student, szybko okazał się odpowiednią osobą. Ten otwarty na ludzi chłopak potrafił wciągnąć w rozmowę niemalże każdego gościa, sprawiając tym samym, że ci, którzy przychodzili na piętnaście minut, zostawali godzinę, a ci, którzy wypijali zazwyczaj jedną kawę, teraz wypijali ich kilka. Tak przyjemnie spędzało im się czas w towarzystwie nowego baristy. Pozwoliło to Danielowi i Annie na wyjazd we dwoje. Co więcej, mogli to zrobić ze spokojnym sumieniem, wiedząc, że Greg, mając dodatkową parę rąk do pracy, zadba o „Felicità” w najdrobniejszych szczegółach.

W piątek wieczorem Anna i Daniel wsiedli w samochód i rozpoczęli pierwszy wspólny urlop.

Kiedy dotarli na miejsce, słońce nieśmiało nadciągało ze wschodu. Paryż przywitał ich świeżym powietrzem. Miasto wylaniało się z cienia i z każdą minutą coraz wyraźniej malowało się paletą barw. Zatrzymali się w hotelu, niedaleko Bazyliki Najświętszego Serca, z której rozciągała się przepiękna panorama miasta. Zaraz po przyjeździe udali się do centrum. Godzina była bardzo wczesna, więc uznali, że pora sprzyja francuskiemu śniadaniu.

– Amsterdam to cudowne miasto – podkreślił Daniel – ale nawet tam nie dostaniesz tak pysznego *croissant* jak w Paryżu!

I rzeczywiście. Pierwszy kęs rogalika wydał się Annie doświadczeniem niemal metafizycznym. Nie musiała nic mówić, jej zachwycony wyraz twarzy wystarczał za wszystkie pochwały.

– Kruchy na zewnątrz, miękki w środku, złożony z wielu, wielu warstw – wyjaśniał dalej Daniel. – To chyba sekret ich wyjątkowości.

– Brak mi słów, by opisać ten smak. To chyba najlepsza rzecz, jaką jadłam w życiu!

– Najlepsze są te rzeczy, które powstają w rodzimym dla siebie kraju i robione są przez potomków swoich twórców.

Usta Anny wypełniał rogalik, więc tylko przytaknęła głową tej jakże słusznej opinii. Zjedli nieco konfitur, wypili kawę i ruszyli odkrywać Paryż.

Rekonesans po mieście zabrał im cały dzień i wieczorem ich nogi pulsowały ze zmęczenia. Intensywne okazało się to zwiedzanie. Kiedy Anna spojrzała później na mapę, zdała sobie sprawę, jak wielkie dystanse pokonywali każdego dnia, choć nie odczuwali tego w trakcie samych spacerów.

W nowej interesującej przestrzeni czas zdaje się upływać szybciej. Anna podzieliła się z Danielem swoim spostrzeżeniem:

– Kiedy trafiaam w nieznane miejsce, gdzie otacza mnie wiele ciekawych rzeczy, to nawet bardzo długie spacerowanie są przyjemnością. Dopiero kiedy pod wieczór padam na nos i mam zakwas, orientuję się, że musiałam zrobić kawał drogi.

– Dlatego niektórzy uważają, że czas, taki jak go rozumiemy, nie istnieje.

– Bo myślimy, że jest regularny, a tak naprawdę jest relatywny?

– Dokładnie tak. Dziwne, że w ogóle wymyśliliśmy coś tak abstrakcyjnego jak zegar.

– Na pewno jego twórca uznany został za heretyka! – Anna zaśmiała się. – Wcześniej wszyscy wiedzieli, że dla jednego chwila trwa krócej, dla drugiego dłużej, i uważali to za naturalne.

– No a tutaj nagle ktoś oświadcza, że odtąd chwila będzie trwała jednakowo długo dla wszystkich.

– Absurd...

– Absurd.

Takiego zatrzymania, zawieszenia czasu doznawali oboje już wiele razy. Daniel przypomniał sobie, że bywały w jego życiu przyjemne momenty, które subiektywnie trwały dłużej, niż wynikało to z obiektywnej kalkulacji zegara.

– Twój pierwszy koncert w „Felicità”... Zapatrzyłem się na ciebie, zaszuchałem i byłem tak szczęśliwy, że mocno skupiając uwagę, mogłem sprawić, by ta przyjemna chwila trwała i trwała.

– Więc relatywność czasu nie wynika z tego, czy spędzamy go przyjemnie lub nie, ale z tego, czy skupiamy się uważnie na każdej sekundzie.

– Podobno adrenalina także działa na nasze postrzeganie czasu.

– Tak? W jaki sposób?

– Naukowców zastanawiało, na czym to polega, że w chwili śmiertelnego zagrożenia całe nasze życie pojawia się nam przed oczami.

Więc przeprowadzili eksperyment. Dali facetowi urządzenie, które migając, wyświetlało pewną liczbę. Migowało tak szybko, że nie był w stanie jej odcyfrować. Kiedy jednak skoczył z dużej wysokości na trampolinę, ciągle patrząc na urządzenie, okazało się, że im bliżej był ziemi, tym lepiej potrafił odczytać przynajmniej parę cyfr.

– To znaczy, że jego odczuwanie czasu wydłużyło się.

– Na to wygląda. Jakby ta liczba w dramatycznej chwili zaczęła w jego odczuciu migać wolniej. Dlatego dojrzał jakąś cyfrę.

– Ciekawe... Więc subiektywnie żyją dłużej ci, którzy bardziej się skupiają na życiu? – zapytała Anna.

– Brzmi dziwnie, ale coś w tym jest. Wielu ludzi żyje szybko i nieuważnie, przez co omija ich wiele pięknych, wspaniałych rzeczy. To zupełnie jak z naszym spacerem. Jeżeli w Amsterdamie idziesz ulicą, którą bardzo dobrze znasz, nie koncentrujesz się na tym, co cię otacza. Po prostu idziesz. A kiedy jesteś tutaj, w nowym miejscu, twoja uwaga się wyteża i skupia, bo przyciągają ją nowe rzeczy.

– Ale czy nie powinno być odwrotnie? Przecież mówiłam, że choć wędrowaliśmy parę godzin, w ogóle nie odczułam upływu czasu.

– Idea tak absurdalna jak czas jest pełna paradoksów, kochanie.

Dużo rozmawiali. Można powiedzieć, że była to podróż pod znakiem rozmów. Na rozmaite tematy. Poważne, zabawne, prywatne, globalne, naukowe, życiowe... I chociaż bywało, że Anna nie miała pojęcia, o czym mówi Daniel, a czasami Daniel nie wiedział, co ma na myśli Anna, to patrzyli na siebie z zachwytem, słuchali się z zainteresowaniem, dopytując i dopowiadając.

A Paryż? Wydał się Annie wyjątkowym miejscem. Pomimo surowej współczesności, komercjalizmu i kapitalizmu, wciąż wyczuwało się w powietrzu romantyczną aurę miasta, jakąś duchową energię, które sprawiały, że człowiek na nowo zachwycał się światem.

„Stolica marzeń” – tak Anna nazwała Paryż, kiedy jedli kolację na Palce du Tertre.

Kilkudziesięciu malarzy gromadzi się codziennie na placu. Część z nich, trzymając w dłoniach szkicownik, podchodzi do ludzi i proponuje wykonanie portretu. Niektórzy zaczynają rysować, zanim ktokolwiek ich o to poprosi. Pokazują wtedy początek swojej pracy, ciekawość potencjalnego klienta wzrasta i zazwyczaj zgadza się zapłacić za dokończenie portretu. Inni malarze oferują już gotowe prace. Sprzedają swoją sztukę, najczęściej pejzaże Paryża, rzadziej abstrakcje. Siedzą gęsto, jeden obok drugiego i – co zastanawiające – nie ma między nimi rywalizacji.

Nagle jeden z malarzy, który wykonywał portrety cienia, zaczyna związać swój interes. Jego miejsce zajmuje inny artysta, który właśnie się pojawił. Malarze witają się serdecznie, wymieniają kilka zdań, po czym „cieniowy” odchodzi, a „pejzażowy” zostaje.

Czasami artyści podchodzili do swoich stanowisk, oglądali nawzajem swoje prace i komentowali. Anna nie znała francuskiego, ale obserwując ich, wyobraziła sobie, jak mogłaby

przebiegać taka rozmowa:

- No pokaż, co tam nowego namalowałeś.
- Skąd wiesz, że coś nowego namalowałem?
- Bo nie było cię tu kilka dni, więc naturalnie musiałeś pracować. O, ten obraz jest nowy. Poznają, bo go wcześniej nie widziałam.
- Masz rację, ten jest nowy. I tamten też.
- Całkiem ładnie ci wyszły. Ale czy zawsze już będziesz malował tylko Paryż?
- Przyjacielu, dla mnie to miasto każdego dnia wygląda inaczej. Każdego dnia piękniej! Zresztą – hm... Paryż się sprzedaje.

Tak gawędzili sobie paryscy artyści. Niekoniecznie po angielsku czy francusku. Anna rozpoznawała włoski, niemiecki, polski, litewski. I zastanawiała się, co sprowadziło wszystkich tych ludzi do Paryża. Jedna z malarek, Polka, miała chyba z siedemdziesiąt lat. Wolno rozpakowywała obrazy. Pejzaże, martwe natury. Anna zastanawiała się, jak wyglądało jej życie. Kiedy postanowiła przyjechać do miasta marzeń? Dlaczego? Może poznała Francuza, zakochała się, podążyła za nim do Paryża i już została? Może chciała tworzyć w kolektywie, otoczona przyjaciółmi malarzami, którzy jak nikt inny rozumieli jej wrażliwość? Czy nie bała się wyjechać z Polski, będącej w jej młodości bardziej wschodem niż zachodem? A może przyjechała tu z zupełnie innymi zamiarami, tylko sytuacja zmusiła ją do zarabiania i przypadkiem odkryła swój talent?

Każdy z tych artystów niósł ze sobą indywidualną historię. Choć należeli do jednej firmy: cechu malarzy. Wyglądali na szczęśliwych, gdy mogli kogoś namalować. Nowo przybyli, kiedy rozkładali prace, sprawiali wrażenie zadowolonych z życia. Kiedy opuszczali plac, zdawali się nieco zawiedzeni, ale żegnali się ze wszystkimi życzliwie.

Anna i Daniel bacznie ich obserwowali. Nigdy dotąd nie widzieli tylu artystów zgromadzonych w jednym miejscu. Nawet w Amsterdamie – również mieście malarzy, w którym znajdowały się domy Rembrandta i van Gogha – nie spotkali takiego „malarskiego koncentratu”.

W restauracji, przed którą siedzieli, starszy mężczyzna o okrągłym brzuchu i siwych włosach grał na gitarze. W jego repertuarze znajdowały się francuskie i angielskie (śpiewane z francuskim akcentem) piosenki. Utwory, głównie sentymentalne, mające wprawiać słuchaczy w nastrój romansu i rozmarzenia, śpiewał z uśmiechem na twarzy i rozflirtowanym spojrzeniem. Śpiewał, wierząc w każde słowo piosenki i czując w sercu każde drgnięcie instrumentu. Anna nie miała co do tego wątpliwości.

Przez skwer przewijało się wielu ludzi. W powietrzu unosił się gwar rozmów i śmiechów. Przechodnie rozglądali się wokoło, zatrzymywali wzrok na obrazach, zerkali do środka lokali. Przez ten tłum ze zwinnością kota przemykali kelnerzy, którzy obsługiwali bar i ogród rozdzielone chodnikiem. Wybiegali nagle z restauracji, ubrani w kaszkiety, szelki, białe koszulki

i spodnie w poziome paski, z niebieską apaszką wokół szyi. W jednej dłoni trzymali wielki talerz, a w drugiej tacę z winami. Od progu krzyczeli: „*Chaud, chaud, chaud!*”, a ludzie, jak za wypowiedzeniem zaklęcia, zatrzymywali się zmrozeni, tworząc przejście.

W przerwach między podawaniem dań kelnerzy szukali chwilowej rozrywki. Jedną z zabaw było zaczepianie przechodniów. Młody, przystojny garson dostrzegł starszą panią, która wolno, wolniuteńko szła przez skwer z gałkowym lodem w dłoni (sądząc po kolorze, najprawdopodobniej o smaku truskawkowym). Ze spuszczoną głową wyglądała na senną, nieobecną duchem. Dziwny był to widok w Paryżu: ktoś niezainteresowany światem, niechłonący wzrokiem każdego, najmniejszego elementu przestrzeni. Chętny do splełania psikusa kelner podkradł się do zamysłonej staruszki i siedł równo z nią, usta przybliżając do loda, jakby zamierzał posmakować deseru. Zrezygnował z zabawy, kiedy staruszka się zorientowała i spojrzała na niesforne go kawalarza ze zdziwieniem. Odeszła jednak z uśmiechem na twarzy. Kelner również wrócił do pracy uśmiechnięty, ponieważ udało mu się, choć na chwilę, obudzić śpiącego na jawie przechodnia.

Każde nowe miejsce próbuje nas przebudzić, pokazując nam nieznanne dotychczas elementy, sytuacje, systemy. Nowość przyciąga uwagę, wymusza koncentrację. Paryż krył w sobie wiele niespodzianek. Zatrzymywały one Annę, skłaniały do zastanowienia i uczyły czegoś nowego, czego wcześniej nie doznała.

Wizyta w katedrze Notre Dame poruszyła jej serce do głębi. Wysokie sklepienia kończące się gdzieś wysoko, tak wysoko, że nie było widać ich szczytu, wprawiały ją w nastrój refleksyjny, a zarazem na tyle emocjonalny, że każda logiczna myśl wydawała się zbędna i nierealna. Rozkład okien katedry genialnie zaprojektowano – wpadające do środka światło tańczyło płynnie z przestrzenią, wypełniało ją, oblewało. Każdy promień słońca trafiał tam, gdzie powinien. Jedynym niepasującym do całości elementem był ustawiony z boku odtwarzacz płyt kompaktowych. Każdy mógł do niego podejść, założyć słuchawki i dać się porwać skomponowanej ku czci Boga lub mamony muzyce. Idealna struktura przestrzeni, całkowity brak przypadkowości przypominają o idealnym łańdźcu świata, który często umyka naszej uwadze.

Począwszy od cząsteczkowej struktury trawy, poprzez układ płatków na kwiecie, sposób krążenia soków w każdym żywym organizmie, skończywszy na ruchu przechodniów po zatłoczonym placu – wszystko układa się w określony sposób, celowy, harmonijny. Świadomość tej struktury budującej cały wszechświat sprawia, że zaczynamy czuć się częścią składową bytu. Zaczynamy czuć się bytem.

Anna i Daniel usiedli w nawie poprzecznej. Tłumy ludzi, przewijały się wewnątrz katedry. Spojrzeli na grupę turystów, oblepiających stoisko ze świętymi obrazkami, różańcami i podobnymi świadectwami ludzkich poszukiwań duchowości. „Ze wszystkiego umiemy zrobić biznes. Nawet z Boga” – pomyślała Anna, kiedy wychodzili ze świątyni. Opuszczali ją z mieszanymi uczuciami: z duchowym uniesieniem i niesmakiem wywołanym ludzkim przywiązaniem do pieniądza. Napisane jest: „Mój dom ma być domem modlitwy, a wy czynicie z niego jaskinię zbójców”.

„Jaskinią zbójców” nie można nazwać stolicy światowej sztuki – Luwru. Stojący na straży sztuki kuratorzy nie pozwolą, aby w zbiorach tego muzeum znalazły się sztuki mierne,

przeciętne czy nawet dobre. Ich życiową misją jest pilnowanie, aby to miejsce pozostawało świadectwem kunsztu, genialnego talentu i ogromu ludzkich możliwości.

„Hydra pamiątek” – to określenie najbardziej pasuje do Luwru. Skupisko pamięci o czasach minionych. To, co nie jest wystarczająco stare, nie znajdzie tu miejsca. Obrazy flamandzkich mistrzów, rzeźby starożytnych twórców zawstydzają współczesnych, którzy choć przez chwilę ośmielili się nadać sobie miano „artysty”. Piętno ludzkiego geniuszu. Piętno warsztatu doprowadzonego do granic perfekcji. Nie myśl, że ktoś uwierzy w twój talent, współczesny malarzu bohomasów... Spójrz na te kreski, które w swojej prostocie wiernie oddają skomplikowaną rzeczywistość. Powiesz – to nie rzeczywistość, tylko jej wyobrażenia. Okłamujesz sam siebie, starasz się wytłumaczyć, próbujesz załatać dziurę w płaszczu talentu. Daremnie. Duch prawdziwej sztuki i tak będzie wyrывał cię ze snu.

Chcecie się wyróżnić – marni artyści współczesności. Założyliście sobie, że potrzebny jest absurd, przewartościowanie idei. Myślicie, że stworzenie czegoś pozornie nowego przyniesie wam wieczną sławę i tym samym uchroni was od śmierci. Błędzicie. Wszystko już było. Przewartościowanie opiera się na tym, czemu próbujecie zaprzeczyć. Pogódźcie się z marnym losem, który was czeka na ścieżce sztuki. Jesteście zniewoleni i opętani przez przeszłość. Widmo mistrzów wisi nad wami i czuwa, abyście nie popełnili grzechu przeciwko Wielkiej Sztuce. Każda herezja szybko umrze śmiercią naturalną, która zwie się ignorancją.

Szczytem ludzkiego zafascynowania sztuką jest wzdychanie nad portretem pani Lisy, której uśmiech stał się symbolem owianym tajemnicą. Przechodnie oblepiają spojrzeniami obraz. Robią zdjęcia. Ochrona bacznie pilnuje, aby nikt nie przekroczył intymnej sfery pani Lisy. Ta dama za szkłem potrzebuje przestrzeni. Królowa pozy, królowa tajemnicy. Historię o samej sobie przyćmiła inne sportretowane damy.

Nikt nie zatrzyma się na dłużej obok uroczej pani Recamier, której spojrzenie uspokaja. Jej ciało odwrócone, jakby nieco zawstydzone, a oczy skierowane w stronę widza sprawdzają, czy ktoś patrzy, czy nie. Niewielu patrzy. A pani Recamier ma dużo do zaoferowania. Pozostawia wyobraźni przechodniów wiele miejsca. Specjalnie pochowała swoje drobiazgi, odsunęła meble, zwinęła dywan. Ułożyła się swobodnie, ubrała suknię w kolorze niewinnej bieli, a buty odrzuciła w kąt. Przyjmuje gości naturalnie, po domowemu. Nie narzuca się nikomu ze swoją interpretacją świata, nie próbuje wzbudzić respektu. Po prostu leży. Na niedokończonym obrazie. Otwartym dla wszystkich. Niech każdy wyda swój własny osąd. Niech każdy doda coś od siebie. Niech się czuje swobodnie w towarzystwie gospodyni. Lecz ludzie boją się używać własnej wyobraźni; wolą posługiwać się czyjaś. Podjąć rozpoznawalne symbole. Zachwycać się tym, czym zachwyca się większość. Dla bezpieczeństwa. Żeby uchronić się od błędu, żeby nie odstawać. Najlepiej gdyby nie było żadnych metafor. Na obrazie lepiej zobaczyć postać człowieka niż krzyż symbolizujący człowieka. Jeśli już musi być jakiś symbol, niech zostanie dokładnie wyjaśniony. Dlaczego, skąd, po co? Czy ma mnie zaniepokoić, czy zachwyć?

Paryż jest pełen symboli. Dobrze rozpoznawalnych. Symboli zniewolenia, zwycięstwa, miłości.

Pont des Arts – paryska ikona miłości. Czule objęte pary przechadzają się po moście. Obserwują różnorakie kłódki gwarantujące wieczną miłość. Pieczęcie uczucia. Ilu z tych

zakochanych nadal czule się obejmują? Ilu przetrwało próbę czasu i życia? Może o którejś z tych par za kilka lat przeczytamy w gazecie: „Biła męża patelnią. W akcie zemsty on wybił szybę jej głową” lub „Żona wszczęła awanturę, więc mąż wystawił ją, ubraną w samą bieliznę, na balkon, aby ochłonęła”. Podobne epizody zdarzają się często, a ludzie mimo to tkwią w toksycznych związkach. Liczą na poprawę? Boją się samotności? Nie lubią zmian? Są masochistami? Kto wie, co nimi kieruje...

Miłość i nienawiść. Niektórzy uważają, że nie są to uczucia przeciwne, lecz w jakimś sensie tożsame. Niezależnie od teorii fakt, że niegdyś kochający się ludzie po latach nie mogą się znieść, jest niezmiernie intrygujący. Małżeństwa krzyczą na siebie, patrzą z pogardą, wyzywają od najgorszych. Jeśli jednak obejrzałbyś ich wspólne zdjęcia sprzed lat, ślubne na przykład, zobaczyłbyś w ich oczach wrażliwość, czułość i nadzieję. Ba! Zobaczyłbyś wiarę w piękną wspólną przyszłość. W każdym z nich była kiedyś miłość. Uśmiechali się do siebie. Patrzyli sobie głęboko w oczy. Obydwoje, na „trzy, cztery”, zaciskali na moście ruchomy pałak kłódki – związani ze sobą na wieki. A nawet gdyby te „wieki” trwały nieco krócej, w głowach zakochanych pozostanie piękne wspomnienie chwili spędzonej razem na Pont des Arts. Kochankowie powinni pamiętać, że zapoznając serce z miłością, przygotowują je na przyszłe cierpienie.

Paryż, mimo romantycznego charakteru, nie uniknął nieszczęść w przeszłości. Miasto dławili zarazy, na cmentarzach nie mieściły kolejne trupy. Trzeba było grzebać umarłych w podziemiach. Znaczna część miasta, pod uroczymi kamieniczkami, uliczkami, kawiarniami i fontannami, skrywa plugawe bebecchy. Katakumby, rozmieszczone w podziemnych kanałach, są miejscem spoczynku milionów paryżan. Teraz udostępniono je dla zwiedzających, lecz nawet ci najbardziej roześmiani turyści poważnieją i zasępiają się, spoglądając w twarz śmierci, czując na karku jej oddech.

Anna przypomniała sobie *Boską Komedie*, wędrówkę Dantego przez piekło. Jedyne żywe wśród umarłych. Inny, a jednocześnie taki do nich podobny. Zapatrzyła się w głębię bocznego korytarza. Zamknięty dla wycieczek, tonął w ciemnościach. Cienka linia światła oddzielała dwie komnaty katakumb. Dwa światy podziemia. W jednej i drugiej mieszkała śmierć, lecz po stronie światła Anna czuła się bezpieczniejsza, choć wiedziała, że jest to złudne wrażenie.

– Po wyjściu z takiego miejsca człowiek cieszy się, że jeszcze żyje – ocenił Daniel, przytulając Annę.

– Albo dostrzega, jak marne i absurdalne jest życie.

– To zależy od charakteru i od tego, czy boisz się śmierci.

– W każdym razie na pewno warto doceniać czas, który nam został.

– Ci, którzy doceniają go każdego dnia, wyjdą stąd pełni refleksji, lecz niezmartwieni. Jednak dla wielu, którzy żyją za szybko, aby codziennie przypominać sobie, że kiedyś umrą, wizyta w takim miejscu musi być dramatycznym przeżyciem, depresyjnym.

– Ty wyjdiesz stąd pokrzepiony, tak?

– Tak – odpowiedział bez wahania, przyciskając ją mocniej do siebie. – Wyjdę pokrzepiony, bo cieszę się, że czas, który mi pozostał, spędzę z ukochaną osobą, zajmując się tym, co przynosi mi satysfakcję. To będzie dobrze przeżyty czas.

– Chyba dopiero teraz tak naprawdę poczułam sens słów: „Żyj tak, jakby każdy dzień miał być twoim ostatnim”.

– Wielu rozumie znaczenie, ale go... nie czują, nie wierzą w tę maksymę na tyle mocno, żeby ją stosować.

– Boją się zaryzykować – zauważyła Anna – bo czasami oznacza to totalną zmianę, wyłamanie się z norm społecznych. Ale przecież jeżeli ktoś spędza swoje życie w sposób, którego nie znosi, na przykład wykonując zniechęcającą pracę, to nie wierzę, by jej nie rzucił i nie spróbował spełnić marzenia swojego życia, słysząc wyrok: „Jutro umrzesz”.

– Dokładnie. Myślenie o śmierci pomaga nam żyć w zgodzie z samym sobą. Uniemożliwia kłamanie i podporządkowywanie się cudzym oczekiwaniom.

– Ale na pewno są ludzie, którzy wybraliby nieświadomość, bo nie poradziłoby sobie z pełnią wolności.

– Gdyby więc rządzący albo naukowcy odkryli datę końca świata, pewnie by jej nie ogłosili. Wywołałoby to falę samobójstw, masową histerię, ogólną depresję... A wszystko dlatego, że mając jeszcze czas, życie, potencjał, boimy się wziąć sprawy w swoje ręce, spojrzeć w twarz śmierci i powiedzieć: „Kiedys się spotkamy, ale jeszcze nie teraz”.

– A co dzieje się po śmierci? Istnieją niebo, piekło... czy jest tylko pustka? – zapytała Anna.

– Ja wierzę w nieustanny przepływ energii w świecie. W tym kole nic nie ginie, najdrobniejsze cząstki gdzieś przechodzą, w coś się zmieniają. Dlatego myślę, że po śmierci wracamy do początku. Wracamy do energii, źródła. Zostajemy w tym świecie, ale w innej formie. Przemawia też do mnie teoria reinkarnacji. Ma sens, a jak się zastanowić, da się znaleźć potwierdzające ją zjawiska.

– Na przykład?

– Na przykład, kiedy kogoś spotykasz po raz pierwszy, a wydaje ci się, że znasz go od dawna, albo kiedy doświadczasz *déjà vu*.

– Słyszałam, że kiedyś chrześcijanie wierzyli w reinkarnację, tylko na którymś z soborów to znieśli.

– Też tak słyszałam. Wszystkie te doktryny mają za zadanie dotrzeć do ludzi, uspokoić ich obawy i podporządkować systemowi religijnemu. A wiara nie powinna polegać na posłuszeństwie, tylko na odczuwaniu prawdy w sercu.

– Brzmisz bardzo sentymentalnie i romantycznie.

– Mam nadzieję, że brzmię też logicznie. Tak, nazwałbym się logicznym idealistą – podsumował Daniel.

– Więc proponuję udać się do kawiarni, panie filozofie, i wznieść toast za logiczny idealizm.

– Reflektuję – zgodził się z uśmiechem.

Tak zapoznawał ich Paryż z ukrytą we wszystkich jego zakamarkach filozofią. Pokazywał swoje uroki i demony. Pobudzał subtelność i romantyzm, a jednocześnie przypominał o przemijaniu.

Etos śmierci wylewa się z paryskich ulic wraz z etosem cielesnej namiętności. Cmentarze, podziemne groby, około czterystu samobójczych skoków z wieży Eiffla. Zapewne właśnie złamane serce pchnęło większość desperatów do tak ostatecznego kroku. W takich miejscach jak Paryż samotni ludzie intensywniej odczuwają swoją izolację. Klimat miasta tworzą dramatyczność, emocjonalność i idealizm. To mocne fundamenty, które bywają jednak zbyt mocne dla ludzkiego serca, które ma tendencje masochistyczne. Lubuje się w tym, co może je zniszczyć. Koniec udręki teoretycznie nachodzi szybko – wystarczy pociągnięcie za spust, skok z wieży. Ale zanim nastąpi finał, odbywa się długi i męczący proces wyniszczający, stopniowo zatruwający ciało i duszę. To cierpienie porównywalne do kąpieli w rtęci, do drażnienia ciała przez tyfus. Tak intensywny proces destrukcji nie pozostawia ofiarom wyboru. Nie ma innej możliwości, koniec musi nastąpić. To jednokierunkowa droga przez mękę prowadząca do zagłady.

Człowiek, który żyje w pokoju z samym sobą, którego serce jest pokorne, przepelnione miłością, czuje w Paryżu wzrost owych pozytywnych emocji. Poziom jego satysfakcji wzrasta tak, że daje poczucie wielkości, spełnienia, nieograniczonych możliwości. Tak czuła się tam Anna. Ogarnęło ją niezmiernie zadowolenie z życia. Patrzyła na Daniela z miłością czystą i namiętną. Dziękowała w duchu Bogu za to, że pomógł im się spotkać na tej samej ścieżce i rozpoznać. Pamiętała o miękkim i przez to nieufnym sercu, które przez wiele lat bało się prawdziwie kochać i żyć. Żyć nie według społecznych norm, współczesnych zasad, które umieszczają ludzi sukcesu w stabilnej, dobrze płatnej pracy, czyniąc ich zależnymi od nałogów oraz innych ludzi. Związanie emocjonalne z drugim człowiekiem zmniejsza poziom wydolności w pracy. Udowodniono to naukowo, dlatego pracodawcy wierzyli w owo twierdzenie jak w wyznanie wiary i regularnie przekazywali je pracownikom.

Anna czuła się wyzwolona od świata ułudy i kłamstw. Zrozumiała, że trzeba słuchać głosu serca, bo tylko ono naturalnie współgra z ludzką naturą, a pobudzone tym, co dla niego swoiste, prowadzone jest entuzjazmem, którego nie sposób zatrzymać. Dlatego ci, którzy oddają się kreatywnej pasji, wiodą szczęśliwe, satysfakcjonujące życie, nie zważając na to, co powiedzą lub pomyślą inni.

Zgodnie z ustaleniem Anna i Daniel udali się do małego bistro tuż nad brzegiem

Sekwany. Wzniesli zapowiedziany toast.

– Na czym dokładnie polega ten twój logiczny idealizm? – zapytała Anna z żartobliwą powagą, nie wychodząc z roli filozofującego dyskutanta.

– O to bardzo proste i jak wskazuje nazwa: logiczne. W ludzkiej naturze leży skłonność do emocjonalności, marzeń, wiary w „coś”. Próbujemy nazywać, a tym samym zawłaszczając wiele pojęć, których nawet nie ogarniamy. Posługujemy się wyrażeniami typu „miłość”, „wolność”, „świętość”. To są idee. Powiedziałbym nawet, że są to najbardziej ideowe z idei, bo tak naprawdę nigdy nie zrozumiemy i nie uchwycimy ich istoty. Wiemy natomiast, jak odczuwa się te idee. Jak czuje się „miłość”, „wolność” czy „świętość”. I lubimy te pojęcia. Jeszcze jak! Zobacz, ile wojen toczyło się o idee.

– Niby o idee. Tak naprawdę chodziło o materialne zyski.

– Tak, ale mało kto przyznawał się do tego otwarcie. To idea była zapalnikiem, dobrą wymówką do walki, i to idea podnosiła na duchu prostych ludzi.

– No dobrze, zgoda. Idealizm jest w nas wpisany. A dlaczego „logiczny”?

– Bo logiczne jest, że skoro coś stanowi część naszej natury, to bronienie się przed tym dowodzi głupoty. Trzeba więc to zaakceptować i pozostać wiernym swoim ideom.

– Faktycznie logiczne. Więc twoją życiową filozofią jest podążanie za głosem serca?

– Zawsze. Gdybym robił inaczej, okłamywałbym samego siebie. Wyłącznie od nas zależy, czy w stu procentach wierzymy w nasze idee. Na naszej drodze stoimy tylko my sami. Nasze obawy.

Coś w Annie drgnęło. Przypomniała sobie poranek, kiedy podeszła do psa szczekającego na własne odbicie. Podobne myśli kołatały się w jej głowie, lecz nie potrafiła ująć ich w konkretne słowa.

Poczuła się dziwnie, jakby objawiła się przed nią jakaś niewygodna prawda. Anna rozumiała ją. Mogłaby ją nawet analizować na różne sposoby, stosując rozmaite punkty widzenia i odniesienia. Mogłaby wytłumaczyć ją zagubionemu człowiekowi, który utracił radość życia. Mogłaby napisać piosenkę na ten temat. A jednak idea, która wżarła się w jej serce wraz z przyjazdem do Amsterdamu, zdawała się ciążyć i dręczyć. Była jak ktoś fascynujący, imponujący, intrygujący do tego stopnia, że wzbudza w swoim otoczeniu nieufność. Bo czy nagle nie zaskoczy nas czymś, czego nie będziemy w stanie zrozumieć, a co naruszy fundamenty naszego stabilnego świata? Czy obcując z nim, nie uświadomimy sobie naraz, jak bardzo się od niego różnimy?

Tak właśnie jest z tymi wielkimi ideami. Nie ma na świecie osoby, która nie chciałaby osiągnąć ideału miłości lub wolności. Z drugiej strony boimy się kochać i być wolnym. Może dlatego, że w społecznej opinii utarło się, iż miłość oznacza utratę wolności, a wolność z kolei oznacza wyrzeczenie się miłości. Jakże fałszywe jest to przekonanie! Prawdziwa miłość nie

ogranicza swobody drugiej osobie, wręcz przeciwnie – pragnie wolności dla obojga kochających. Miłość to nie zawłaszczenie, to nie podporządkowanie. Prawdziwe uczucie uskrzydla, a kochająca osoba wspiera w dążeniach. Tak jak Daniel wspierał Annę. Pragnął dla niej jedynie szczęścia, nawet własnym kosztem. Pogodziłby się z jej współpracą z Frankiem i choć ucieszył się, że sprawa nie wypaliła, święcie wierzył, iż Anna spełni się artystycznie na innej drodze. Na drodze wyzwolonej twórczości.

Wolność – kolejny abstrakt, do którego przysialiśmy się jak pijawki. Najchętniej wysalibyśmy z niej całą krew, energię, wszystkie soki. Wykrzykiwaliśmy: „Wolność!” przez wieki i zakrzyczeliśmy jej znaczenie. Owszem, zdobyliśmy wolność słowa, wolność osobistą, wolność do wzbogacenia, wyboru wiary, zajęcia... Ale czy potrafimy korzystać z wolności myślenia? Staliśmy się kalkami dla wszystkich wieków i wszystkich wymiarów. Bezmyślnie powtarzamy cudze opinie, wybieramy nie swoje ścieżki rozwoju, korzystamy z obcej myśli, bo boimy się sformułować własną. Bo kim „ja” jestem? Co „ja” wiem? Nie mogę, nie zasługuję na mówienie o rzeczach ważnych czy, nie daj Boże, ostatecznych! „Nie masz racji, bo jest inaczej. Wiem, bo słyszałem w radiu”. Oto argumenty. Gdzie się podziała nasza wolność? Ambicja? Filozofia? Kto posiada teraz własną filozofię? Niewielu. Większość czuje, że musi podporządkować się komuś lub czemuś. Wybieramy konkretną religię, światopogląd, „politopogląd”, „wartopogląd”... Przyjmujemy je w całości, ze wszystkimi odcieniami, jasnymi i ciemnymi. Mimo wątpliwości. Wybieramy ideologie, których nie czujemy, nie rozumiemy, tylko dlatego że boimy się postępować inaczej. Przeraza nas myśl, że moglibyśmy się wyłamać, zrobić coś po swojemu, i być może ponieść porażkę. Zapominamy, że błędów nie popełniają jedynie kalki, które niczego nie ryzykują, wykonując cudze polecenia. Tak bezpieczniej. Tak robi większość. Społeczeństwo zaakceptuje takie postępowanie. Nawet mu przykłaśnie. Pochwali. Innych nikt nie doceni, zostaną wyśmiani. Co doprowadzi „innego” do destrukcji albo doda mu skrzydeł. „Inny” musi udowodnić swoją rację czynem. Ten czyn, który w formie idei był wyszydzany, zrewolucjonizuje ludzkość, pchnie ją na drogę rozwoju, pokaże nowe możliwości. A postęp nie odbędzie się bez kryzysu. Zmiana. Rozwój. Rewolucja. To zawsze wiąże się z regresem.

– Przygotuj się na kryzys, moja droga – ostrzegał Annę John, kiedy prawie rok temu wysiadali na stacji w Amsterdamie. – Czeka cię jeszcze niejeden.

– Teraz, kiedy podjęłam decyzję, czuję, że postępuję w jedyny właściwy sposób. Inaczej bym nie mogła i już chyba rozumiem, o czym mówiłeś. Mam naprawdę mocne i pozytywne nastawienie, wiem, że dam sobie radę.

– Cieszy mnie twój entuzjazm. Jednak nawet entuzjazm, choć pochodzi od Boga, rodzi się w człowieku. Emocjonalność ludzi ma kształt sinusoidy. Raz jest na górze, a raz na dole. Kipimy entuzjazmem, by popaść w przygnębienie, gdy nasza pewność siebie zostaje wystawiona na ciężką próbę.

– Rozumiem. A czy mogę się jakoś ustrzec przed tymi... wahaniami pogody?

– Widzę, że nie traktujesz moich słów poważnie. Sama się przekonasz. Ustrzec się nie możesz, ale jeśli wiesz, że nadejdą, możesz się na nie przygotować. Obserwuj sytuację i kiedy zaczniesz się dziać źle, po prostu nie reaguj negatywnie.

– Myślałam, że każesz mi walczyć z negatywami pozytywnym myśleniem.

– Nie ma sensu walczyć z tym, co jest dla nas naturalne. Człowiek wykazuje kreatywność w dwóch rzeczach: myśleniu i działaniu. Możesz myśleć negatywnie, lecz to nie znaczy, że musisz podejmować negatywne działania. Słyszałaś o teorii porannego uśmiechu?

– Raczej nie.

– Jeśli z samego rana przywitasz dzień uśmiechem, choćby wymuszonym, to wzrasta poziom twojego zadowolenia z życia. Tym samym rośnie szansa, że będzie to dzień udany.

– Ciekawe...

– Nasz umysł wytwarza emocje, nie ma w tym niczego odkrywczego. Dlatego prowokując reakcję radości, wyzwalamy poczucie radości. Nie pozostaje nam nic innego, jak uśmiechać się.

– Aniu, uśmiechnij się – poprosił Daniel. – Posmutniałaś czy zamyśliłaś się?

– Zamyśliłam, przepraszam. Już wracam do rzeczywistości. Ostatnio zwiększyła się ilość filozofii w moim życiu.

– To cię przygnębia?

– Nie, ale chyba nie do końca się z tym oswoiłam.

– Rany, to co ty robiłaś wcześniej?

– Działałam automatycznie, mój drogi. I nie wstydzę się tego. Mówią, że wiara nawróconego jest silniejsza.

– Pięknie ci idzie to filozofowanie.

– Miewam momenty zwątpienia. Kuszą mnie dawne nawyki.

– Nawyki mają to do siebie, że chcą być w użyciu. Jakie nawyki masz na myśli?

– Czy ja wiem... może nie jest to takie istotne.

– No, no, nie wykręcaj się teraz. Co cię męczy?

– Zaufanie.

– Czyli...?

– Nie wiem, czy mogę ufać sobie. Zostawiłam stare życie, ale boję, że mogłabym do niego wrócić.

– Nie sądzę. Rozwój jest progresywny. Nawet jeśli na siłę wróciłaś do Warszawy, albo do starej pracy, nie byłoby już tak samo jak kiedyś. Nie martwiłbym się o to. Po prostu idź do przodu. Chyba że tęsknisz za tym, co było. Tęsknisz?

– Nie. W żadnym razie! Jestem bardzo szczęśliwa, że mogę występować, ale...

– Kochanie... Różnica między „wtedy” a „teraz” polega również na tym, że teraz nie jesteś sama.

Anna uśmiechnęła się

– Czy ja daję ci szczęście? – zapytała.

– Oczywiście. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. A czy ja daję ci szczęście?

– Tak. I boję się je stracić.

– Zmiany są wpisane w życie. Ale to my podejmujemy ostateczne wybory, tak? Nie martw się. Będę przy tobie zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała. Wierzysz mi?

– Wierzę. Nigdy dotąd nikomu nie ufałam tak jak tobie.

– Więc pielęgnuj ten stan. Budujemy razem coś pięknego i to jest najważniejsze. Nie roztrząsaj problemów, których nie ma. A jeśli jakieś się pojawią, to możesz na mnie liczyć.

– Jesteś takim moim stróżem. Dbasz o mnie i motywujesz.

– Więc mam odpowiedzialne zadanie. Tak naprawdę daję ci jedynie impuls. Reszta należy do ciebie.

– To dopiero odpowiedzialność!

– O tak! Odpowiedzialność za samego siebie to chyba najtrudniejsze z zadań. Dlatego wielu ludzi woli odpowiadać za kogoś innego lub za coś; żeby nie musieć myśleć o sobie. Ale jeśli wcześniej nie doprowadzimy samych siebie do stanu równowagi, to i tak nawalimy. Wielu młodych rodziców, stawiając sobie za cel zapewnienie dziecku komfortu materialnego, zapomina o własnych celach. A później swoje frustracje przelewają na dziecko. Zapominają, że komfort emocjonalny jest najważniejszy.

– Dziecko to ogromna odpowiedzialność!

– Ale odpowiedzialność za dziecko nie zwalnia cię z odpowiedzialności za samą siebie. Owszem, dziecko stanowi priorytet, bo jest bezbronne. Ale pomyśl, czy taki mały, czysty jak łąka

człowiek wyrośnie na zdrowego emocjonalnie, jeśli będzie wzrastał w bogactwie materialnym, ale pod opieką sfrustrowanych rodziców?

– Zdecydowanie nie.

– Więc widzisz... Odpowiedzialność za dziecko oznacza zapewnienie mu równowagi i harmonii. To jest mu potrzebne do prawidłowego rozwoju. Chyba. To znaczy, tak mi się wydaje. Nigdy nie wychowywałem dziecka, ale chciałbym, jeśli kiedyś zostanę ojcem, aby wzrastało w takiej harmonii i równowadze.

Anna spojrzała na niego uważnie, ale nie kontynuowała tematu. Zapytała tylko o powrót do domu. Przyjechali do Paryża samochodem, więc nie ograniczały ich żadne bilety, terminy i miejsca. Ustalili, że wrócą do Amsterdamu przez nadmorską miejscowość Haarlem.

– Dawno nie widziałam morza – wyznała Anna.

– Tym bardziej docenisz nasz postój.

– Złocista plaża, słońce, szum fal... To będzie bardzo przyjemne zakończenie urlopu.

– O tak, tylko pamiętaj, że Morze Północne nie należy do najcieplejszych.

– Przecież mamy środek lata. Nie może być tak źle.

Gdy zbliżali się do okolic nadmorskich, powitały ich chmury, wiatr i deszcz. Jechali wytrwale, opierając się siłom natury; Anna z nadzieją wypatrywała końca chmurowego łańcucha. Niebo wyglądało jednak jak jednolita mleczna masa.

– Dlaczego stajesz? – zapytała, gdy Daniel zjechał na pobocze.

– Bo jesteśmy na miejscu – odpowiedział i wyciągnął rękę, palcem wskazując zachód.

Oczom Anny ukazało się niespokojne morze, brutalnie miotane wiatrem. Rozciągało się bezkresnie wszcz, a horyzont zdawał się nie istnieć. Gdzieś daleko, w nieznanym nikomu miejscu, woda łączyła się z niebem. Stanowiły jedną całość, zlepioną kroplami deszczu i mgły. Niezwykle silna energia towarzyszyła temu zjawisku. I chociaż przybysze czuli się mali i bezsilni wobec rozciągającej się przed nimi potęgi, poczuli również połączenie z żywiołem, który wzywał ich do siebie.

Wysiedli z samochodu i szybko ruszyli w kierunku nadbrzeża. Wiatr dął tak silnie, że utrzymanie otwartych oczu sprawiało im wielkie trudności. Woda w kilka sekund przemoczyła ich ubrania. Pojawiło się ledwie kilka okazji, kiedy wiatr złagodniał, aby mogli spokojnie zaczerpnąć do płuc czystego morskiego powietrza.

Biegiem ruszyli z powrotem do samochodu. Byli szczęśliwi i dziwnie dumni z siebie. Krople deszczu spływały z włosów Anny. Śmiały się jej oczy i usta. Czowała w sobie energię, którą otrzymała w prezencie od Posejдона i Eola. Chociaż całkiem inaczej wyobrażała sobie

przystanek nad morzem, to rzeczywistość okazała się przyjemnie zaskakująca.

– Niektórzy boją się deszczu – stwierdził Daniel, a Anna spojrzała na niego ze zrozumieniem.

– Wszystko zależy od sytuacji, w której mokniesz. Jeżeli szedłbyś na poważne spotkanie biznesowe i nagle złapałby cię deszcz, chyba byś się gdzieś schronił. W każdym razie cieszę się, że i tobie to moknięcie sprawiło przyjemność. Pewnie dlatego, że jesteś zakochany.

– Jestem zakochany? Tak myślisz?

– A nie jesteś?

– Jestem. Szalenie. Pięknie wyglądasz w strugach deszczu...

– Więc powinnam moknąć częściej.

Wracali do Amsterdamu niezmiernie szczęśliwi. Tak szczęśliwi, że Daniel nie wyobrażał sobie życia bez Anny. Anna jednak, wiedząc o tym i rozpoznając u siebie niebezpieczny wręcz poziom radości, poczuła strach.

„Czy takie szczęście jest możliwe? A jeżeli ulegam jakiejś iluzji? Czy można w ogóle czuć taką radość? Czy nikomu nie sprawiam tym przykrości?”. Kiedy przechadzali się objęci ulicami Paryża, widziała niekiedy jakby zazdrosne czy wręcz zawistne spojrzenia. Może ta samotna, smutna kobieta, która minęła ich przy moście, poczuła się jeszcze bardziej smutna, patrząc na cudze szczęście. I Anna się zawstydziła. Czy wolno jej kochać? Czy zasłużyła na to, żeby być kochaną? To absurdalne pytania – wiedziała o tym! A jednak miewała takie masochistyczne myśli. Choć kiedy ona mijała jakąś zakochaną parę, wiedziała, że każdy zasługuje na podobne szczęście, że należy się ono każdej czującej istocie. Bo jesteśmy stworzeni do kochania.

Każdy z nas jest tylko częścią siebie. Prawdziwe, pełne „ja” rodzi się jedynie w relacjach z innymi ludźmi. Można przecież odciąć się od społeczeństwa i udawać mistrza pokory i mądrości, ale te złudne przekonania prysną przy pierwszym kontakcie z drugim człowiekiem. Obdarzenie miłością odpowiedniej osoby to podjęcie życiowej lekcji. O świecie, życiu, o nas samych. To ciąg testów, egzaminów, łatwych i trudniejszych, z wąskiego i szerokiego zakresu wiedzy oraz umiejętności.

Anna bała się trochę tych lekcji. Bała się, że nie podoba jej się to, czego się nauczy? Czuła, że nie jest gotowa na poznanie prawdy o sobie. Bała się też poznać prawdę o Danielu oraz zaufać mu całkowicie. Czuła się zagubiona, zapominając, że jej zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Bo tylko od Daniela zależy, jakie będzie podejmował decyzje, czy zmieni priorytety, czy będzie jej wierny. Zaufanie Anny nie sprawi, że Daniel postąpi tak lub inaczej. Nie powinna mieć w stosunku do niego żadnych oczekiwań. Właśnie tak. I ktoś powinien był jej o tym powiedzieć. Ale nikt nie powiedział. Dlatego oczekiwania ją paraliżowały. Zastanawiała się, czy potrafi dać jej szczęście i czy ona będzie w stanie dać szczęście jemu. I analizowała te kwestie godzinami! Rozmyślała, zamiast czuć. Kalkulowała,

zamiast iść za głosem intuicji.

Przecież to byłoby całkiem bez sensu, gdyby po przyjeździe do Amsterdamu, zmianie trybu życia, spełnieniu marzeń i poznaniu właściwego mężczyzny miało się okazać, że nic z tego nie wyjdzie. To niemożliwe, by Daniel nie był jej przeznaczony! Czy po to siedziała przy fontannie, owiana promieniami słońca i kroplami wody, czy po to grała na gitarze, dokładnie wtedy, kiedy Daniel wycierał stoliki w kawiarnianym ogródku, żeby nie kryło się w tym jakieś cudowne zrządzenie losu? Przecież Anna nie porzuciłaby całej dotychczasowej egzystencji i nie przyjechałaby do Amsterdamu z jedną walizką jedynie po to, aby przeżyć przelotną przygodę. To nie miałyby sensu. A ją dręczyły wątpliwości... Uwierzycie?

Lubiła chodzić na te swoje samotne spacery ulicami miasta i obserwować ludzi. W tamtym czasie szczególnie interesowała się parami. Patrzyła na nie z sympatią, ale ostrożną. Zdawała sobie sprawę, że w wielu przypadkach prawda o ludziach jest inna, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

Pary zakochanych wylewały się z zaułków każdego dnia.

On upuścił telefon, skacząc przez kałużę. Ona nie zaśmiała się. Powiedziała tylko, że to jego wina, bo mógł obejść kałużę tak jak ona.

Chudy, wysoki mężczyzna prowadził za rękę kobietę. Była nieco przy kości, miała na sobie kwiecistą sukienkę ze zwiewnego materiału. W dłoni trzymała różę. Kołysała nią, podnosiła, opuszczała, wachała czerwony kwiat. Była szczęśliwa jak mała dziewczynka, która przed chwilą otrzymała nową lalkę i macha nią na boki, aby każdy z przechodniów dostrzegł ten piękny, bliski jej sercu skarb.

Pary ze stażem, pary świeżo skojarzone. Wszyscy chcą tego samego: miłości i namiętności. Wchodzą w związki z poczuciem wyjątkowości, a trwają w nich z obowiązku. Młody mężczyzna, biorący udział w hucznej imprezie, dostrzega najpiękniejszą kobietę na sali. Wypytuje znajomych o jej imię, adres, zainteresowania. Zakochuje się w niej bez pamięci i to z wzajemnością. Wiele takich historii się zdarzyło. Wiele takich par się pobrało. Mieli piękny rok małżeństwa. A potem stopniowo poznawali tak zwaną prozę życia, w której złudzenia giną, a prawda okazuje się okrutna. Już nie mogą się znieść. Im są starsi, tym jest gorzej. Ona nie czuje się atrakcyjna, nie ma dla kogo się stroić. On fantazjuje o kontaktach z innymi kobietami i myśli, że to wszystko jej wina, bo przestała dbać o siebie. Ale mimo tego zakłętego kręgu beznadziei potrzebują się nawzajem. Przyzwyczaili się do siebie tak bardzo, że on zapomniał, jak ugotować rosół, który tak lubi, a ona nie ma pojęcia, jak spłaci kredyt samochodowy, który zaciągnęli, gdy powiększyła się im rodzina.

Anna nie chciała też powtórzyć schematu swoich rodziców. Choć spędzili ze sobą całe życie, kochali się dziwną miłością, której nie rozumiała i która wcale się jej nie podobała. Pewnego razu, podczas kłótni przy kolacji, mama krzyczała do taty: „Przysięgam ci, jeżeli umrę pierwsza, to będę cię straszyła po nocach! Za te wszystkie lata męki nie dam ci żyć! Tak cię wystraszę, że szybko do mnie dołączysz. Będziemy razem w niebie, a tam to dopiero będziemy się kochali! Zobaczysz! Nie zostawię cię tu samego!”.

Kiedy tata Anny wyjeżdżał, mama cieszyła się z nadchodzących dni samotności i spokoju. Kiedy natomiast wyjeżdżali gdzieś razem, był to czas wzmożonych kłótni i wzajemnego torturowania się.

– Mój mąż, twój ojciec wchodzi do mnie, do namiotu – odpowiadała Annie matka – i pyta: „A kto tu siedzi w moim namiocie?”, a ja mu na to: „Spiędalaj, bo jak ci jebnę w ten głupi łeb, to już nie wstaniesz”. Później się spił i poszedł do kibla. Siedział tam kilka godzin. Zasnął na tym kiblu i siedział tam, aż się obudził! A ja się cieszyłam, bo nie musiałam go przez ten czas oglądać.

Darzyli się wzajemną niechęcią, ale znali się najlepiej na świecie. Matka Anny mówiła, że Bóg dał jej misję bycia z tym starym kretynek, a ojciec mówił z kolei, że matka nie przeżyłaby sama jednego dnia, więc on musi się nią opiekować do usranej śmierci.

Annę przerażała taka wizja małżeństwa. Myśl, że jej życie może kiedyś zamienić się w pasmo rozczarowań, zależności i wzajemnej niechęci, była nie do zniesienia. Gorzej – paraliżowała rozsądek. W takich chwilach chciała uciec. Tak, nieraz myślała o tym, żeby zakończyć związek z Danielem. Zapobiegawczo. Zaplanowane rozstanie jest przecież mniej bolesne niż koniec z zaskoczenia. Na szczęście kochała go. Naprawdę go kochała. Nie mogłaby odejść...

Powrót do Amsterdamu zawsze jest przyjemny. Wielu ludzi zna torturę powrotu do domu po urlopie i problemy z przestawieniem się. Ale nie każde miasto odpycha od siebie mieszkańców. Niektóre zawsze na nich czekają. Witają pięknem i witalnością. Nawet jeśli wyjechałeś, bo ogarnęło cię znużenie, dopadła monotonia, powrót okazuje się jednak zaskakujący. Patrzysz na te same miejsca z innej, świeżej perspektywy i czujesz, jakby były nowe. Może sprawia to ciągły przepływ energii, która krąży w powietrzu, zmienia się, pulsuje, oddycha.

Daniel wstał bardzo wcześnie. Kiedy dotarł do baru, był rześki i wdzięczny za przyjazne powitanie po powrocie. W południe dołączył do niego Thomas. Podobno radził sobie bardzo dobrze podczas jego nieobecności. Chociaż był nowy i nikt dobrze go nie znał, wzbudzał zaufanie. Może sprawiała to jego otwartość i szczerze oczy, z których zdawało się wyzierać zrozumienia dla wszystkich problemów tego świata.

– Też byłem kiedyś w Paryżu – opowiadał Danielowi. – Z dziewczyną. Pamiętam, że to miasto nas zaczarowało. Czuliśmy się bardziej związani, mocniej zakochani. Idiotyczne! Rozstaliśmy się później, ale przygoda była zajebista.

– No, jest jakaś magia w przestrzeni – potwierdził Daniel. – Albo sprawia to świadomość, że Paryż jest miastem miłości. Cokolwiek to znaczy. Rozumiesz? Jedziesz tam i oczekujesz, że miłość będzie płynąć z każdego zaułka. Masz w głowie cały ten ładunek kulturowy o stolicy zakochanych i wpływa on na samopoczucie.

– Więc jednak nie było tak magicznie?

– Ależ było! Spędziliśmy razem dużo czasu, co zawsze stanowi najlepszy test. Nie zmęczyliśmy się sobą, wręcz przeciwnie. Poznaliśmy się jeszcze lepiej, podzieliliśmy doświadczeniami. Bardzo dobrze rozumiemy się z Anną. Podobnie reagujemy na rzeczywistość, ale nie do końca. To znaczy, zawsze pozostaje między nami jakaś różnica, którą warto przedyskutować. Wychodzą z tego ciekawe rozmowy.

– Brzmi jak recepta na idealny związek – ocenił Thomas.

– Niby tak, ale wiesz, jak to jest... Anna to wspaniała kobieta. Szczerze mówiąc, mógłbym z nią spędzić życie i założyć rodzinę. Czuję, że sobie ufamy. Mam już za sobą kawałek życia. Nie ze wszystkich swoich decyzji jestem dumny, ale każda czegoś mnie nauczyła i myślę, że dorosłem do bycia odpowiedzialnym. Anna pojawiła się w moim życiu w odpowiednim momencie.

– Czyli będzie ślub?

– Nie myślałem jeszcze o tym. Nie jestem pewny, co jej chodzi po głowie.

– Daniel, chyba nie boisz się odmowy?

– Oczywiście, że się boję. Każdy boi się odrzucenia. Myślę, że czasami Anna jest zagubiona i sama nie wie, co nią kieruje. Chcę, żeby była szczęśliwa, a nie mam pewności, że wiem, co będzie dla niej najlepsze. Czasami, gdy rozmawiamy, odnoszę wrażenie, że ona mnie testuje, celowo porusza pewne tematy, czeka na moją reakcję, a później z obawy, że się połapię w jej manipulacjach, ucina rozmowę.

– Brzmi jak gra strategiczna. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nie mam podobnych problemów.

– Już jeden tutaj też się tak cieszył i nie wiedzieć kiedy się zakochał.

– Greg? No tak, ale to wrażliwy koleś. Bardzo! Widać to po nim. Ja jestem urodzonym analitykiem i intelektualistą. Kiedy chcę pocałować dziewczynę, to zamiast ją całować, zastanawiam się, jakie reakcje chemiczne zachodzą w moim mózgu.

– Ja bym się raczej zastanawiał, jakie reakcje zachodzą w jej mózgu. Agresywno-obronne czy akceptacyjno-pożądlive. – Daniel zaśmiał się.

– Ja przynajmniej mogę odpowiedzieć na pytanie, co się dzieje w mojej głowie. A nigdy nie będziesz wiedział, co się dzieje w głowie dziewczyny. Chyba że z nią o tym porozmawiasz. Ale nawet wtedy nie masz pewności, czy to, co powie, jest prawdą, kłamstwem czy manipulacją.

– Rozmowy z tobą nie są budujące, Thomas.

– Niektórzy radą, żeby myśleć pozytywnie. Ja wolę myśleć negatywnie, bo istnieje szansa, że rzeczywistość mnie miło zaskoczy. Optymistę spotykają same rozczarowania.

Kiedy w „Felicità” odbywały się rozmowy filozoficzne, Anna czekała w szpitalu na wyniki badań, na które wysłał ją Daniel. W takich miejscach jak szpitale czy urzędy czas upływa inaczej. Jest bardziej regularny, rytmiczny, a przede wszystkim jest zauważalny.

Na korytarzu wisiała ogromna tarcza z cyframi. Zegar tykał nieustannie. Anna nie miała wpływu na ruch jego wskazówek. Nie mogła ich zatrzymać, nie mogła od nich uciec. Hipnotyzowały ją i zmuszały do patrzenia. Musiała z pokorą znosić swoją sytuację. Narodziny, życie, śmierć. Wydarzają się poza naszym wyborem i naszymi decyzjami. Świat zaskakuje nas wydarzeniami, ludźmi, uczuciami. Czujemy się jak bezwolni odbiorcy i krzyczymy na Boga: „Dlaczego nas ukarałeś, dlaczego pozwoliłeś, aby mnie to spotkało?!”. Wszystko, co spotkało Annę, musiało się wydarzyć. Musiała czuć radość i smutek, entuzjazm i rozczarowanie, musiała się zgubić, aby się odnaleźć.

„To wszystko wokół jest poza mną. Jednocześnie wszystko zależy ode mnie. Jak pogodzić te dwie rzeczy? To jakby świat słał mi sygnały i podsuwał okoliczności. Nie mam wpływu na ich pojawienie się. Jednak to, jak zareaguję na te sygnały i okoliczności, zależy ode mnie. Mój strach nie należy do moich wyborów. Zdarza się. Ale mam władzę nad tym, czy pozwolę, aby strach motywował moje wybory. John powiedziałby pewnie, że wręcz trzeba wchodzić w sytuacje, których się boimy. One nas testują. Dlaczego czasami boję się być z Danielem? Może dlatego, że przy nim staję się osobą, do jakiej nie jestem przyzwyczajona. Uczy mnie wrażliwości, wiary w ideały i marzenia. Dodaje mi pewności siebie. Ale czy ma rację? Czy wolno nam tak żyć? Czy możemy ufać sobie tak bardzo? Przecież każdy popełnia błędy. On też może się mylić. Tak samo John. Obaj wydają się ludźmi nieznanymi słowa „odpowiedzialność”. Żyją, jakby byli sami na świecie. Jakby nie musieli nikogo słuchać ani o nikogo się troszczyć. Ale czuję, że mają rację. Nie możemy żyć cudzymi potrzebami i wymaganiami. Zadowolenie innych nie sprawi, że przeżyjemy życie z radością. Szczęście jest egoistyczne. Nikt ci go nie ofiaruje. Mamy je w sobie. Tak, to mówił John: szczęście i spokój mamy w sobie”.

Z rozmyślań wyrwał ją głos pielęgniarki. Pojawiła się w okienku i przeczytała głośno nazwisko Anny. Wyniki badań zapakowane były w białą kopertę. Anna szybko schowała ją do torby i wyszła ze szpitala, który zdawał się centrum powstania czasu.

– Cześć, najdroższa – przywitał ją Daniel, kiedy tylko weszła. Zaraz zabrał się za robienie kawy dla najdroższej. Anna ucałowała go czule, uściskała Thomasa i przeszła na zaplecze. Czesła włosy, poprawiała makijaż, kiedy z torby wysunęła się koperta. Otworzyła ją i spojrzała na liczby, wykresy, uwagi lekarza.

– Odebrałaś wyniki? – Daniel rzucił pytanie w kierunku zaplecza, lecz odpowiedziała mu cisza. – Aniu?

– Nie, zapomniałam. Zapomniałam też, że byłam umówiona z Amandą.

– Przeleję ci chociaż kawę do kubka na wynos.

– Nie, dziękuję. Zobaczymy się później.

Daniel i Thomas wymienili zdumione spojrzenia. Dziwne zachowanie Anny zwróciło ich uwagę.

– Widzisz, mówiłem ci, że kobiety są nie do ogarnięcia – skomentował Thomas. – Nie da się zrozumieć ich motywów ani przewidzieć zachowań. Nawet nie próbuj tego robić. Porażka...

Anna patrzyła prosto przed siebie. Nie widziała niczego wokoło – pieszych, kamienic, kanałów, rowerzystów – wszystko zniknęło. Kiedy dotarła do szpitala, pewnym krokiem podeszła do pielęgniarki, która uprzednio wydała jej kopertę.

– Chciałabym się widzieć z lekarzem, który mógłby ocenić moje wyniki.

– Czy coś nie tak? Mogę je zobaczyć?

– Tak, oto one. Ale tam musi być jakaś pomyłka.

– Z wyników bardzo jasno wynika, że jest pani w ciąży.

– Może są błędne?

– Bardzo uważnie podchodzimy do analizowania wyników, szczególnie w takich przypadkach. Jeżeli jednak ma pani wątpliwości, oczywiście mogę umówić panią na spotkanie z lekarzem. Na kiedy?

– Jak najszybciej. Dzisiaj?

– Pani doktor będzie dziś o szesnastej. Ma już komplet pacjentów, ale myślę, że przyjmie panią bez problemu.

Anna czekała na lekarkę dwie godziny. Nie ruszyła się z miejsca. Musiała wyjaśnić sprawę. Jej umysł wariował. Czas wypełniony rozmyśleniami dłużył się niemiłosiernie. Na początku Anna próbowała zachować spokój. Mówiła sobie, że na pewno zaszła pomyłka i nie ma czym się denerwować. Chwilę później rozważyła, że jeśli to prawda, powinna natychmiast rozpocząć planowanie następnych kroków. I robiła to. Wizualizowała reakcję Daniela, jego wsparcie, wynikające z poczucia winy i obowiązku. Znała go dobrze. Przynajmniej tak się jej wydawało.

Widziała w nim człowieka o wiecznie młodym, naiwnym umyśle – wolnego ducha, dla którego najważniejsza jest samorealizacja, a największą porażką byłby przymus życia dla kogoś, podleganie kontroli i obowiązkom. Kiedy patrzyła na niego, widziała w nim swoje najskrytsze tęsknoty. Umiłowanie wolności, niepodważalną wiarę w siłę marzeń i misję rozwijania talentu.

Te piękne ideały przemawiały do niej bardzo silnie, ale miały efemeryczny charakter. Lubiła myśleć, że świat wznosi się na fundamencie ideałów, i czuła piękno tej wizji, ale nie do końca wierzyła w jej prawdziwość. Była kobietą odpowiedzialną i logiczną. Z tymi cechami utożsamiała się przez całe życie. Nie mogła ich jednak przerzucać na Daniela, nie mogła zmuszać go do bycia kimś, kim nie jest. Jak to się mogło stać? I dlaczego? Najmniej na świecie pragnęła teraz dziecka. Teraz nie był właściwy czas. Jak mogła do tego dopuścić? Dlaczego Bóg tak to zaplanował? Czy to kara za jej przyjazd do Amsterdamu? Czy to kubel zimnej wody wylany na głowę, żeby się obudziła? Jej życie było za piękne, za łatwe. Sprawy nigdy nie układają się tak lekko. Musi wrócić do rzeczywistości. Musi wrócić do domu, pracy, starego trybu życia, tam, gdzie jej miejsce. I musi to zrobić, póki jeszcze ma czas. Może porozmawiać z dawnym szefem. Nic mu nie wspomni o ciąży. Przeprasi za wszystko. Podziękuje za drugą szansę. Obieca, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Dopiero kiedy nie da się dłużej ukrywać ciąży, powie mu o niej. Pójdzie na płatny urlop macierzyński. Nadal będzie mogła wykonywać pracę w domu i od czasu do czasu spotykać się z ważniejszymi klientami. W ten sposób zarobi wystarczająco dla siebie i dziecka. A Daniel? Nie musi wiedzieć. Anna domyślała się, że gdyby poznał prawdę, sumienie kazałoby mu zostać ojcem. Ale on tego nie chce. Ona wie, że Daniel tego nie chce. Mówiąc mu o ciąży, postawiłaby go przed faktem dokonanym: zostałeś ojcem. Nie mogła mu tego zrobić. On nie nadaje się do takiego życia, do rodziny, rutyny, wychowywania dzieci. Oczywiście gdyby naprawdę chciał, to mógłby być wspaniałym ojcem. Ale jego priorytety były inne i Anna nie miała prawa ich zmienić. Ona da sobie radę sama. Na pewno. I chociaż już czuje żal i tęsknotę, robi słusznie, biorąc tę odpowiedzialność na siebie. Dziecko jest najważniejsze. Jaka matka słucha jedynie własnych potrzeb? Granie na gitarze w „Felicità” nie jest ani wystarczającym, ani poważnym zajęciem. Podjęła decyzję. Nikt i nic nie mogło jej zmienić.

– To, co chcesz zrobić, jest najgłupszą z możliwych opcji! – skarciła ją Amanda.

– Nie ma żadnych innych opcji. Uwierz mi, wiem, co robię. To dobra decyzja.

– Bardzo dojrzała i racjonalna. – Amanda pokiwała głową. Ton głosu przepełniał sarkazm. – To ja byłam tu tą twardą i bezkompromisową. I ja ci mówię, że źle robisz. Po pierwsze, nie możesz nie powiedzieć o ciąży Danielowi. On ma prawo wiedzieć. Nie zrobiłaś sobie dziecka sama. Jeżeli już postrzegasz je jako problem, to oboje ten problem zmagistrowaliście i razem musicie go rozwiązać.

– Nie chcę, żeby był ze mną z musu, z poczucia odpowiedzialności!

– Nie możesz decydować za niego! To też jego życie, jego wybory i problemy.

– To dziecko przewróci jego świat do góry nogami.

– Dziecko zawsze przewraca świat do góry nogami. Co nie znaczy, że jesteście skazani na porażkę i niezadowolenie z życia. Gdybym ja zaszła w ciążę z Gregiem, to przede wszystkim patrzyłabym na to jak na okazję do sprawdzenia, czy nasza miłość jest cokolwiek warta. A może ty go po prostu nie kochasz?

– Kocham go szalenie. Dlatego chcę, żeby był szczęśliwy.

– I na pewno wiesz, co przyniesie mu szczęście?

– Myślę, że znam go na tyle dobrze. Amando, całe życie pracowałam z ludźmi. Moim głównym zadaniem było wchodzenie w psychikę klienta, rozpoznawanie jego potrzeb i oczekiwań. Znam się na ludziach.

– Ja też. I powiem ci, że ten facet cię kocha. Jeśli sądzisz, że dasz mu szczęście, znikając z jego życia i nie mówiąc mu o dziecku, to jesteś skończoną idiotką! Anno, obie wiemy, jak to jest żyć wyłącznie pracą. Kiedy poznałyśmy się w pociągu, myślałam, że jesteś niespełna rozumu, zostawiając dobrze płatną posadę, ryzykując utratę poukładanego, bezpiecznego życia na rzecz przygody bez żadnej przyszłości. Myślałam, że po tygodniu wrócisz do domu z płaczem. Myliłam się. A kiedy poznałam Grega, zrozumiałam, że to ja byłam ślepa i głupia. Przed poznaniem go w ogóle nie żyłam. Nie wiesz, co to życie, dopóki nie poczujesz w sobie miłości, pasji do kogoś lub czegoś. Ty znalazłaś tu i miłość, i pasję. Teraz próbujesz mi powiedzieć, że byłaś w błędzie, wierząc w te rzeczy?

– Chcę zapewnić mojemu dziecku bezpieczeństwo i dać mu możliwości. Pamiętam, jak ciężko pracowali moi rodzice, żebym mogła kupować książki do szkoły, żebym mogła pójść na studia. Poświęcili dla mnie swoje życie i marzenia.

– Tak? A może po prostu nie mieli żadnych innych ambicji poza dobrze wyedukowaną i świetnie zarabiającą córką?

– Kiedy jesteś rodzicem, wszystko się zmienia. Priorytetem staje się chronienie dziecka.

– Chcesz je chronić, pozbawiając ojca?

– Nie pozbawiam swojego dziecka ojca. Ono nigdy nie będzie wiedziało, jak to jest mieć ojca. Nie będzie czuło, że coś straciło, bo nigdy tego nie pozna.

– Wiesz, że brzmisz absurdalnie? W ogóle nie wierzę w to, co słyszę. Ty naprawdę nie dasz się przekonać?

– Podjęłam już decyzję.

– Oczywiście, że podjęłaś. Zaplanowałaś już życie swoje, Daniela i życie waszego dziecka. Wiesz wszystko i zawsze masz rację.

– To nieprawda! Nie jest mi łatwo. Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje na myśl o tym wszystkim. Kocham Daniela jak nikogo wcześniej! Nauczyłam się od niego tylu rzeczy o mnie samej, ofiarował mi najpiękniejszy rok w życiu! Kocham go, dlatego muszę pozwolić mu odejść.

– On nie chce odejść. To ty chcesz go zostawić. Twoje życie tutaj układało się jak bajka, która mogłaby stanowić przykład dla innych, jak należy patrzeć na świat. A ty to wszystko odrzucasz. I robisz to wyłącznie ze strachu. Nie patrz na mnie, jakbyś nie wiedziała, o czym

mówię. Zgubiłaś gdzieś odwagę i uciekasz. Boisz się samej siebie. W swojej głowie stworzyłaś jakąś dziwną wizję rzeczywistości i problemu, który moim zdaniem w ogóle nie istnieje. A nawet jeśli istnieje, to boisz się z nimi skonfrontować.

Zapadła między nimi długa chwila milczenia. Znow się kompletnie różniły, znow się nie rozumiały, i obie były bardzo pewne swoich stanowisk.

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć... – Amanda ze smutkiem pokręciła głową. – Chyba powiedziałam już wszystko. Mam nadzieję, że jednak zmienisz zdanie, a jeśli nie, to... powodzenia. Oby wszystko ułożyło ci się zgodnie z planem. Odwiedzę cię w Warszawie, żeby to sprawdzić.

– Kiedy tylko chcesz. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– Nie było to łatwe.

– Ja też nie zgadzam się z tym, co mówiłaś. Chociaż pewnie nie we wszystkim się mylisz. Nie wiem. Proszę cię tylko o lojalność; obiecałaś, że ta rozmowa zostanie między nami. Nie możesz powiedzieć Danielowi o ciąży. Przyrzekasz?

Amanda milczała, patrząc w podłogę. Była pewna swoich racji jak nigdy dotąd, a musiała je zachować dla siebie. Jej twardy, nieustępliwy charakter przechodził ciężką próbę. Musiała zachować dyskrecję.

– Amando, czy przyrzekasz?

– Tak. Obiecuję, że mu o niczym nie powiem.

W przeddzień wyjazdu do Warszawy Anna unikała wszystkich. Danielowi powiedziała, że potrzebuje dnia dla siebie, całkowitej samotności, czasu i spokoju koniecznych do napisania nowej piosenki.

W rzeczywistości pakowała się i próbowała nie myśleć, nie rozważać i nie podważać podjętej już decyzji. Uznała, że pozwolenie umysłowi na samowolne analizowanie i projektowanie pięknej, choć nierealnej przyszłości spowoduje jedynie zamęt w głowie i uczuciach. Postanowiła spakować tyle, ile ze sobą przywiozła rok temu. Robiła to z przezorności, na wypadek gdyby „amsterdamskie rzeczy” zaczęły poruszać w niej sentymalną i nostalgiczną nutę, pogłębiając samotność i wywołując wyrzuty sumienia. A czuła szczególne przywiązanie do niektórych przedmiotów. Błękitna sukienka przypominała o pierwszej randce z Danielem. Drewniana figurka żaby – prezent od Amandy – przywoływała przyjęcie urodzinowe przygotowane dla niej przez przyjaciół. Stos notatników i zeszytów, wypełnionych zapiskami wspomnień, pomysłami piosenek, numerami telefonów, nazwiskami ludzi, których spotkała... Ich widok byłby nie do zniesienia w Warszawie. Musiały zostać tu, gdzie powstały.

Zdjęcia, albumy pełne zdjęć... Na nich – ważne dla Anny miejsca. Każde z nich poruszyło

ją na tyle, że uznała je za warte utrwalenia. Ludzie, którzy odmienili jej życie. Wyjątkowo uważnie przyglądała się każdej z fotografii. Wyłapywała na nich detale, których nie zauważyła w chwili robienia zdjęcia. Niebieski odcień oczu Grega, brąz – ulubiony kolor Amandy, czułe spojrzenie Daniela. Znalazło się też kilka zdjęć z koncertów. Patrzyła teraz na siebie z fotografii jak na obcą osobę. Ona na scenie...? Gdzieś, w tłumie gości, siedział zaszuchany John. Jak to się stało, że nigdy go tam nie dostrzegła? Wizerunek człowieka, który zmienił jej życie, dodawał odwagi, przypominał marzenia – nie mogła go zabrać do starego świata. Żadna z tych pełnych życia i emocji fotografii nie mogła pojechać z Anną.

Zniknęła bez słowa pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. Tak po prostu, pewnego dnia nie pojawiła się w „Felicita”, nie zadzwoniła do Daniela, nie zostawiła listu, nie wysłała maila. Nic! Może nie wiedziała, co powiedzieć. Może wszystko, co przychodziło jej na myśl, kiedy próbowała zadzwonić lub napisać, było naiwne i głupie – bo było nieprawdziwe, a Anna nie umiała kłamać. Już nie. Poprosiła jedynie Amandę, aby przekazała Danielowi informację o jej wyjeździe. Również – bez wyjaśnień, przeprosin, oczekiwań.

Daniel wychodził z siebie, nie mogąc skontaktować się z Anną. Próbował dzwonić – telefon nie odpowiadał, pukał do jej drzwi – nikt nie otwierał, dopiero telefon od Amandy jednocześnie go uspokoił i zdenerwował.

– Jak to wyjechała? Dlaczego? Co mówiła?

Amanda bardzo chciała wyznać mu prawdę, ale złożona Annie obietnica zamykała jej usta.

– Nic nie tłumaczyła. Zadzwoniła już z pociągu. Powiedziała tylko, że dzwoni, bo nie chce, żebyśmy się o nią martwili. Wraca do Warszawy.

– Nic więcej? Przecież widywałyście się wcześniej. Musiała coś mówić, narzekać, dawać jakiegokolwiek sygnały. Nic?!

– Danielu, jestem równie zaskoczona jak ty! Nie wiem, co mam ci powiedzieć...

Przeprosił Amandę za swój wybuch. Wiedział, że to on jako pierwszy powinien zauważyć zmianę w nastroju i zachowaniu Anny. Przypomnił sobie, że faktycznie ostatnio Anna miewała dziwne humory, na które przymykał oko, traktował jak typowe odcienie kobiecego charakteru, zmiennego i nieprzewidywalnego. Czy powinny go wtedy zaniepokoić? Widocznie tak...

Biedny Daniel... Tak się zadręczał. Przechodził przez kilka wyraźnych etapów na drodze prowadzącej do ponownej samotności i równowagi.

Pierwszym etapem było zadawanie pytań. Pytał każdego o opinię i radę. Pytał nawet stałych bywalców baru, czy zwrócili uwagę na coś nietypowego podczas ostatniego występu Anny. Wszyscy mówili to samo: „Uroczy koncert! Bardzo emocjonalny, ale też piękny warsztatowo”. Nic więcej.

– Ale czy był inny od poprzednich?

– Panie Danielu – odparł jeden z gości, starszy, brodaty mężczyzna, profesor konserwatorium – pan nie rozumie podstawowej rzeczy o muzyce. Każdy koncert jest wyjątkowy, każdy jest inny. W przypadku panny Anny, co koncert, to lepszy!

Kiedy Daniel zrozumiał, że nikt mu nie pomoże w odkryciu prawdy o wyjeździe ukochanej, postanowił sam sformułować kilka hipotez na ten temat. Może Anna poznała kogoś innego. Przypuszczenie to wydało się Danielowi tak absurdalne, że szybko je porzucił i zaczął szukać gdzie indziej. Może odezwał się do niej były facet, którego wciąż kochała. Przecież zdarzają się takie przypadki. Kobiety ze złamanymi sercami szukają pocieszenia w nowym uczuciu. Leczą miłość miłością. „Boże, co za bzdurny romantyzm!” – uznał.

Próbował też znaleźć winę w sobie. Zastanawiał się, czy nie był zbyt oschły lub zbyt miękki. Okazywał jej za mało uwagi, co mogła uznać za egoizm z jego strony. Okazywał jej za dużo uwagi, co mogła z kolei odebrać jako nadopiekuńczość, zaślepienie lub – w najgorszym przypadku – jako całkowite oddanie, połączone z zatraceniem własnego „ja”.

Czy nie powiedział ostatnio czegoś, co mogło ją obrazić? Czy dotknął jakiegoś delikatnego tematu? Czy dał jej powód do złości? Czy mogłaby podejrzewać go o zdradę? Może niepotrzebnie pojechali do Paryża? Może oczekiwała oświadczyn, więc zranił jej kobiecą dumę i obraził honor, nie robiąc tego? A może wręcz przeciwnie – za dużo mówił o dzieciach, kiedy ona nie była gotowa albo w ogóle nie chciała mieć dzieci?! Nie, nie, nie. Na każde z tych pytań odpowiadał sobie: „Nie, to nie mógł być powód, ale na pewno zrobiłem coś nie tak...”.

Dla Daniela ostatnim etapem powrotu do stanu samotności i równowagi było zrzucenie całej winy na Annę. Chociaż narrator tej historii wierzy, że wina ma zawsze dwa źródła, w tym przypadku przyznaje, że teza „ostatniego etapu” najbardziej zbliżyła się do prawdy.

– Widzisz, Thomas – tłumaczył Daniel – jesteś jeszcze młody, a ja ci mówię, że uczymy się przez całe życie. Jako starszy od ciebie i bardziej doświadczony, przyznaję ci rację.

– No, mówiłem ci, że z kobietami to jakaś masakra. Żadnych reguł i związków przyczynowo-skutkowych.

– Dokładnie! Dlatego postanowiłem przestać się zadręczać. Nieważne, czy podoba mi się to, co się stało, czy nie. Stało się i już. A ja muszę żyć dalej. Widocznie tak musiało być. Widocznie nie byliśmy sobie pisani.

– W końcu zaczynasz rozumieć, stary. I dobrze mówisz! Jakiegokolwiek wytłumaczenie będzie idealne, byleś się ogarnął.

Jakiegokolwiek wytłumaczenie będzie idealne, byle się ogarnął... Prawda nie ma znaczenia? Chodzi tylko o to, żeby czuć się wygodnie na duszy i umyśle? Jest to jakieś rozwiązanie. W przypadku Daniela – jedyne z możliwych. Przecież nic nie wiedział na pewno. Nie było nikogo, kto wskazałby mu drogę do prawdy. Zresztą, czy prawda była dla niego taka ważna? Skoro Anna wyjechała bez słowa, miała go gdzieś! Podeptała to, co razem budowali przez rok. Nie okazała szacunku, troski, cienia dojrzałości! Skoro tak mało dla niej znaczył, podobnie jak ich miłość, to

dla czego on miałby się zadręczać, tęsknić, rozważać: dla czego, po co, od kiedy...? Do tanga trzeba dwojga, jeśli więc został sam, to miłości nie było. Nie było niczego! A za „niczym” nie ma co tęsknić. „Nic” jest nic niewarte...

Zanim świadomość Daniela zaczęła krzyczeć na samą siebie, trzy miesiące wcześniej Anna siedziała na dworcu centralnym w Amsterdamie, czekając na pociąg do Warszawy. Obok niej stała niewielka walizka. Zegar dworcowy regularnie i nieprzerwanie odmierzał czas. Sklepienia otulały przestrzeń, tory i wagony. Anna rozglądała się na prawo i lewo, jakby na kogoś czekała. Jakby liczyła, że w ostatniej chwili coś się zmieni... Ale co? Bóg zejdzie z nieba i krzyknie: „Dałem ci szczęście, a ty je odrzucasz? Zgłupiałas?! Zabieraj walizkę i wracaj, gdzie twoje miejsce!”. Nic takiego się nie wydarzyło. To oczywiste. Ale mniej więcej w ten sposób Anna krzyczała na siebie. Nie traktowała tych krzyków poważnie. Raczej jak szepty złośliwych chochlików, które próbowały przetestować jej pewność siebie, kiedy już wszystko tak pięknie zaplanowała.

Przez perony przewijało się mnóstwo ludzi. Niektórzy szli spokojnie, inni biegli, patrząc na zegarek. Jedni czekali na pociąg dokądś; inni czekali na pociąg skądś. Jedni zamierzali wyruszyć w podróż. Inni chcieli powitać kogoś powracającego z podróży.

Wagony zatrzymały się tuż przed Anną. Nie był to jeszcze pociąg, na który czekała, ale z pewnością ktoś na niego czekał. Na przykład pewna młoda, ładnie ubrana kobieta stojąca przy filarze. Była nieco niespokojna, co Anna zauważyła już wcześniej. Wciąż śledziła wskazówki zegara. Nie miała bagażu. Kiedy pociąg stanął i otwarto drzwi, wyprostowała się i skupiła uwagę. Wypatrywała w tłumie wysiadających jakiejś znajomej twarzy. Nagle pojawił się uśmiech i głośne westchnienie radości. Podbiegła do jednego z mężczyzn, w którym rozpoznała „tego jedynego”, rzuciła mu się na szyję i ucałowała namiętnie. Nie było między nimi wolnej przestrzeni. Tak bardzo do siebie przylgnęli, że wzajemnie wyczuwali bicie swoich serc i nie mogli odróżnić, czy rytm do kogo należy. Anna mogła się jedynie domyślać, jakie to uczucie.

Jej pociąg przyjechał punktualnie. Wsiadając do niego, nawet nie obejrzała się za siebie. Tak bardzo bała się mieć wątpliwości. Kiedy wagony ruszyły, poczuła swoistą ulgę. Była to ulga nieodwracalności.

Przeciskała się wąskimi korytarzami, szukając odpowiedniego przedziału. „Odpowiedni” znaczyło wywietrzony i pusty. W miarę możliwości wołała unikać towarzystwa. Minęła przedział, w którym siedziało starsze małżeństwo reprezentujące klasę średnią. On – wąsaty, z lekko zaokrąglonym brzuchem, miał na sobie sweter, dzinsy i sandały założone na skarpetki. Ona miała świeżo uformowaną trwałą na głowie, mocny makijaż na twarzy i stos gazet plotkarskich na kolanach.

Dalej Anna minęła przedział, w którym siedział samotny mężczyzna w garniturze. Kabel z słuchawek w jego uszach prowadził do telefonu. Kabel z telefonu prowadził z kolei do komputera, który cierpliwie znosił każde stuknięcie w klawisz.

W następnym przedziale siedziała grupa przyjaciół. Głośni młodzi ludzie, swobodnie

ubrani, potargani, zdający się nie zauważać zewnętrznego świata. Jeden z chłopaków trzymał w rękach małą, dziecięcą gitarę i wydobywał z niej dźwięki, które nijak miały się do śpiewanej przez resztę piosenki.

Kolejne drzwi oddzielały od korytarza kobietę z dzieckiem. Matka siedziała wyprostowana, z głową obróconą do okna. Patrzyła w dal, myśląc lub próbując nie myśleć o swoim życiu. Siedmioletni chłopiec siedział w drugim rogu przedziału. Podkurczył nogi i dłużał w nosie. Nie przestał, nawet kiedy spotkał się spojrzeniem z przechodzącą Anną.

W końcu pojawił się odpowiedni przedział. Cichy, wywietrzony, pusty. Anna ułożyła walizkę nad siedzeniem i zajęła miejsce przy oknie, zgodnie z przysługującym jej priorytetem pierwszego podróżnika w przedziale.

Nieważne, jak bardzo Anna starała się zachować spokój w umyśle, niechciane obrazy siłą porywały jej uwagę. Wspomnienia, twarze, słowa, gesty... Im bardziej próbowała je ignorować, tym wyraźniejsze się stawały.

Drzewa przemijały w oknie w regularnym tempie. Pojawiały się nagle, znikąd. Znikały równie szybko, w nicości. Anna nie mogła się skoncentrować na żadnej z tych drzewnych wskazówek. Ich istnienie trwało zbyt krótko. Każda z nich zbliżała ją do starego świata, do starych nawyków – tych dobrze znanych i bezpiecznych. Czuła się, jakby wędrowała w czasie, przenosząc się w przeszłość. A skoro tak, to czy w przeszłości będzie miejsce na przyszłość? Czym będzie przyszłość? Przeszłością?

Zaczęła się czuć niewygodnie z dziwnymi pytaniami, które przychodziły jej do głowy. Oderwała wzrok od widoku za oknem. Naprzeciw, we wnęce między siedzeniem a oknem, zauważyła czarny, miękki przedmiot. Pokrowiec. Był pusty.

- Dzień dobry, czy mogę prosić o bilet? – zapytał kontroler.
- Jakiś pasażer zostawił pokrowiec – zwróciła uwagę pracownikowi kolei.
- A tak, stały podróżnik. Siedzi teraz w wagonie restauracyjnym. Dziękuję – powiedział, oddając Annie bilet. – Przyjemnej podróży.

Po odejściu konduktora nie mogła wysiedzieć na miejscu. Pod pretekstem skorzystania z łazienki i rozprostowania kości postanowiła zahaczyć o wagon restauracyjny. Kiedy podchodziła do prowadzących do niego drzwi, wzmógł się hałas jadącego pociągu. Przeciskał się z zewnątrz przez wąskie szpary oraz dziury i rozprzestrzeniał po wszystkich wagonach. Głośny stukot, nieprzerwany szum, dźwięki nie do zignorowania. Pokonując podwójne drzwi, Anna spostrzegła, że dźwięk się zmieniał. Przechodził z szumu w rytm. Chaos hałasu stawał się częścią jakiejś poukładanej całości.

Z wagonu restauracyjnego dobiegły brzmienia gitarowych strun. Przy małym stoliku siedział przygarbiony, brodaty mężczyzna, który na pierwszy rzut oka przypominał Annie pewnego znajomego... Grał na gitarze i nie wiadomo było, czy to on próbował wtórować melodii pociągu, czy to pociąg dostrajał się do niego. Poczul na sobie nachalne spojrzenie Anny. Podniósł

wzrok, ale nie rozpoznawszy obcej dziewczyny, ponownie skupił uwagę na grze, nie posyłając jej nawet życzliwego uśmiechu.

Anna usiadła przy wolnym stoliku i zaśluchana w jednostajny rytm melodii, ponownie dała się zahipnotyzować zmiennemu krajobrazowi za oknem.

– Jak odróżnić wyjazd od powrotu? – zapytał siedzący tuż obok niej John. – Powracamy tam, gdzie czujemy się przynależni. Wyjeżdżamy skądś, gdzie czujemy się obcy.

Jak zwykle pojawił się niespodziewanie. Wystraszył Annę, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Wyjeżdżam – odparł.

– Na długo?

– Na krótko. Po wyjeździe zawsze następuje powrót. A ty, Anno, wyjeżdżasz czy powracasz?

– Powracam. Chyba...

– Powracasz? Hmm, chyba...?

– Trochę się pozmieniało. Mieszkałam w Amsterdamie ponad rok i był to piękny okres. Ale muszę przestać żyć marzeniami i ideałami, pora wrócić do prawdziwego świata. Zaczęłam czuć, że tam nie pasuję.

– Czasami trzeba odejść z miejsca, do którego nie pasujesz, żeby się przekonać, że właśnie tam pasujesz.

– Tak właśnie było, wyjechałam z Warszawy, bo źle się czułam. Teraz wiem, że tam należę, to moje miejsce.

– Skoro tak twierdzisz... – powiedział John ze smutkiem w głosie. Po czym dodał z pozorną wesołością: – Każda podróż jakoś nas wzbogaca. Co nowego wiesz ze sobą, Anno?

– Pakiet niewygodnych wspomnień. Żal. Poczucie porażki.

– Same negatywne rzeczy?

– Ten wyjazd był przyjemnym odpoczynkiem, ale skończył się rozczarowaniem i odkryciem prawdy.

– Odkryciem prawdy? To poważna i wartościowa rzecz. Więc jaka jest ta prawda?

– Że każdy z nas ma swoją własną drogę...

– O tak, święta racja – przyznał John.

– Że nie możemy wpływać na życie innych, chociaż czasami byłoby to dla nas wygodniejsze.

– Mhm...

– Musimy żyć i pozwolić żyć innym.

– Wiesz ze sobą wielką mądrość, Anno. Naprawdę cieszę się, że zrozumiałaś, że każdy musi podążać własną ścieżką. Bardzo trudno jest się tego nauczyć. Spotkałem kiedyś młodego człowieka, któremu wydawało się, że żyje tak, jak chce. Mieszkał w spokojnym małym mieście, pracował za dobre wynagrodzenie, myślał, że w przyszłości założy rodzinę z kobietą ceniącą bezpieczeństwo i porządek. Pewnego dnia odwiedził swoich rodziców. Przy wspólnym obiedzie jego mama zaczęła wspominać czasy, kiedy był małym chłopcem. Mówiła, jak bardzo jest z niego dumna i jak bardzo jest dumna z siebie, bo jej syn wyrósł na człowieka, na jakiego marzyła, żeby wyrósł. Te słowa jakby coś w nim załamały, jakby odsłoniły kurtynę prawdy. Zrozumiał, że jego dotychczasowe życie nie było jego życiem. Postanowił wtedy zostawić za sobą to, co dobrze znał, w co dotąd wierzył, i wyruszył w świat w poszukiwaniu prawdy o sobie.

– Co się z nim stało?

– Dawno z nim nie rozmawiałem, ale myślę, że znalazł tę prawdę. Widzisz, Anno, żeby znaleźć prawdę o „ja”, musisz najpierw podważyć tezę, że „ja”, które znasz, to ty. Wszyscy nosimy swój bagaż doświadczeń, nauk, wspomnień, emocji... To nasza prywatna hydra pamiętek, która usilnie zwalczana lub ignorowana, może tylko wyrządzić nam krzywdę. Trzeba więc ją rozpoznać i oswoić. Powiem ci, że najniebezpieczniejsze hydry to te, których w ogóle nie zauważasz. To sprytne bestie...

– Mam wrażenie, że to, czego doświadczyłam przez ostatnie miesiące, potrzebne mi było tylko do tego, żeby potwierdzić ważność moich starych wartości...

– Twoich wartości?

Anna nie odpowiedziała. Zastanowiła się przez moment i jakby zwątpiła ponownie. John dodał:

– Wiesz ze sobą, Anno, najbardziej wartościowy ze skarbów na tej ziemi: nowe życie. Nowe, bo bogate w inne doświadczenia. To „nowe” jeszcze się nie narodziło. Jakie będzie twoje nowe „ja”, okaże się dopiero wtedy, kiedy dotrzesz do starego świata. Myślisz, że go dobrze znasz. Ale kto wie, może teraz okaże się całkiem inny, obcy?

– „Pociąg kolei międzynarodowych dojeżdża do stacji Arnhem” – rozległo się z głośników.

– O, to mój przystanek – oznajmił John, wstając. – Wszystkiego dobrego, Anno. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Dziękuję, John. Przyjemnego pobytu – odpowiedziała, wciąż nieco zmieszana. Mężczyzna przy stoliku nie przestawał grać. Anna siedziała w wagonie restauracyjnym tak długo, aż zaczął morzyć ją sen. Wtedy wróciła do swojego przedziału.

Obudziła się, kiedy pociąg dojeżdżał do Warszawy.

– Wszyscy martwili się, że coś ci się stało – mówili były i przyszły pracodawca Anny – ale ja czułem, że po prostu postanowiłaś odejść. Było to bardzo nieodpowiedzialne z twojej strony, ale daliśmy sobie radę. Rozumiesz, że nie mogę przywrócić cię na dawną posadę. W ogóle nie powinniśmy rozmawiać. Myślałem o tym, żeby wystawić ci list referencyjny, szczerzy i obiektywny. Taki list zamknąłby przed tobą wszystkie drzwi. Jednak nie zrobiłem tego. I teraz, gdy myślę, jak nam się dobrze pracowało, ile potrafisz z siebie dać, jak ważna była dla ciebie firma i praca... Chyba dam ci drugą szansę. Ale na o wiele niższym stanowisku i za mniejsze pieniądze oczywiście. Oj, Anno, Anno, mam nadzieję, że docenisz tę szansę.

Doceniła i podziękowała. Następnego dnia o ósmej rano pojawiła się w pracy. Usiadła na stanowisku doradcy i czekała na pierwszego klienta.

Przychodzili jeden po drugim. Bez przerwy. Kolejka kończyła się przy drzwiach. Można by pomyśleć, że sam Bóg zesłał tych ludzi, aby Anna nie miała czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Sytuacja każdego z nich była inna, lecz w pewnym sensie taka sama – potrzebowali pieniędzy. Dzień za dniem opowiadali Annie o swoich problemach, marzeniach, planach. „Córka wyjeżdża na studia, potrzebuje konta”, „Będziemy z narzeczonym oszczędzać na ślub”, „Mam pierwszą w życiu pracę i chcę oszczędzić na wakacje”, „Dostałem spadek po bracie męża siostry pierwszej żony mojego ojca i chcę, żeby się pomnożył”... Każdy z nich przynosił ze sobą historię swojego życia. Anna słuchała ich wszystkich uważnie i ze szczerym pragnieniem udzielenia pomocy. Godziny mijały niezwykle szybko. Jak to w pracy, która nie daje ci sekundy odpoczynku. Pod koniec dnia Anna odczuwała ogromne zmęczenie. Z coraz większym trudem opierała się odruchom nostalgii, kiedy któraś z opowieści przypomniała jej amsterdamski epizod.

– Pracuję bardzo intensywnie i chcę zaoszczędzić – mówiła jedna z ostatnich tego dnia klientek. Była mniej więcej w wieku Anny. – Nie wiem jeszcze, na co chcę oszczędzać. Mogą sobie te pieniądze leżeć i czekać na odpowiedni moment.

– Ma pani rodzinę? Dzieci? – wypytywała Anna, chcąc lepiej poznać sytuację klientki.

– Proszę pani, ja żyję za szybko, żeby mieć dzieci. Póki jestem młoda i zdrowa, muszę pracować. A jak na koncie urośnie wystarczająco duża kwota, coś tam z nią zrobię. Tak z ciekawości zapytam, pani pewnie wie, co ludzie najczęściej robią z takimi oszczędnościami?

– Różnie bywa, zależy od człowieka. Najczęściej spełniają marzenia. Jakie jest pani marzenie? – Anna przeszła do konkretów. Wiedziała już przecież, że każdy o czymś marzy.

– O, tu trafiła pani w punkt. Uwielbiam malować. Gdy byłam mała, chciałam zostać malarką.

– Maluje pani teraz?

– Nie mam czasu! Ale chyba jestem w tym niezła. Żałuję czasami, że brak mi czasu na takie rzeczy, ale wie pani, jak to jest. Z czegoś trzeba żyć. O! A może jak już zaoszczędzę wystarczająco dużo, by rzucić pracę, to otworzę galerię sztuki? Co pani myśli? Kiepska inwestycja?

– Wcale nie będzie kiepska, jeśli pani w nią uwierzy, włoży w to serce i energię. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Nie ma pani rodziny ani dzieci. Więc skąd przekonanie, że musi pani pracować tak intensywnie?

– Hm... Jak to skąd? Przecież każdy musi pracować.

– Ale skoro ma pani tak wyraźnie określone marzenie i żadnych zobowiązań, to... na co pani czeka? Aż samochód panią potrąci na przejściu dla pieszych i ostatnim, co pani poczuje w życiu, będzie żal do samej siebie, że nie spełniła pani swojego marzenia, bo praca była ważniejsza? Coś pani powiem: jeżeli faktycznie pracuje pani teraz tak intensywnie i tak bardzo dba o pełne konto, to zapewniam, że nigdy, przenigdy nie rzuci pani swojej pracy. Nie będzie pani umiała bez niej żyć. Bez codziennej rutyny, bez ciągłych obowiązków, bez stale powiększającego się stanu konta i bez przekonania, że bezpieczeństwo i stałość to najważniejsze wartości, które są marzeniem każdego człowieka na świecie.

Anna umilkła. Wyglądała, jakby z chwilą zakończenia monologu pożałowała każdego wypowiedzianego słowa. Kobieta patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Wreszcie rzekła:

– Pani jest najdziwniejszym i najgorszym pracownikiem tego banku, a jednocześnie najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek w banku spotkałam. – Podniosła się wolno z krzesła. Jej oczy błyszczały. Od łez radości, smutku? A może był to błysk zrozumienia. Na koniec dodała: – Dziękuję pani za rozmowę. Przemyśle ją.

Wyszła i nikt już nigdy nie zobaczył jej w tym miejscu.

Anna czuła się okropnie po tym zdarzeniu. Faktycznie, była dziś najgorszym pracownikiem na świecie. Zarazem jej słowa płynęły prosto z serca i były samą prawdą.

Wracając do domu przez park, przysiadła na ławce. Obserwowała dwie małe dziewczynki bawiące się ze sobą. Szatynka przysła tu z młodą mamą. Druga, o niesfornej jasnej czuprynce – z babcią. Pierwsza, ubrana schludnie w różową sukienkę, co chwila podbiegała do mamy, prosząc ją o pozwolenie na to lub tamto. „Mamo – mówiła – mam nową koleżankę. Czy mogę się z nią bawić?”, „Czy mogę wejść na tamte schodki?”, „Czy mogę pójść z koleżanką tam, żeby coś zobaczyć?”. „Tak” – odpowiadała mama za każdym razem. Druga dziewczynka nie pytała babci o nic. Wydawała się pod tym względem wolnym duchem, niezależnym od cudzych wpływów i aprobaty innych. W miejscu, gdzie dziewczynki poszły „coś zobaczyć”, znalazły martwego

gołębia. Nie dotykały go. Obie wiedziały, że byłoby to niemądre. Podekscytowały się jednak i obie postanowiły podzielić się swoim odkryciem z opiekunkami. Mama pierwszej z dziewczynek upewniła się tylko, czy na pewno córka nie dotykała martwego ptaka. „Nie” – zapewniła. Babcia drugiej dziewczynki nie podzieliła delikatnej troski młodej kobiety. Zareagowała ostro: „Głupie dziecko! Biega tylko i śmieci szuka. Zwariowałaś?! Idziemy do domu!”. „Jeszcze chwilę!” – prosiła wnuczka. „Dziesięć minut” – zgodziła się babcia. Dziewczynki wróciły do zabawy. Blondyneczka prosiła koleżankę, żeby poszły jeszcze raz obejrzyć martwego gołębia. „Już go widziałyśmy. Pobawmy się w coś innego” – odparła dziewczynka w różowej sukience. Ten krótki konflikt został przerwany wołaniem mamy: „Ala! Czas do domu”. „Muszę już iść” – pożegnała się szatynka. Druga dziewczynka obraziła się. Tupnęła ze złością. „Dobrze! To idź sobie!” – krzyknęła i pobiegła do babci. „Wiesz, babciu, jakie te dzieci są głupie! Jaka głupia ta dziewczynka! Nie chciała pójść ze mną zobaczyć gołębia”.

Anna zastanawiała się, która z dwóch dziewczynek była ostatecznie bardziej zniewolona. Ta, która знаła swoje prawa i obowiązki, i grzecznie się im podporządkowywała, lecz potrafiła przy tym zachować własne pragnienia, czy ta, która żyła w poczuciu wolności, lecz wszystko, co robiła, i jak reagowała na rzeczywistość, było głęboko zakorzenionym wzorcem, przejęciem babcinego sposobu widzenia świata? Odpowiedź nasuwała się sama i Anna poczuła, że powinna ją sobie wziąć do serca. Położyła dłonie na brzuchu, w geście delikatnego utulenia nienarodzonego jeszcze dziecka.

Tymczasem życie w Amsterdamie toczyło się niby tak samo, a jednak inaczej. W „Felicità” znów rozbrzmiewała jedynie muzyka z kompaktów. Z początku wielu gości pojawiało się z nadzieją usłyszenia Anny, lecz kiedy odkrywali, że gitarzystka już tu nie pracuje, zaczęli przychodzić rzadziej. Sporadycznie.

Greg, pracując z Danielem, omijał temat Anny. Daniel również nie chciał o niej mówić. Czasami jednak coś w jego wnętrzu krzyczało tak głośno, że nie mógł nie wspomnieć, nie zapytać, nie upewnić się. Bo może jednak Greg o czymś słyszał, coś wie, może coś mu się przypomniało?

Thomas z kolei nie dawał się wciągać w żadne dyskusje o Annie. Jakby doszedł do wniosku, że pewnych sytuacji nie da się skwitować stwierdzeniem: „Z miłością, kobietami... zawsze tak samo”. Thomas, zazwyczaj pewny siebie i wygadany w kwestiach partnerstwa, czuł, że wkraczałby tu na grunt całkiem dla siebie obcy. Kiedy patrzył na Daniela, utwierdzał się w tym przekonaniu. Widział, jak toczy wewnętrzną walkę o zrozumienie prawdy, jak zmaga się ze znużeniem, codziennością i niesłabnącą tęsknotą. Daniel pozostawał w ciągłym stanie zamyślenia, jakby nie przestawał analizować, wspominać i wyciągać wniosków.

– Dlaczego tak się torturujesz? – pytał Greg.

– Bo ona nie odeszła bez powodu, rozumiesz? Gdzieś musiałem popełnić błąd i najgorsze jest to, że się nie zorientowałem, niczego nie zauważyłem. Boję się, że jeśli teraz tego nie zrozumie, to mogę ów błąd powtarzać całe życie.

Amanda przychodziła do „Felicità” niezwykle rzadko. Smuciło to Daniela. Przecież Amanda skrywała w sobie duży pakiet wspomnień i własnych spostrzeżeń o Annie. Pragnął je poznać. I próbował! Niewinnie zagadywał, przywoływał niby przypadkiem różne sytuacje... Prowokował umysł Amandy do skupienia się na Annie, w nadziei, że nagle pojawi się w nim obraz i przeblysłk zrozumienia. Nie wiedział, że przyjaciółka zna prawdę i że to obietnica niewyjawienia sekretu trzyma ją na dystans.

– Jak się czujesz, Danielu? – spytała z grzeczności.

– W porządku. Dzisiaj nawet przespałem całą noc.

– Stary, proszę cię – wtrącił się w rozmowę Greg. – Ile jeszcze to będzie trwało? Minęły ponad trzy miesiące. Przestań się w końcu obwiniać. Opuść...

– Uwierz mi, że chcę oduścić. Ale to jest silniejsze ode mnie, no i jest świeże.

– Z niecierpliwością czekam, aż czas uleczy rany. Żal na ciebie patrzeć. Naprawdę. Może spróbowałbyś sobie jakoś pomóc?

– Co masz na myśli? – zapytał Daniel.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, kiedy Amanda słucha, ale myślę, że najlepszym lekarstwem dla ciebie byłby niezobowiązujący kontakt z innymi kobietami.

– Co?! – wykrzyknęła Amanda. – Chcesz, go do reszty pogrążyć w depresji? Przecież to całkiem bez sensu. Z kochającego, wrażliwego faceta chcesz zrobić podrywacza i seksoholika?

– Zaraz seksoholika... Wiedziałem, że źle mnie zrozumiesz, kochanie. Nie każę mu przecież rzucać się w objęcia rozpusty. Proponuję tylko, żeby rozejrzał się za inną kobietą i wszedł z nią w relację, niekoniecznie taką na całe życie.

– To raczej wykluczone. – Daniel westchnął ciężko. – Amanda ma rację, jestem wrażliwym typem, idealistą. Nie mogę okłamywać samego siebie. Wchodząc w związek z kobietą, będę w niej szukać „tej” właściwej, na zawsze; nie umiem inaczej. Niezobowiązująca relacja kosztowałaby mnie za dużo energii, czasu i nerwów.

Amanda patrzyła na Grega i potrząsała głową z dezaprobatą. Greg uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Kochanie, chyba nie myślisz, że gdybyśmy się rozstali, to ja bym tak szukał szczęścia... w uludzie...

– Już lepiej nic nie mów, dobrze?

– Dzięki, że próbujecie mi pomóc – Daniel westchnął – ale czuję, że nie znajdę spokoju, zajmując umysł i... ciało kimś innym. Najchętniej bym z nią po prostu porozmawiał, ale jej telefon nie odpowiada. Nigdy nie podała mi warszawskiego adresu, nie wydawał się potrzebny...

Amanda poczuła ekscytację i ogromną ulgę. Przynekła Annie, że nie zdradzi nikomu jej sekretu, ale nie obiecała, że zatai także jej warszawski adres.

– I nic dotąd nie mówiłaś?! – oburzył się Greg.

– Nikt mnie o adres nie pytał! – Amanda wbiegła za bar, chwyciła leżący na blacie notes i przepisała dane ze swojego telefonu. – Jest jeszcze czas. Masz, jedź od razu i powiedz jej jasno i otwarcie, co do niej czujesz, bez żadnych „może”, powiedz, wykrzycz, że ją kochasz i że zawsze chciałeś, że... Zresztą sam wiesz, co masz powiedzieć. Jedź!

Tak też zrobił. Wsiadł w najbliższy pociąg jadący do Warszawy i całą drogę myślał, co powiedzieć i jak. Zastanawiał się też, co zastanie na miejscu. Może Anna w ogóle na niego nie czeka. Może nie chce go w swoim życiu. Nieważne! Postanowił, że niezależnie od tego, jakie będzie jej nastawienie, jakie ostatecznie podejmie decyzje, on musi poznać prawdę i wyznać jej, co czuje.

Miniona noc była dla Anny ciężka. Męczyły ją sny. Sny-wspomnienia. Widziała w nich rodziców. Wyglądali jak na jawie. Anna siedziała w salonie; w domu, w którym się wychowywała. Wszystko wokół wyglądało dokładnie tak, jak pamiętała. Nawet rzeczy, których obraz się zatarł – jak na przykład stara meblościanka, gdzie za szkłem stał nigdy nieużywany zestaw filiżanek w kwiecisty wzór – pojawiły się w tym śnie. Czowała się dziwnie, jakby wbrew własnej woli została przeniesiona w czasie, do przeszłości. „Co ja tu robię? Nie powinnam tu być. Już nie. Przecież jestem dorosła, dlaczego czuję się jak dziecko?” – myślała, śniąc. Na fotelu obok niej siedział ojciec. Oglądał telewizję i zdawał się w ogóle nie zauważać obecności Anny. Dopiero po chwili odwrócił lekko głowę w jej stronę i nie patrząc na córkę, zapytał: „Co słychać w szkole?”. „Tato, ja już pracuję” – odparła Anna. „Tak? Jak ty szybko dorastasz. Nie dorastaj za prędko”. Do pokoju weszła matka Anny. Wydawała się taka wysoka. Albo to Anna czuła się mała... Stanęła nad córką i potrząsając głową w papilotach, powiedziała: „Moja mądra dziewczynka. Wiesz, że tata nie jest wylewny, ale ja ci powiem: on cię kocha. Na swój sposób. I ja cię kocham, jak nikogo na świecie. Opowiadałam ci, jak to było, gdy miałaś się urodzić? Ojca oczywiście nie było wtedy. Nie wiem, co robił w tym czasie. Nieważne...”. „Co mówiłaś o mnie?” – zapytał ojciec z fotela. „Nic. Myślisz, że nie mam o kim mówić, tylko o tobie... Aniu, córeczko, potrzeba ci czegoś? Wiesz, że zawsze ci pomogę. Całe życie wszystko robiłam tylko dla ciebie. Zawsze myślę o tobie, bo jesteś dla mnie najważniejsza. Co mówisz? Że jesteś dorosła? Poczekaj z tą dorosłością, jeszcze przyjdzie na nią czas. Zawsze byłaś i będziesz moją małą dziewczynką. Twój tata i ja może mało wiemy o współczesnym świecie, ty jesteś mądrzejsza, ale za to dużo wiemy o życiu. Robiłam wszystko, żebyś mogła się kształcić, i teraz zobacz: wyprzedziłaś rodziców. Ale mamy więcej doświadczenia i możemy ci sporo powiedzieć o życiu. Mówisz, że za bardzo się o ciebie martwię? Jak sama zostaniesz matką, to zrozumiesz. Dziecko jest najważniejsze. Musisz mu zapewnić odpowiednie warunki, spokój i bezpieczeństwo. Wiesz, gdyby nie ty, inaczej podejmowałabym decyzje. Ale twoja obecność motywowała mnie do pracy. Ja i tata nie mogliśmy się uczyć. Inne czasy były, musieliśmy pracować. Ale dzięki temu ty chodziłaś do szkoły. Tak się cieszę, że skończyłaś studia. Moja mądra dziewczynka. Teraz będziesz miała dobrą pracę. W banku albo jako sekretarka jakiegoś

biznesmena. To taka czysta praca... Nie chcę, żebyś miała tak ciężko jak ja. Całe życie musiałam pracować, żebyś mogła się uczyć. Dzięki czemu zdobędziesz dobrą pracę i w przyszłości może to ty pomożesz mnie. Nie zostawisz mamy, prawda?”.

Anna czuła się okropnie po przebudzeniu. Nie wiedziała, kim jest. Czuła, że wypełniają ją cechy i emocje, które do niej nie należą. Jej prawdziwe „ja”, jej tożsamość były jakby nieodkryte, całkiem puste. „Kim jestem?” – pytała. Spojrzała na siebie w łazienkowym lustrze i zobaczyła całkiem obcą osobę. „Kim ty jesteś?”. Opanowało ją dziwne poczucie wstydu przed samą sobą. Nie mogła, nie chciała spojrzeć w oczy kobiecie z lustra, a kiedy to w końcu zrobiła, ogarnęły ją żal i rozczarowanie. Zaraz im zaprzeczyła. „Co ty wyprawisz, dziewczyno? Po prostu weź się w garść i idź do pracy. Dziś pójdziesz ci lepiej niż wczoraj. Nie myśl za dużo. Po prostu idź”. Z takim postanowieniem wzięła prysznic, zjadła śniadanie, ubrała się. „To ciągle może być udany dzień” – pomyślała, zamykając drzwi. Obróciła się, zrobiła krok do przodu i wtedy naprzeciwko niej stanął Daniel.

– Cześć – powiedział drżącym głosem. Sam był zaskoczony. Dopiero co patrzył na numery domów, szukał właściwego bloku i pocieszał się myślą, że kiedy go znajdzie, zanim zadzwoni do drzwi Anny, będzie miał jeszcze czas na ostatni głęboki oddech, chwilę na zastanowienie i zebranie myśli. Los zarządził inaczej.

– Co tu robisz? – zapytała Anna, zdecydowanie ruszając do przodu i podążając w obranym wcześniej kierunku. Daniel poszedł za nią.

– Musimy porozmawiać.

– Nie chcę – zbuntowała się Anna. Lecz jej ton, zamiast odstraszyć Daniela, podziałał na niego mobilizująco. Wyprzedził ją, chwycił za ramiona i zatrzymał.

– Nie interesuje mnie to, że nie chcesz. Aniu, spójrz na mnie. Spójrz, mówię! To przecież ja. Oboje zasługujemy na tę rozmowę i nie odejdę, dopóki mnie chociaż nie wysłuchasz.

Spojrzała mu w oczy. Nigdy dotąd nie widziała w nich takiego smutku i takiej powagi. Przytaknęła i usiadła na ławce.

– Przyjechałem, bo nie rozumiem, co się stało. Myślałem, że łączą nas szczerść, otwartość, zrozumienie. A ty nagle, ni stąd, ni zowąd, odchodzisz. Bez słowa. Wyłączasz telefon, nie odpisujesz na maile... Jakbym zrobił coś podłego, jakbym cię potwornie skrzywdził. Powiedz, proszę, co zrobiłem?

Anna poczuła, jakby ktoś ścisnął jej serce dłonią. Łzy napłynęły do oczu. Ale przyrzekła sobie, że będzie silna, że nie pokaże zwątpienia.

– Nic nie zrobiłeś. Naprawdę. Jesteś najwspanialszym facetem, jakiego spotkałam w swoim życiu...

– Więc dlaczego? Nie należysz do kobiet, które lubują się w dramacie, które kochają być nieszczęśliwe!

– Nie, ale... Po prostu doszłam do wniosku, że nie pasuję... że nie pasuję do ciebie, do życia, które tam było, w Amsterdamie. To nie byłam ja!

– A jaka jesteś „ty”, co? Tutaj? Sama? Powiedz prawdę – jest ktoś inny...

– Nie! Nie ma nikogo innego. Może to ja nie umiem, nie chcę być z kimkolwiek, nawet z tobą. To życie tam... udawanie artystki, proszę cię...

– Co? Nie powiesz mi chyba, że nie byłaś szczęśliwa, że źle się czułaś na scenie? Nie wierzę, słyszysz, nie wierzę, że nagle, z dnia na dzień, doszłaś do wniosku, że tam nie pasujesz!

– Nie pasuję. Jestem częścią tego świata, tu, w Warszawie. Dobrze mi z rutyną, codzienną pracą, bezpieczeństwem, przewidywalnością i z samotnością. Nikt niczego ode mnie nie oczekuje, nikt nie mówi mi, co mam robić, o nikogo nie muszę się martwić.

– Bzdura! Nic z tego, co powiedziałaś, nie jest prawdą. Za dobrze pamiętam dzień, w którym cię poznałem. Mówiłaś, że żyłaś tutaj, nie żyjąc, nawet nie zauważając, że zaczęłaś umierać. I za dobrze pamiętam blask w twoich oczach, kiedy byliśmy razem, kiedy grałaś na scenie, czarując słuchaczy. Pamiętam twoje podekscytowanie, kiedy wpadałaś na nowy pomysł piosenki, i jak nie mogłaś się doczekać, kiedy zagrasz ją po raz pierwszy. I jaka byłaś rozradowana, prowadząc warsztaty z dziećmi! Aniu, wtedy po raz pierwszy w życiu poczułem, że jeżeli mam się z kimś związać na całe życie, to z tobą. Tylko przy tobie mógłbym być mężem i ojcem.

– O czym ty mówisz, Danielu? Przecież jesteś wolnym duchem. Wiesz, czego pragniesz, i wiesz, jak to osiągnąć. Nie słuchasz cudzych rad, masz marzenia, niezależność, swoje życie...

– Owszem, ale od ponad roku nieodłączną częścią mojego życia jesteś ty.

– Wcześniej mnie nie było i żyłaś szczęśliwie.

– Nie wiem, czy tak szczęśliwie... Zadowalało mnie to, co mam, co nie zmienia faktu, że wszyscy szukamy miłości. Znalazłem ją przy tobie i nieważne, jak żyłem przedtem. Ważne, że teraz nie wyobrażam już sobie życia bez ciebie. A jeżeli będę musiał żyć bez ciebie, to... dam radę, ale wiem, że stracę wtedy coś niezwykle cennego, coś, co mnie motywowało i uszczęśliwiała. Powiedz, ty nie byłaś szczęśliwa?

– Rzeczy się zmieniają, ludzie się zmieniają.

– Rozumiem... W porządku, to twoja decyzja. Przecież nie porwę cię stąd na siłę. Chyba powiedziałem już wszystko, co chciałem... – Wstał z ławki i dodał: – Myślę, że bezpieczeństwo i rutyna... które wychwalasz, myślę, że po prostu wracasz do tego, co dobrze znasz, co zostało ci wpojone jako ważne. Ale nie przynosi ci to szczęścia. Stanowi raczej wygodną wymówkę do niemyślenia, do niebuntowania się. Sama siebie zatrzymujesz. Ale ja widziałem prawdziwą Anię i wiem, że była szczęśliwa. Najważniejsze to odpowiedzieć sobie na pytanie, czego naprawdę chcesz od życia. Ci, którzy tego nie wiedzą, przyjmują oczekiwania innych za własne, a każdy

ma prawo żyć tak, jak chce. Tak jak każdy ma prawo marzyć i spełniać te marzenia. Poznanie ciebie było dla mnie początkiem czegoś nowego. Czułem, że razem możemy coś zbudować, coś stworzyć. Symbolem tego był mój bar, który zmienił charakter, kiedy się pojawiłaś. Włożyłem całą swoją energię w to, żeby stał się taki, jak pragnałem, i niby mi się udało, ale zawsze miałem wrażenie, że czegoś w nim brakuje. Nie wiedziałem czego. Teraz wiem! Tak samo z moim życiem: brakowało w nim ciebie. Gdyby ktoś zapytał mnie parę miesięcy temu, o czym marzę, bez wahania powiedziałbym, że o nas, o tym, że chcę założyć z tobą rodzinę. Teraz chyba muszę z tego zrezygnować... A może jednak nie...?

Anna milczała, patrząc w ziemię. Czy miała rację, oceniając Daniela? Wyglądało na to, że nie. Czy on naprawdę traktował ją tak poważnie, tak ostatecznie...? Świat, w którym dotąd żyła, był teatrem, fikcją. Wszyscy grali role, w które kazano im wejść. Cieszyli się z obecności w tym spektaklu i wczuwali się w swoje role życia tak bardzo, że nie brali pod uwagę istnienia innych opcji i dróg. Wszyscy byli biznesmenami w tym świecie, zawiązywali transakcje, kontrakty. Każda relacja musi przynosić korzyści, niekoniecznie wzajemne. Podtrzymanie pożytecznych relacji jest najważniejsze; warto dla nich wziąć udział w tej grze, mówiąc ludziom to, co chcą usłyszeć. „Pamiętaj, że wszyscy kłamią. Chcą cię wykorzystać. Musisz wykorzystywać ich pierwsza” – tego nauczyła ją praca. „Czy taka właśnie jestem?”

– Wracam do Amsterdamu za dwie godziny. Jeśli chciałabyś porozmawiać, zadzwoń. Masz numer. Jeśli zdecydujesz się wrócić ze mną, będę czekał.

Odszedł, a Anna stała przed domem jak sparalizowana. Ponownie usiadła na ławce, objęła brzuch rękami i zwolniła tamę wstrzymującą łzy. On naprawdę ją kocha! Czeka na nią i ich dziecko. Jak mogła odejść? Jak mogła pomyśleć, że ma prawo pozbawić dziecko kochającego ojca? A jeśli wróci z Danielem, czy będzie z nim szczęśliwa, czy da mu szczęście? A jeśli znów poczuje się zagrożona? Jeśli znów zapragnie uciec? Dlaczego w ogóle ucieka? Od czego? Od prawdy o sobie, której jeszcze nie oswoiła? Przecież całe życie podążała za wartościami, które dźwięczały w jej głowie jak mantra. Bezpieczeństwo, przewidywalność, stałość. Rodzice pracowali dla niej całe życie, dla jej edukacji, rozwoju, pomyślnej przyszłości. Nauczyli ją, co jest najważniejsze, podzielili się doświadczeniem. Bardzo dobrze pamiętała, jak powiedziała mamie, że chce się nauczyć gry na gitarze. Mama od razu posłała ją na kurs. Kiedy Anna poczuła, że granie przynosi jej radość i satysfakcję, postanowiła zostać zawodową gitarzystką, czego mama już nie mogła zaaprobować. Powiedziała małej Annie, że artyści mają ciężko w życiu, że wielu z nich głoduje i nie posiada domu, cierpi na depresję i źle kończy. „Nie po to ja i tata pracowaliśmy dla ciebie całe życie, żebyś została darmozjadem. Będziesz sekretarką albo znajdziesz pracę w banku. Powiedz, nie chciałabyś pracować w banku? Widziałaś wiele razy, jacy ładni ludzie tam pracują. To będzie dobry zawód. Przyniesie ci pieniądze i spokój. Wiem, że teraz jesteś na mnie zła, ale kiedyś zrozumiesz, że mam rację. Też chciałam robić coś innego, ale życie nie polega na tym, żeby robić, co się chce. Co by było, gdyby wszyscy robili to, co chcą? Zobacz, jak my ciężko pracujemy. Życie nie jest łatwe. Musisz się na to przygotować. Jesteś jeszcze młoda, więc tego nie rozumiesz, ale ja już swoje przeżyłam i mówię ci, jak jest. Dla twojego dobra”.

Anna uwierzyła w te słowa, spychając swoje własne pragnienia w najciemniejsze zakątki podświadomości. Teraz wiedziała już, czego chce, ale nie była pewna, czy wolno jej tego pragnąć, czy wolno jej sięgnąć po te pragnienia. W szkole uczono ją wielu rzeczy, nie podając

logicznego wyjaśnienia. Na pytanie: „dlaczego tak?”, odpowiadano: „bo nie inaczej”. Tak samo tresowano ją w stosownym zachowaniu. Zasady: „bo się tak nie robi” i „bo wszyscy tak robią” wyznaczały, co wypada, a co nie. Poznawała świat *a priori*. Przecież wokół żyło tylu mądrzejszych od niej ludzi, którzy tak wiele doświadczyli. Mogli więc przygotować Annę do życia, zdradzić prawdę o świecie, oszczędzając jej poszukiwań, błędzenia i cierpienia. Długo była im wdzięczna za tę wiedzę, która teraz zdawała się jej ciężać okropnym, bo zbędnym balastem.

Ale nie ma innego wyjścia – trzeba iść do pracy. Musi teraz wstać z ławki, przejść tę samą trasę, którą przemierza każdego dnia. Musi zanurzyć się w rzekę garniturów i garsonek, i dotrzeć do miejsca, w którym ludzie zabezpieczają pieniędzmi przyszłość i szczęście. Wstała więc i ruszyła do banku. Z uwagą przyglądała się każdej mijanej twarzy. Były poważne i obojętne. Anna nie mogła liczyć na żadne spojrzenie, a co dopiero na uśmiech. Taki zwyczajny. Uśmiech bez oczekiwań, bezinteresownie życzliwy, po prostu wypływający z radości życia, świadczący o niekłamanym zadowoleniu i satysfakcji. Wszystkie twarze, niewzruszone jak skała, zwrócone były ku przodowi. Ku pewnej przyszłości.

Czy ten świat był prawdziwy? Jeżeli uznamy, że w każdym miejscu na ziemi istnieje „prawdziwość” – to tak. Była to rzeczywistość. Ale jeżeli spojrzymy na osobisty świat Anny, na jej marzenia, pragnienia, idee, które przynoszą radość i podnoszą na duchu – to czy świat póz, ról, interesów, bezrefleksyjnych działań mógł być dla Anny realny, istotny? Czy jej prawdziwe „ja” nie rozkwitło w całkiem innym miejscu, wśród całkiem innych ludzi i sytuacji? Czy mogła zaufać myśli: moje „ja” jest tam, gdzie moje serce? Czy mogła zaufać sercu?

Dzień się obudził na dobre. Coraz większy tłum przechodniów omijał Annę. Kolorowe kształty płynęły jednostajnie wzdłuż ulicy. Ludzie samotni, w towarzystwie przyjaciół, rodziców, mężów, żon, dzieci... Rozmawiali uśmiechnięci, milczeli z powagą. Niektórzy rozglądali się na boki. Wiele rzeczy walczyło o ich uwagę – ruchem, kolorem, dźwiękiem. Sklepowe wystawy wypełnione atrakcyjnym towarem, restauracje wzywające do siebie muzyką i zapachami, stragany ze swojskimi wyrobami, uliczni artyści. Panie w ludowych strojach śpiewały folklorystyczne pieśni, panowie grali na puzonach. Aktorzy teatru lalek wspięli się na szczydła, wcielając w postacie, których sama matka natura by nie wymyśliła. Ascetycznie ubrani, wygimnastykowani młodzieńcy przekonywali przechodniów o pozytywnych efektach uprawiania jogi. *Namaste* – mówili, rozdając ulotki. Jakże zdziwiony byłby Buddha, gdyby ich zobaczył.

Małe dziewczynki, w nowych sukienkach i kapelusikach, podążały z dumą do przedszkola. Czuły się jak królowy, gdy pulchnymi paluszkami obracały cukierkowe korale zawieszane na szyi. Bacznie obserwowały, czy ten chłopiec, umazany różową watą cukrową, zwrócił na nie uwagę.

Psy, choć większość przywykła do przebywania w tłumie, wyglądały na nieco wystraszone. „Czy to jeszcze noga mojego pana, czy już nie?” – zastanawiały się zapewne.

Kilka niemowlaków przegapiło przeprawę ulicą, śpiąc wygodnie na ciepłej piersi mamy. Kilku pijaków przegapiło codzienną paradę osobowości, śpiąc pod bramą w niezbyt wygodnej pozycji, przytulając do piersi niemalże pustą butelkę lekarstwa na życie.

Świeżo upieczony mąż głaskał po szyi świeżo upieczoną żonę. Starszy pan w okularach o grubych szklach podtrzymywał za ramię drobną żonę, która wolno, o lasce posuwała się do przodu.

Anna przyglądała się wszystkim postaciom, myśląc: „Każdy szuka miłości i zrozumienia”. Czy więc nie byłoby grzechem występowanie przeciwko miłości i zrozumieniu, które pojawiły się w jej życiu dzięki Danielowi? Jeżeli wybierze drogę znaną i bezpieczną, czy za dziesięć lat nie stanie się sfrustrowaną matką, przerzucającą na dziecko ból niezrealizowanych pragnień? Czy nie spojrzy na swoje życie z żalem i pytaniem: „Co by było, gdybym postąpiła inaczej? Gdybym poszła za wewnętrznym głosem, który wiedział, co jest dla mnie dobre?”. Czy nie pokocha w wyobraźni tego niezrealizowanego nigdy życia?

Jej córka, skończywszy dziewięć lat, przybiegnie rozradowana do kuchni z nowym marzeniem i oznajmi śmiało: „Chcę zostać pianistką!”. Anna spojrzy na nią z politowaniem i powie: „Kocham cię tak bardzo, że nie mogę ci na to pozwolić. Artyści mają ciężkie życie i wielu z nich źle kończy...”.

Jeśli nie zaufa teraz Danielowi, to czy komukolwiek jeszcze w życiu zaufa? Czy kiedykolwiek spotka osobę równie kochającą, troszczącą się o jej dobro, rozumiejącą jej rozterki? Jeśli przegapi tę miłość, przegapi miłość na całe życie!

Zrozumiała, czemu wyjechała z Amsterdamu. Nie dlatego, że pragnęła, aby Daniel zachował swoją wolność. Jakże głupia wymówka! Oczywiście, że wyjechała z troski o samą siebie. Zasłoniła się dobrem dziecka, aby uciec od prawdy o sobie, od rozterek i braku wiary w talent. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej ciele. Mięśnie zaczęły się napinać. Nie mogła dłużej siedzieć. Wstała z ławki i ruszyła przed siebie. Nieważne dokąd iść, byle się ruszyć, świat ją poprowadzi, intuicja ją powiedzie. Daniel, Daniel... ten który ją wspierał, który dodawał jej odwagi, który kocha, prawdziwie kocha jej ciało i umysł. Duszę i serce. Umysł i serce... Świat, natura, Bóg... Coś pobłogosławiło związek dwóch istnień. Anna niesie w sobie nowe, czyste życie. I spoczywa na niej odpowiedzialność za przygotowanie tego życia do wejścia w świat, do zrozumienia drugiego człowieka i samego siebie. Ona musi zapisać czystą tablicę umysłu swojego dziecka. Przecież nie zrobi tego dobrze, jeśli ucieknie od marzeń i miłości. Oto pierwsza nauka dla dziecka. Tchórzostwo, ucieczka. Muzyka, muzyka... nie może już żyć bez muzyki. Cały jej świat jest muzyką. Wszystko drga niczym struna, wszystko dźwięczy, dźwięczy coraz głośniejsze. Im bardziej Anna oddala się od źródła dźwięku, tym głośniejsze ono ją woła. Przekracza skalę przyzwoitości, nie daje się zignorować. Szumi, gwizdże, boli! Szum szyn! Gwizd miedzi! Świst wiatru!

Anna ponownie utuliła nienarodzone dziecko. Mocno, z miłością i troską. Rozpędzony pociąg już sunął, już dotarł. Rzuciła na tory stare ideały. Uśmierciła to, co ją zabijało. Pokonała siebie.

– „Szanowni podróżujący, pociąg jadący do Amsterdamu, przez Poznań, Nowy Tomysł, Frankfurt i Hannover, odjedzie z toru pierwszego przy peronie trzecim”.

– Anna...

Nie wiedziała, czy imię zadźwięczało w jej głowie, czy to wołał ją Daniel...